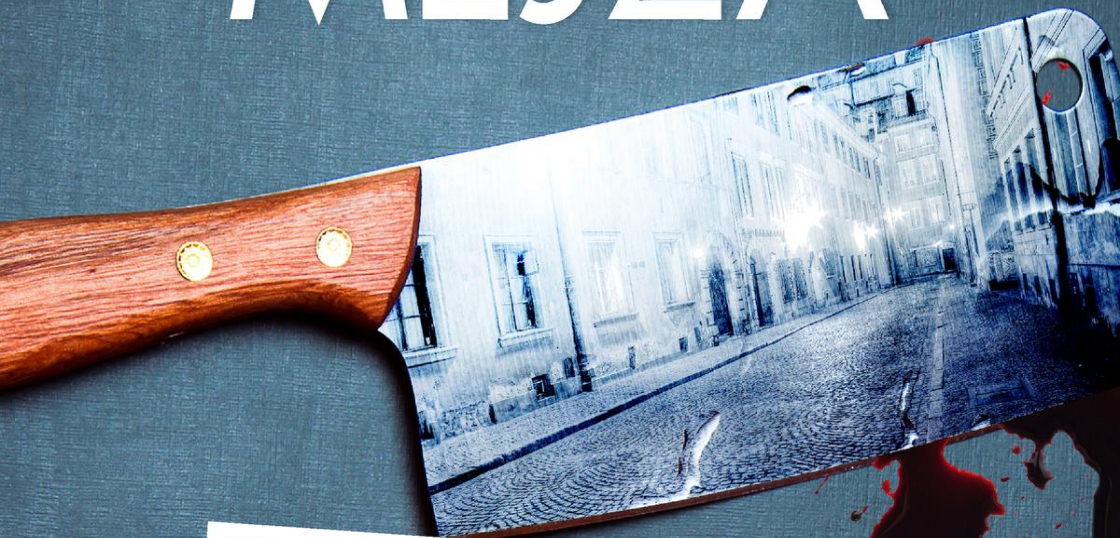


I W O N A  
MEJZA



PRZEPIS  
NA  
ZBRODNIĘ

Iwona Mejza

# Przepis na zbrodnię

Saga

*Przepis na zbrodnię*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2016, 2021 Iwona Mejza i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726855685

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Postacie](#)

[Przepis na zbrodnię](#)

# Postacie

<i>Marlena Zawilska</i> -	pisarka pogrążona w pracy nad najnowszą powieścią kryminalną, zmagająca się z niesubordynowanymi bohaterami książki. Pisanie wybija ją z codziennego rytmu i trzeba czasu, by Marlena zauważyła, że wokół niej zaczynają się dziać różne dziwne rzeczy ze szczególnym wskazaniem na morderstwa.
<i>Pan Kot</i> -	kot, który uważał, że został już wystarczająco dobrze wychowany i dodatkowe zabiegi edukacyjne nie są mu już do szczęścia potrzebne.
<i>Eugeniusz Stodki</i> -	kolega Marleny ze szkoły podstawowej. Gieniu wrócił do Miasteczka po wieloletniej nieobecności, by załatwić parę niecierpiących zwłoki spraw. Na widok Marleny zwanej w szkole Lenką szczerze się ucieszył. Mieli do pogadania.
<i>Kurier</i> -	osobnik zasadniczy i obowiązkowy. Skoro zlecono mu dostarczenie przesyłki na konkretny termin, to zrobił wszystko, by się wywiązać z obowiązków. Że mu nie wyszło, tak bywa.
<i>Agnieszka Walińska</i> -	przyjaciółka autorki z czasów szkolnych obdarzona dużo lepszą niż ona pamięcią.
<i>Wojtek Waliński</i> -	mąż przyjaciółki, który - jak zawsze - chciał dobrze.

<i>Marlena Zawilska -</i>	pisarka pogrążona w pracy nad najnowszą powieścią kryminalną, zmagająca się z niesubordynowanymi bohaterami książki. Pisanie wybija ją z codziennego rytmu i trzeba czasu, by Marlena zauważyła, że wokół niej zaczynają się dziać różne dziwne rzeczy ze szczególnym wskazaniem na morderstwa.
<i>Maryla Morska -</i>	nazwana przez kuzyna Serwerownią, zawsze zainteresowana tym, co się dzieje wokół niej, a konkretnie u sąsiadów. Marylka zawodowo gotuje i w swoim świętym notesie zapisuje wszystko jak leci, łącznie z numerami rejestracyjnymi nieznanym jej samochodów.
<i>Edward Morski -</i>	zapracowany mąż Marylki mogący zawsze liczyć na ostatni kawałek wyśmienitego ciasta upieczonego przez żonę.
<i>Teresa Zawilska -</i>	mamusia Marleny. Osoba obdarzona wybitną cierpliwością i zamiłowaniem do prac ogrodowych oraz do czytania powieści kryminalnych. Nie spodziewała się, że kiedyś te pasje się połączą.
<i>Ciocia Alicja -</i>	zwana za plecami Lukrecją to rodzona siostra Teresy Zawilskiej. Konkretna, nieco uszczypliwa, obdarzona manią porządkową. Siostrzenica - autorka kryminałów - jest dla niej sporym wyzwaniem.
<i>Romuald Tracki -</i>	zwany dziadkiem Trackim. Samotnik, który wcale aż takim wielkim samotnikiem nie jest. Oczywiście do czasu. Sąsiad Zawilskich.
<i>Podkomisarz Marek Zakrzewski -</i>	policjant, który uległ talentom kulinarnym Marylki. Trudno mu się dziwić. Zapomniał, że w życiu nie ma nic za darmo.
<i>Czesław Brudziński -</i>	wielbiciel włoskiego klimatu i znawca win tęskniący za beztroskim życiem.

<i>Marlena Zawilska</i> -	pisarka pogrążona w pracy nad najnowszą powieścią kryminalną, zmagająca się z niesubordynowanymi bohaterami książki. Pisanie wybija ją z codziennego rytmu i trzeba czasu, by Marlena zauważyła, że wokół niej zaczynają się dziać różne dziwne rzeczy ze szczególnym wskazaniem na morderstwa.
<i>Bracia Gibcy</i> -	zawsze występujący wspólnie właściciele zapuszczonego gospodarstwa przy końcu ulicy Brzegowej.
<i>Jerzy Wiecha-Wiechejski</i> -	emerytowany pracownik pobliskiej komendy policji zaczynający karierę jako milicjant pod koniec lat siedemdziesiątych minionego stulecia. Ambitny i zdeterminowany, by wyjaśnić jedną z tych spraw, które nie dają spać emerytowanym glinom.
<i>Michał Milski</i> -	były mąż autorki niemający wpływu na przebieg akcji.
<i>Alfred Pasłęcki</i> -	mieszkaniec pobliskiej wsi, człowiek niestabilny nerwowo.
<i>Karolina Grońska</i> -	straszna teściowa Józeczka.
<i>Józeczek</i> -	sąsiad Zawilskich, człowiek wielkiej cierpliwości.
<i>Józeczkowa</i> -	żona Józeczka, córka Karoliny Grońskiej, kobieta temperamentna i bardzo zazdrosna.
<i>Mieczysław „Glanc” Chromy</i> -	mężczyzna życia Karoliny Grońskiej. Cóż z tego, że o wiele młodszy? Ponoć szczęśliwi i czasu, i lat nie liczą. Miał swoje za uszami.
<i>Państwo Mazurkowie</i> -	sąsiedzi Marleny posiadający psa obdarzonego talentem wokalnym.

<i>Marlena Zawilska -</i>	pisarka pogrążona w pracy nad najnowszą powieścią kryminalną, zmagająca się z niesubordynowanymi bohaterami książki. Pisanie wybija ją z codziennego rytmu i trzeba czasu, by Marlena zauważyła, że wokół niej zaczynają się dziać różne dziwne rzeczy ze szczególnym wskazaniem na morderstwa.
<i>Koleżanki i koledzy Marleny Zawilskiej z podstawówki -</i>	przyjaźnie zawarte w dzieciństwie są najtrwalsze.



Ze znużeniem wpatrywałam się w ciemny ekran laptopa. Lapek, jak go zdrobniale nazywałam, nie wytrzymał braku aktywności i sam się wygasił. Wiedziałam, że gdy kliknę, pojawi się ta przeklęta biała kartka. Bez tytułu, bez pierwszego zdania, które – jak wiadomo – ma największy wpływ na powodzenie książki. A co z pierwszym akapitem, który leży odłogiem w moich poskręcanych zwojach mózgowych i nijak nie może się zmaterializować? Sytuacja była podbramkowa. Mijał trzeci miesiąc od podpisania umowy na nową książkę. Trzeci! Został ledwie kwartał do terminu oddania tekstu, a ja, wiedząc, o czym chcę pisać, nie wiedziałam, od czego zacząć! Nic, tylko sobie w łeb strzelić i tym samym pozbyć się problemu.

Zachciało mi się być pisarką, to teraz mam, pomyślałam markotnie i jednak kliknęłam *enter*. Biała kartka na monitorze wciąż była pusta. Nie chciało być inaczej. Zamknęłam plik. Zapisz zmiany? Jakie zmiany?! Wklepałam rząd pytańników, zapisałam i uznałam, że pójdę zrobić coś konkretnego. Cokolwiek, byleby nie siedzieć i nie popadać w depresję przed ciemniejącym ekranem laptopa.

Postanowiłam dotlenić mózg. Może kiedy go dotlenię, to zacznie działać.

Było miłe sierpniowe popołudnie, dochodziła szesnasta. Zza otwartego okna dobiegał świergot kąpiących się w piasku wróbli. Pan Kot wygrzewał się na parapecie w resztkach zachodzącego chmurami słońca. Pogoda była nie najgorsza na pracę w ogrodzie.

Wyjęłam z szafki w przedpokoju robocze ciuchy, czarny podkoszulek pamiętający lepsze czasy, legginsy i chustkę na głowę. Zmieniłam okulary. Te, w których piszę, czasami same mi się zsuwają z nosa.

Zamierzałam upiłować nadłamany konar wierzby rosnącej naprzeciw kuchennego okna. Wierzba posadzona przed domem dla ozdoby z czasem rozrosła się i zaczęła skutecznie przysłaniać widok na ogród. Trzeba było przyciąć konary i uregulować bujne pędy. Ostatnie huraganowe wiatry nadłamały jedną z grubszych gałęzi, więc teraz tylko wystarczyło dopomóc naturze.

W pierwszej kolejności wywlokłam drabinkę, która należała do kategorii ciężkiej. Była metalowa, ale nie aluminiowa, więc wymagała siły chłopca i stabilnego podłoża. Komplet pił leżał na szafie na ganku. Wprawdzie w dwóch, takich do cieńszych gałęzi, kiwały się rozeschłe trzonki, ale wystarczyło doraźnie omotać je plastrem, żeby się ustabilizowały. Wzięłam też dwa sekatory, mały i duży z przedłużonymi ramionami, przeznaczony do przycinania grubszych gałęzi. Przyda się. Potrzebowałam jeszcze porządnej siekierki. Moja z wyglądu i gramatury przypominała katowski topór. Nie musiałam daleko szukać, gdyż tkwiła na posterunku w piwnicy, przytulona do pieca centralnego ogrzewania. Trochę przyrdzewiała od wilgoci, ale gdy łupnę parę razy w drzewo, to się sama odrdzewi.

Byłam gotowa. Po usunięciu konara zamierzałam posprzątać leżące wokół starej psiej budy gałęzie, wyclewić grządkę, zamieść wokół i ogólnie poczuć, że jeszcze się do czegoś nadaję.

Drabinkę ustawiłam tak, aby opierała się bokiem o pień drzewa. Dodatkowa asekuracja zawsze jest mile widziana. Na ostatnim stopniu stanowiącym niewielką platformę położyłam trzy piły, siekierkę i sekator. Ten duży. Sprawdziłam stabilność drabiny i weszłam na pierwszy stopień. Potem na kolejne. Powiało z lekka i sprężysta gałąź wierzby musnęła mnie po niedbale zawiązanej chustce. Chwyciłam mocniej za uchwyt drabinki i stojąc na przedostatnim stopniu, schyliłam się po

piłę. Zerwał się mocniejszy wiatr. Ścisnęłam rączkę narzędzia i hardo zabrałam się do pracy.

Białe wióry osypywały moją twarz i ręce, przynosząc ze sobą jakieś czarno-rude drobiazgi. Nie zwracałam uwagi, gdyż byłam zajęta wymienianiem piły na sekator. Chciałam przeciąć grubą korę drzewa, żeby łatwiej szło piłowanie. Przecięłam, szczęśliwie unikając rozbicia okularów. Zawsze zapominam, że sekator swoje waży i lubi odskakiwać od przecinanej gałęzi. Odłożyłam narzędzie i pochyliłam się po siekierkę. Wzięłam trzonek do ręki, gotowa do użycia środków ostatecznych, i dopiero wtedy zauważyłam, że te drobiazgi to mrówki. Zaskoczona odkryciem, tak się zamachnęłam, że mało brakowało, a własnoręcznie skróciłabym się o głowę. Drabinka zakołysała, gdy uparcie broniłam się ciężkim narzędziem od mrówczej czeredy. Zjechałam po pięciu stopniach na ziemię, klapiąc z rozgłosem w obity papą taras dla psa. Siekierka wylądowała obok mnie, a mrówki najspokojniej w świecie wędrowały po moich ramionach. Małpy wredne!

Masowałam obolały tyłek kompletnie zniechęcona i siłą rozpędu kombinowałam co dalej. Mrówki strzepałam. Dla pozorów udały, że się mnie boją. Nadpiłowany konar zawisnął nad moją głową, stwarzając całkiem realne zagrożenie. Zwłaszcza że wiał silny wiatr, a niebo z nieco zachmurzonego, ale miłego dla oka, przeszło w normalne polskie, przynoszące zawieruchy i deszcze. Postanowiłam konar ukreścić. Ewakuowałam drabinkę. Oparta o ogrodzenie nie powinna nikomu zrobić krzywdy. Narzędzia przeniosłam na wspomniany taras, a sama podeszłam do zwisającej gałęzi. Kręciłam zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Gdy trzasnęła, zachwiałam się i z konarem w objęciach wylądowałam na kupce pracowicie gromadzonych kamieni potrzebnych do zbudowania skalniaka. W kości ogonowej załośnie chrupnęło, a ja przypomniałam

sobie, że miałam przyswajać świeże powietrze, a nie uszkadzać tylną część ciała.

Sąsiedzi zajęci swoimi sprawami nie reagowali na moje ekscesy, a Pan Kot, który zastał mnie w momencie, gdy usiłowałam zwlec się z góry polnych kamieni, patrzył dziwnie, ni to z wyrzutem, ni z politowaniem. Ale mu się sierota w domu trafiła. Poznosiłam narzędzia, a cięższy niż myślałam konar przewlokłam po ziemi, sapiąc z wysiłku, i ułożyłam przy ogrodzeniu oddzielającym mój ogród od sąsiadów. Drabinę zostawiłam w spokoju i odpuściłam ogrodowe porządki.

Moja ogrodnicza nadgorliwość na nic się zdała, a ja po raz któryś z rzędu zadałam sobie pytanie o sens takiego, a nie innego życia. Mogłam mieszkać w bloku albo - w ramach zasłużonych luksusów - w apartamencie z dwudziestoczwierogodzinną ochroną, unikając nie dość że kontaktów międzyludzkich, to też jakże bliskich kontaktów z naturą, a konkretnie z ziemią i górą kamieni. Wypoczęte palce same tańczyłyby po klawiszach, produkując kryminał za kryminałem.

A może przerzucić się na pisanie romansów?

To byłoby zdecydowanie prostsze. On kocha, ona nie kocha. Albo odwrotnie. On wyjeżdża, bo nie może znieść odrzucenia, ona orientuje się, że jednak go kocha, ale on już zdążył poślubić inną, więc ona też wychodzi za mąż. Mijają lata, spotykają się na zjeździe szkolnym na przykład, uczucie wybucha, ale potem on ląduje w szpitalu, bo miał wypadek, gdy wracał taki zakochany. Ona myśli, że ją wykorzystał, więc ponownie wychodzi za mąż za pierwszego z brzegu. Znowu mijają lata, spotykają się w ekskluzywnym domu starców, oboje samotni z głębokim postanowieniem spędzenia razem ostatnich dni życia. Ślub, żeby wszystko było formalnie, i biała suknia panny młodej.

Lenka, czyś ty oszalała?! Jakiej panny młodej!? Suknię już dawno mole zżarły. Romanse są do kitu. Wolę pisać kryminały.

Strzepałam z siebie resztki mrówek i zdjęłam z włosów poszarpaną przez gałęzie chustkę. Umyłam się i przebrałam w dres. Za oknami zrobiło się już całkiem ciemno, a o szyby waliły duże krople deszczu. Pan Kot siedział na wycieraczce przed drzwiami do domu i czekał, aż go wpuszczę. Kość ogonowa bolała mnie coraz silniej. Potrzebowałam czegoś specjalnego, żeby wrócić do formy.

Padło na grzańca. Miałam otwarte wino, jeszcze z zeszłego miesiąca. Nawet jeśli trochę wywietrzało, to na grzańca się nada. Cynamon, goździki, odrobina miodu. Zagrać.

W pierwszej kolejności dałam jeść Panu Kotu, który miał w nosie moją obolałość i chciał dostać to, co mu się w ramach współmieszkania należało. Kiedy już go obsłużyłam, zajęłam się sobą. Wlałam wino do rondelka, postawiłam na ogniu, dodałam resztę ingrediencji i wciągnęłam zapach świąt. Za oknem nadal ciupało żabami, a mnie ogarniała senność. Ocknęłam się, gdy bulgoczące wino zaczynało spływać po zewnętrznych ściankach rondelka, wydzielając przy tym upojne korzenne wonie. Znowu przegotowałam...

Pan Kot z namaszczeniem wylizywał resztki tuńczyka w sosie własnym, które podeschły i przywarły do ścianek miseczki. Był zmęczony po całym dniu wyteżonej pracy, a woń wydobywająca się z ustawionego na kuchence garnuszka działała na niego usypiająco.

Co znowu ta sierota wymyśliła? Już i tak z ledwością dzisiaj powstrzymał się przed wiele mówiącym prychnięciem na widok ciała gramolącego się z wysiłkiem i pojękiwaniem z kupki kamieni. Nie zamierzał jej przypominać, że własnoręcznie i dobrowolnie zgromadziła sterty gruzu szumnie nazywanego

kamieniami wapiennymi. Obok ułożyła otoczaki, które podobno miały ozdobić ogrodowe oczko. Oby.

Usadowił się wygodnie na parapecie i z lekka czknął rybą. Znowu zjadł zbyt dużo. Z mozołem podniósł łapkę do pyszczka i zaczął czyścić pazury. No już, już, wyłącz te smrody, kobieto. Że też wszystkiego trzeba w tym domu pilnować!

W końcu wyłączyła. Przez chwilę stała i wdychała zapach, jakby to co najmniej była kocimiętka. Wlała miksturę do kubka i poszła zasmradzać pokój. I gdzie on będzie spał?

Pan Kot potępiająco machnął łapą i postanowił, że wyjdzie na dwór. Tę noc spędzi poza domem, choćby miał spać na wycieraczce.

A potem łaskawie wróci. Jak zawsze.

Ranek wstał rześki. Powiało chłodem. Kto to widział takie wahania temperatury pod koniec sierpnia! Było nie było, to wciąż jest lato. Od upału powyżej trzydziestu stopni do deszczowych trzydniówek z temperaturą w porywach do piętnastu. Choćby człowiek nie wiem jak chciał twórczo pracować, to i tak nie jest w stanie. Pogoda na to nie pozwala.

Kość ogonowa bolała mnie coraz mocniej, więc siedzenie sprawiało trudności. Pytanie, jakim cudem cokolwiek napiszę i wyrobię się z terminem do połowy listopada, wisiało w powietrzu bez odpowiedzi. Już dawno przestałam wierzyć w cuda. Za wyjątkiem tych pod patronatem świętego Antoniego, ale to całkiem inna sprawa i porządny święty.

Postanowiłam, że po śniadaniu jeszcze raz przeczytam konspekt przyszłej książki i spróbuję podjąć jakieś decyzje. Cokolwiek, byleby pchnąć sprawy do przodu. Mordercę miałam wymyślonego, a nieboszczyk, cóż... nie był taki zły.

Otworzyłam okno, żeby pokój się przewietrzył, gdyż nadal czułam lekką woń moich kulinarnych eksperymentów z winem. Pan Kot ułożył się na kanapie, przygotowany do głaskania, a ja

sięgnęłam po nakreślony jakiś czas temu plan i zagłębiłam się w czytaniu.

Przyszły Denat stwarzał pewne problemy. Dziennikarz z wykształcenia i zawodu jeszcze do niedawna zajmujący się problemami typu: skłonności przebrzmiałej gwiazdy do alkoholu, kuracja odchudzająca znanego prezentera czy ekspresowe przedłużanie włosów w salonie piękności będącym pralnią brudnych pieniędzy mafii. Oczywiście o samej mafii nie pisał, gdyż nie zamierzał mieć większych problemów. On specjalizował się w celebrytach. Mężczyzna jeszcze młody i w miarę przystojny, jakby to miało mieć znaczenie dla rozwoju sytuacji, z mało skomplikowanym życiorysem, u którego doszły do głosu resztki ambicji i postanowił wyjaśnić sprawę, na którą natknął się, tropiąc ślady drobnych afer wybuchających w wymuskanym światku celebrytów.

Dlaczego facet, który przez większość zawodowego życia zajmował się porównywaniem nóg drugorzędnych aktorek, ryzykuje karierę? Jakiś powód musi być. Może mu ktoś mimochodem rodzinę skrzywdził, przykrość wyrządził niespodziewaną albo groził i okazało się, że akurat na ten typ człowieka groźby działają pobudzająco. Ruszył więc do działania.

„Przyszły Denat przeszedł przemianę po załamaniu psychicznym byłej narzeczonej uwikłanej w nielegalne interesy prowadzone przez firmy Przyszłego Mordercy” - tyle odpowiedział mi konspekt.

Przyszły Morderca też niczego sobie... To osoba uważająca, że jest nietykalnym pępkiem świata. Kiedy ktoś z zewnątrz zaczął węszyć wokół niego, zrobiło się gorąco. No, może nie od razu gorąco, ale nieprzyjemnie ciepło. A takiego nieprzyjemnego ciepła nie lubią ludzie biznesu. Największy

komfort czują, gdy wokół jest cicho i spokojnie, a oni z uśmiechem załatwiają swoje sprawy.

Mnóstwo osób postronnych. Zdecydowanie za dużo, oceniłam. Muszę kogoś wyciąć. Czytałam, zastanawiając się, co mnie podkusiło, by tak namotać w konspekcie. Powinno być prosto, przejrzyste i zrozumiałe dla czytelnika, a sama się w tym gubię.

I najważniejsza sprawa – lokalizacja!

Przypomniałam sobie lata temu podczytywane porady na temat pisania bestsellerów. Stało tam jak byk, że najważniejsza oprócz miłości jest lokalizacja. Czyli żadna pipidówka, żadna prowincja, co najmniej Wrocław albo Gdańsk, a najlepiej od razu z grubej rury wysłać bohaterów do Londynu albo innego Paryża. Z przejęcia zaczęłam obgryzać ostatni ołówek. Chciałam zabłysnąć, wymyślić coś atrakcyjnego i przebić tym inne kryminały.

Tak... to było to! Powinłam wysłać mordercę do Barcelony! Torreador w czasie corridy przez przypadek zamiast byka zabija nieszczęsną ofiarę, która nie wiadomo w jaki sposób znalazła się w zasięgu tej tam długiej, nigdy nie pamiętam, jak się to narzędzie zbrodni nazywa. Zapada cisza, wszyscy na ostatnim wdechu, a tu świst i denat gwarantowany. Torreador płacze rzewnymi łzami i okazuje się kobietą.

Wzruszające, jednak to nie ten gatunek literacki. Poza tym o ile dobrze pamiętam, corridy w Katalonii zostały zakazane. I bardzo dobrze! Robienie spektaklu ze śmierci zaszczonego zwierzęcia nikomu nie przynosi chwały.

Tak się wczułam, że prawie miałam przed oczami scenę konania i niesienia pomocy usta-usta. Z zamyślenia wyrwał mnie gwałtowny dźwięk przypominający ryk krowy. To pies państwa Mazurków sygnalizował potrzebę natychmiastowego wyjścia na spacer. Zanim zdążyłam odłożyć łapka z kolan na ławę, do kakofonii dźwięków dołączył odgłos kosiarki



spalinowej, którą uruchomił sąsiad, i warkot helikoptera zmierzającego w kierunku szpitala. O błogim spokoju, jakże potrzebnym przy pisaniu, mogłam zapomnieć.

Zrobiłam listę zakupów, przebrałam się w dyżurne wyjściowe ciuchy i wyszłam do sklepu.

Miasteczko jest większe, niż myślą ci, którzy po raz pierwszy słyszą jego nazwę. Kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, mnóstwo imprez kulturalnych, dookoła pola i wsie. To idealne miejsce. Mieszkam w nim od urodzenia i nie zamierzam się wyprowadzać. Bo niby dokąd? Do Warszawy? To akurat mi do szczęścia nie jest potrzebne. Na jakąś wieś cichą i przytulną, gdzie w każdej chałupie trup w piwnicy ukryty i mnogość niewyjaśnionych spraw przytłacza? Też nie. W naszych piwnicach jest wystarczająco dużo trupów. Pełny asortyment. Najlepsze do mieszkania są miasta, w których zachowując względną anonimowość, możemy czuć się bezpiecznie. Nie za duże, nie za małe. Moje właśnie takie jest. Rynek i stare miasto zlokalizowane w centralnym punkcie miejskiej mapy oraz osiedla składające się z bloków wybudowanych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych minionego stulecia. Kilka wieżowców to efekt pracy budowniczych we wczesnych latach osiemdziesiątych, a rozrastające się dzielnice podmiejskie to plon ostatnich lat.

Dzisiaj słońce zdrowo przypieka, a ja idę lewą stroną ulicy, chowając się w cieniu wybujałych lip posadzonych w ramach prac społecznych wykonywanych w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Wlokę się powoli, obolała po wczorajszych harcach z siekierką, potykając się na nierównych płytkach chodnikowych. Mijam domy jednorodzinne, wymieniając z ich mieszkańcami zwyczajowe „dzień dobry”. Pogoda dopisała, więc ludzie starają się nadgonić zaległości w ogrodach, pielą rabatki i koszą trawniki na potęgę. Ja też powinnam, bo za

chwile zamiast w miarę zadbanego ogrodu będę miała zarośniętą wybujałą trawą i polnym kwieciami łąkę. Nie ma zmiłuj, swoje trzeba zrobić, nawet książka musi poczekać. Mobilizuję się i przyspieszam kroku. Na szczęście do najbliższego sklepu mam niedaleko. Zostawiam za sobą domki i wchodzę pomiędzy czteropiętrowe bloki. To właśnie tam jest zlokalizowany mój ulubiony sklep.

W środku wieje pustkami. Jak zawsze kupuję pół bochenka chleba, masło, twaróg półtłusty, dwadzieścia deko sera żółtego, wodę mineralną niegazowaną oraz kilka plasterków wędliny, bardziej dla Pana Kota niż dla mnie. Podobno nie należy karmić kotów wędliną. Jednak cóż zrobić, skoro Pan Kot uwielbia szynkową. Dokupuję dwie puszki tuńczyka w sosie własnym i wędzoną makrelę. Wygląda na świeżą. Zjemy z Panem Kotem na kolację. W pamięci przebiegam stan zapasów. Saszetki jeszcze są, sucha karma też. W razie czego dokupię następnym razem w zoologicznym. Dla siebie nie zamierzam gotować obiadu. Odkąd mama wyjechała do cioci, odtąd z lenistwa przeszłam na suchy prowiant tylko dla spokoju sumienia uzupełniany gotowanymi warzywami.

Moje myśli krążą wokół tego kryminału, który nie chce się dać napisać. Denat. Najważniejszy jest denat. A może jednak morderca? Nie. Absolutnie nie. Najważniejszy jest motyw. Powód, dla którego osoba pozornie, a może nawet nie pozornie, tylko naprawdę porządna i prospołeczna jest gotowa sięgnąć po środki ostateczne i zabić. Podobno każdy z nas w określonych okolicznościach może się stać mordercą. Dowiedli tego amerykańscy uczeni. A jeśli to właśnie oni tego dowiedli – kimkolwiek są – nie pozostaje mi nic innego, jak przyjąć to za pewnik. Wszak wszystkie teorie eksportowane zza oceanu są u nas niepodważalną prawdą.

Wracam obładowana siatkami, bo wstąpiłam jeszcze do warzywniaka i dokupiłam trochę ziemniaków, dwa buraki,

pęczek marchewek, jabłka i cukier. Dobrze, że mieli ten cukier, bo nie umiem pić gorzkiej kawy. Ziemniaki ugotuję w mundurkach, zawsze to mniej pracy, a podane z masłem i solą są namiastką tych pieczonych niegdyś w ognisku. Pracy nie wymagają, a zachowują pozory obiadu. Idę skrótem koło domu dziecka. Kilku nastolatków gra w piłkę, za którą goni też biały pies podobny do labradora. Zajęci swoimi sprawami, nie zwracają na mnie uwagi. Przemykam w stronę bramy. Nie uśmiecha mi się oberwać piłką w głowę. Powinnam chodzić przez szkolne boisko, byłoby szybciej, ale peszą mnie te wywieszki, że zabronione. Bramki już od kilku lat nie ma, brama otwarta, wszyscy chodzą, a tu zabronione. To moja dawna szkoła. Mnóstwo wspomnień łączy mnie z tymi odnowionymi za unijne pieniądze murami. Doskonale pamiętam lekcje fizyki w sali schowanej we wnęce przy wejściu do pokoju nauczycielskiego. To tam drewnianym krzesłem przyłożyłam koledze, który nieopatrznie wyprowadził mnie z równowagi. Bić się nie lubiłam, ale krzesło jako narzędzie odwetu siłowego sprawdziło się znakomicie. Poza tym lekcje nie były zbyt atrakcyjne i mało kto zwracał uwagę na próbującą nas czegoś nauczyć fizyczkę, skądinąd bardzo sympatyczną i lubianą nauczycielkę. Tylko ta fizyka nikomu nie leżała. Zdaje się, że jej też nie.

Ogólnie bardzo miło wspominam czas podstawówki. Na przykład biblioteka... Tak się zamyśliłam, że o mało nie uszkodziłam faceta, który szedł z naprzeciwka. Duży i przyciężki, zamortyzował moje potknięcie, wykazując się refleksem i podtrzymując mnie za ramię. Mało brakowało, a wraz z siatami wylądowałabym na ziemi!

Bąknęłam jakieś niemrawe „przepraszam”, chcąc w miarę kulturalnie zejść mu z drogi i udać się w kierunku wejścia do szkoły. Chętnie sprawdziłabym, gdzie teraz znajduje się biblioteka. Po trzydziestu pięciu latach wszystko miało prawo

się zmienić albo mnie w pamięci przestawić. Facet stał jak wmurowany, wpatrując się we mnie trochę nazbyt intensywnie. Poczulałam się nieswojo. Wprawdzie był środek dnia, a nawet co bardziej dociekliwi dostrzegliby, że do środka dnia kilku godzin brakuje – jednak strach mnie obleciał. Jak mówią, „dla chcącego nic trudnego”. Kto powiedział, że nie można mordować w południe? Byłby z tego nawet niezły tytuł w lokalnej prasie: „Śmierć w południe”.

- Lenka?! - Facet zagulgotał radośnie. - Kobieto, kopę lat! Ja to mam szczęście... Dopiero co wróciłem i już cię spotykam!

Nie rozumiałam tej jego radości i nie „spotykam”, tylko „potykam”. To ja się o niego potknęłam! Uniosłam głowę i przyjrzałam się uważniej rozradowanemu mężczyźnie. Coś piknęło mi w środku, bo te oczyska były jak dwa jeziora głębokie, prawie Hańcza. No, nie może być! Czyżby Eugeniusz Słodki się odnalazł?

- Gieniu, to naprawdę ty? - kwiknęłam radośnie, powstrzymując odruch ponownego rzucenia mu się w ramiona. Już w pełni usprawiedliwionego.

- Pamiętasz? No ty byś nie pamiętała... - mamrotał z rozczuleniem, zabawnie podrygując. - Koniecznie musimy się spotkać i pogadać. Masz kontakt z naszymi? Bo ja w ogóle, ale pomyślałem, że przyjadę i kogoś znajdę. Siądziemy, pogadamy... Będzie jak za dawnych czasów. Nasza stara buda – westchnął z rozrzewnieniem. Przerwał tyradę, żeby złapać oddech. Zanim zdążyłam się wtrącić, kontynuował: - Lenka, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. To co? Dzisiaj wieczorem? - Wyjął ręce z kieszeni, tłamsząc w nich wizytówkę. - Masz. Tu jest numer do mnie – rzekł i wcisnął mi kartonik. Sięgnął jeszcze raz do kieszeni i wygrzebał z niej telefon komórkowy. - Rzuć no namiary na siebie, żebyśmy kontaktu nie stracili – rozkazał.

No to rzuciłam, bo rzeczywiście byłoby głupio tak się odnaleźć i od razu zgubić. Pomyślałam, że jak kuć żelazo, to tylko gorące, więc z miejsca zaproponowałam:

- Jasne! Jeśli ci pasuje, to o siódmej w Pinezce. Zadzwońię do ludzi. Tylko że wiesz, jak teraz jest... Wszyscy są obłożeni obowiązkami i mogą nie przyjść. Gdy mieliśmy mieć spotkanie klasowe, to też wszyscy chcieli, gadali, żeby zorganizować, a potem połowa klasy nie przyszła. Wiesz, jak jest - powtórzyłam niezobowiązująco i przypominając sobie o wieloletniej nieobecności Gienia w Miasteczku, wyjaśniłam mu, jak dojsć do proponowanej przeze mnie knajpy.

- Wiem, wiem... ale ty przyjdiesz? - upewnił się. - Bo wiesz, mamy do pogadania.

Mieliśmy.

- Przyjdę - zapewniłam. - Skoro już się odnalazłeś, to nie przepuszczę takiej okazji i wypowiadam cię za wszystkie czasy - zażartowałam. Po chwili zapytałam w celu doraźnego zaspokojenia ciekawości: - A gdzie ty się podziewałeś przez te wszystkie lata?

Gieniu łypnął na mnie, z lekka zezując, co oznaczało, że zadałam niewygodne pytanie. Odpowiedział:

- W Australii byłem. No to na razie! - Zakręcił się w miejscu i w chwilę potem zniknął w bramie prowadzącej ze szkoły na ulicę, a ja - wybita z rytmu - nie zwracając sobie głowy szkolną biblioteką, podążyłam do domu.

Jedno mi nie pasowało. Mój kolega mówił tak, jakby nigdy z Polski nie wyjeżdżał, a przecież tyle lat w Australii powinno było się odbić na akcencie.

Do trzeciej zdążyłam obdzwonić jedną trzecią byłej klasy, każdego informując o powrocie naszego kolegi z podstawówki, Eugeniusza Słodkiego, i planowanym spotkaniu w Pinezce.

Knajpa ta została wybrana ze względu na strategiczne położenie. Wszyscy mieliśmy do niej równie blisko, co daleko. Były też wspomnienia - spotkanie klasowe sprzed prawie dziesięciu lat trwające upojnie do piątej nad ranem. To były piękne czasy!

Otrząsnęłam się z zamyślenia. Powinnam coś przełknąć, bo nie lubiłam wychodzić z domu głodna, zadzwonić w parę miejsc i przyjść na umówione spotkanie dobre piętnaście minut wcześniej.

Rzeczywiście, mieliśmy do pogadania. Jeżeli kiedykolwiek miałam wątpliwości co do tego, kto zakosił mi płytę ABBY, to teraz już byłam pewna, że Słodkiego ruszyły wyrzuty sumienia. Poza tym łączyła nas tamta sprawa. Szczerze mówiąc, już dawno zdążyłam o niej zapomnieć, ale jeżeli Gieniu ją miał na myśli, a byłam prawie pewna, że tak, to coś było na rzeczy. Znaleźliśmy się wtedy w nieodpowiednim miejscu o niewłaściwym czasie, a zaraz potem był koniec roku szkolnego, koniec podstawówki, i on zniknął. Na całe długie trzydzieści pięć lat. Cóż, porozmawiamy. Może mój szkolny kolega ma całkiem co innego na myśli. Tego na razie nie wiedziałam.

Nie było innego wyjścia, jak szybko przygotować się na wieczór.

Doszło do mnie, że trzeba coś na siebie włożyć, coś innego niż dyżurne ciuchy do sklepu. Należę do kobiet, które na ostatni moment odkładają szukanie w szafie czegokolwiek niezmiętego. Zdarza mi się prasować, ale to rzadkość. Po prostu cierpliwie czekam, aż się wyprostuje. Właśnie pracowicie prostowałam zagięcia w dżinsach, które zgruchmonione leżały w głębi szafy, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Mojemu „proszę” odpowiedziała niczym niezmacona cisza. Byłam do tego przyzwyczajona. Po ostatnich zmianach związanych z przełączeniem na coś tam telekomunikacyjne, głos po drutach szedł dłużej i zanim dotarł do ucha, trzeba było

odczekać. Po chwili doszło do mnie końcowe „bry” i świst. Grzecznie się przywitałam, czekając, co dalej nastąpi.

- Czy mam przyjemność rozmawiać z właścicielką numeru?

- Tak, przy telefonie - odpowiedziałam, choć byłam niepewna, czy dobrze robię. Człowiek nigdy nie wie, jakie licho siedzi po drugiej stronie słuchawki.

- Bardzo mi miło. Pani numer telefonu otrzymałam od Janiny Jaśkowiec, która potrzebuje dodatkowej prezentacji, by otrzymać nasz jedyny i niepowtarzalny odkurzacz w cenie promocyjnej. Kiedy możemy urządzić u pani tę prezentację? Nadmienię, że pani Janinie się spieszy, ponieważ promocja trwa tylko do dzisiaj do godziny dwudziestej czwartej. Czy dwudziesta pani odpowiada? Czy małżonek będzie obecny na pokazie?

- Jaki małżonek? - zapytałam przytomnie.

- Pani małżonek - odpowiedział mój rozmówca z przyganą w głosie. Rzeczywiście, moje pytanie o małżonka było nieco dziwaczne.

Wzięłam się w garść.

- Proszę pana - zaczęłam uprzejmie - po pierwsze nie znam żadnej pani Jaśkowiec, pierwszy raz słyszę to nazwisko, po drugie nigdy i pod żadnym pozorem nie urządzam w moim domu prezentacji, a po trzecie, najważniejsze, małżonek rozwiódł się ze mną ponad dziesięć lat temu i szczęśliwie już ze mną nie mieszka. Zrozumiał pan? Nie nadaję się do tego typu akcji.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła krępująca cisza, ale męczyzna szybko odzyskał rezon i miłym głosem zapytał:

- A może ktoś z pani znajomych urządziłby prezentację odkurzacza u siebie? Jeśli poda mi pani numer telefonu, to nie będzie pani musiała czegokolwiek załatwiać. Zadzwońię i powołam się na panią. Jak godność, żeby wiedział?

W tym momencie zrozumiałam, że padam ofiarą wymuszenia ujawnienia danych osobowych, a wskazówka zegara niebezpiecznie zbliża się do piątej. Nie siląc się na uprzejmości, rzuciłam panu krótkie „do widzenia” i odłożyłam słuchawkę. Nie zdążyłam ruszyć się z miejsca, gdy telefon ponownie się rozdzwonił. Tym razem dźwięcznie przywoływała mnie do siebie komórka. Na wyświetlaczu zobaczyłam nieznany mi numer. Odebrałam i nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, ten ktoś się rozłączył. Nacisnęłam wybieranie ostatniego połączenia i cierpliwie czekałam, ale sygnał zajętości nie dawał szans na szybką reakcję. Odpuściłam i wróciłam do wybierania ciuchów. Jakaś bluzka by się przydała do tych pomiętych dzinsów.

Nakarmiłam Pana Kota, pozamykałam wszystkie okna i drzwi. Jeszcze dwadzieścia lat temu, wychodząc z domu, zostawiłabym otwartą bramkę i uchylone okno na piętrze, przekonana, że nic złego stać się nie może. Trasę do Pinezki pokonałam w piętnaście minut i lekko zdyszana opadłam na krzesło przy stoliku osłoniętym dużym parasolem z nadrukiem lokalnego browaru. Uspokoiliłam oddech i rozejrzałam się, usiłując wśród ludzkiego mrowia popijającego piwo z kufli znaleźć znajome twarze. Nikogo. Pomyślałam, że może siedzą wewnątrz lokalu. Nawet trochę się tym zmartwiłam, ponieważ pogoda była odpowiednia do relaksowania się pod parasolem. Z niechęcią podniosłam się i powędrowałam do środka. Wewnątrz było pusto. Z głośników sączyła się nienachlana muzyka, a przyćmione światła tworzyły miłą atmosferę. Brak obsługi przy barze wskazywał, że klienci jednak bardziej cenią sobie miejsca na świeżym powietrzu. Pchnęłam wahadłowe drzwi i weszłam na zaplecze. Młoda dziewczyna paliła papierosa, opierając się plecami o framugę drzwi. Przy uchu trzymała telefon i nie



poświęcając mi ani grama uwagi, nawijała coś o wizycie u kosmetyczki.

Przywołałam ją brutalnie do rzeczywistości i po chwili z małym piwem w kuflu wyszłam na zewnątrz. Ucieszyłam się, gdyż przy stoliku siedziały Agnieszka z Kaśką. Właśnie zbliżał się też Adam, jak zawsze z plecakiem w ręku. Znaczący trzon grupy przyszedł, ale Słodkiego ani śladu.

Dzwoniliśmy do niego co kilkanaście minut, do dziesiątej bateria piw urosła, a Adam nerwowo tłumaczył żonie, że jeszcze ma kilka spraw do załatwienia. Po dwudziestej drugiej odpuściliśmy, a ja obiecałam, że gdy tylko Gienka spotkam, to w imieniu wszystkich kumpli obiję mu pysk. Bez dwóch zdań. Zasłużył.

Po kilku dniach gniew na świeżo odzyskanego i utraconego ponownie kolegę mi przeszedł i zaczęłam podejrzewać, że może stał się ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Gieniu, jaki był, taki był, ale jeżeli dobrze się domyślałam, o czym chciał pogadać, to bez powodu by sobie naszego spotkania nie odpuścił.

Nieco zbyt dżdżysta i chłodna końcówka sierpnia zapomniała, że jeszcze trwa lato, i zachowywała się tak, jakbyśmy już mieli jesień i to nie tę polską i złotą, tylko angielską – pełną szarugi i mgieł. Nadejścia lepszej pogody na razie nic nie zapowiadało. Jak rzadko o tej porze roku zdarzało mi się przepalać w piecu. Po tygodniu piętnastostopniowych temperatur na zewnątrz w domu było coraz chłodniej.

Pisałam. W końcu udało mi się złapać ciąg do klepania w klawisze i nie zwracając sobie głowy doraźnymi porządkami, zarastającym ogrodem i innymi w tym momencie mało ważnymi sprawami, zapełniałam strony na ekranie laptopa. Cieszyłam się jak głupia, bo w końcu denat miał się spotkać z mordercą i wszystko zaczynało się prawidłowo układać. Konstruując intrygę kryminalną, trzeba cały czas pamiętać, by w

odpowiednim momencie skrzyżować drogi Przyszłego Mordercy z Przyszłym Denatem. Nie zawsze jest to łatwe do wykonania, ale kryminał opiera się na logice, nawet jeżeli czytelnikowi wydaje się, że intryga jest kompletnie oderwana od rzeczywistości. Nic z tego. Zawsze w finale widać zadzierzgnięcie akcji.

Miałam już ponad pięćdziesiąt stron i pewnie zmierzałam ku zbrodni. Akcję, tak jak planowałam, częściowo ulokowałam w Barcelonie. Wystarczyła dobra wyszukiwarka obiektów, mapy Google i laptop pełen moich zdjęć sprzed kilku lat. Szybko odświeżyłam sobie pamięć. Parę lat temu włączyłam się po zaułkach i nie tylko zaułkach Barcelony. Teraz tamte doświadczenia ze znawstwem przelewałam na elektroniczny papier. Część akcji dla przeciwwagi ulokowałam w Miasteczku. Stąd pochodził denat. Żeby wszystko dobrze rozplanować, postanowiłam zrobić wizję lokalną. Pamięć pamięcią, ale lubię wszystko sprawdzić osobiście. Poza tym głupio posługiwać się nowoczesną techniką, gdy wszystko jest na miejscu.

Postanowiłam się ruszyć z domu. Do pojemnej torby spakowałam aparat fotograficzny i podręczny notes, w którym zapisuję na bieżąco pomysły do książek. Panu Kotu dosypałam suchej karmy, żeby czuł, że o niego dbam, narzuciłam na ramiona lekką kurtkę i wyszłam. Pierwotnie plan zakładał, że podjadę na miejsce akcji samochodem, ale plan swoje, a życie swoje. Tygrysek nie zapalił, a ja zrozumiałam, że czekają mnie nowe wydatki. Po ostatniej reanimacji auta usłyszałam, że wypadaloby wymienić akumulator, ale że samochód sprawował się przyzwoicie, rada poszła w zapomnienie. Jakbym mało miała na głowie. Mama mogłaby już wrócić i wprowadzić stały rytm do naszej egzystencji. Najlepiej w postaci trzydaniowych obiadów. Zrezygnowana, odpuściłam rzęzącemu samochodowi, wyjęłam kluczyki ze stacyjki i powędrowałam z powrotem do domu. Ta kurtka była zbyt lekka na taką pogodę.

Ubrałam się nieco cieplej i dzielnie ruszyłam w kierunku przystanku autobusowego. Nie czekałam długo. Po kilku minutach pojawiła się pusta jedyńka, którą mogłam dojechać w pobliże upragnionego miejsca. Zamierzałam pstryknąć kilka zdjęć oraz przypomnieć sobie lokalizację charakterystycznych punktów, żeby mi się odległości zgadzały. Niestety, mogłam dojechać tylko do peryferii, a dalej musiałam udać się na piechotę. W sumie byłam zła na siebie. Równie dobrze mogłam tu przyjechać jutro, a nawet za tydzień. To nie! Uparłam się na już! Wsiadłam z autobusu popychana przez babę z torbami, która parła do przodu, jakby brała udział w zawodach w wysiadaniu na czas. Siłą rozpędu dotarłam do ronda i przeczekałam sznur tirów, które nie zamierzały się zatrzymać na widok osoby stojącej przy przejściu. Jak zawsze panowie kierowcy byli ponad to! Gdy tylko udało mi się wypatrzeć lukę między samochodami, desperacko wdarłam się na przejście dla pieszych i zapominając o instynkcie samozachowawczym, przemknęłam na drugą stronę ulicy. Odgłosy hamowania za plecami świadczyły nie tylko o moim refleksie. Uff, odsapnęłam z ulgą, najbardziej ekstremalną część trasy miałam już za sobą. Teraz mogłam wrzucić na luz i rozpocząć pracę w terenie. Nie czekając długo, uwieczniłam na zdjęciach samochód czekający na nowożeńców. Wielka, biała limuzyna ozdobiona bijącymi w oczy złotymi, nieco rozchwianymi u podstawy obręczkami przyciągała wzrok i reklamowała agencję świadczącą usługi ślubne. Przy okazji cyknęłam zdjęcie wiaduktu, żeby pamiętać wysokość przejazdu. Nie było mi to w tej chwili do niczego potrzebne, ale być może kiedyś się przyda. Przeszłam pod mostkiem, uchylając głowę przed kapiącymi kroplami. Znowu na górze zgromadziła się kałuża po poprzednich deszczach. Przyspieszyłam kroku i wyszłam na prostą. Miałam przed sobą rozgałęzienie głównej drogi. Stałam chwilę, przyciągając uwagę wałęsającego się w okolicy małego psa. Wyglądał na

takiego, co lubi podróże. Oczy mu błyszczały zachęcająco, a ogon omal nie odpadł od zawrotnego merdania. Piesek wyraźnie miał ochotę na moje towarzystwo. Okej, w takim razie niech on wybiera. Na los szczęścia, Baltazarze, pomyślałam i pochylając się nad psiakiem, poprosiłam dobitnie: prowadź, idziemy. Piesek zrozumiał moje żądanie i wysforował się przede mną, biegnąc w kierunku jednego z odgałęzień ulicy. Do czego to doszło, żeby obcy psiak wybierał mi miejsce akcji, pomyślałam z rozbawieniem i sięgnęłam do torby, by powtórnie wyjąć z niej aparat fotograficzny. Robiło się ciekawie.

Do przystanku dowlokłam się ostatkiem sił i z westchnieniem ulgi usiadłam na ławeczce. Co mi przyszło do głowy, żeby umieszczać część akcji na komunikacyjnym odludziu? Powiało chłodem. Niebo zaciągały brudnoszare chmury. Te odgórne przetasowania zapowiadały ulewę. Już zamierzałam zacząć rozczulać się nad sobą, bo nie przepadam za taką aurą, gdy spojrzałam w lewo, w stronę, z której miał nadjechać autobus.

Przepadłam!

Serce mi zadrgało na widok zabójczo przystojnego bruneta. Stał obok przystanku i przepisowo, poza miejscem publicznym, palił papierosa. Ach, jak on się zaciągał! Z takim zaangażowaniem i maestrią, jakby od tego zależała jego przyszłość. A może także teraźniejszość? Jestem uczulona na dym z papierosów, unikam palaczy, ale ten miał w sobie urok wielkiego świata i dodatkowo wdzięk hiszpańskiego kochanka. Odziany w przykusy płaszczyk ze sztruksu w odcieniu śliwki węgierki, czarne dzinsy i szmaragdowozielony szal był kolorową plamą, pacnięciem pędzla domorosłego artysty na szarym, przeciętnym do bólu tle. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Mężczyzna skończył palić, rzucił niedopałek na płytę chodnika i wdeptał w beton. W tej samej chwili nadjechał autobus i grupa z przystanku ruszyła szturmem do ataku.

Autobus był mały, grupa duża. Całe szczęście, że mój jeszcze nie nadjechał. Mogłam spokojnie się przyglądać bezładnej szarpaninie. Dlaczego ludzie nie potrafią uformować klasycznej kolejki? Liczba miejsc siedzących i miejsc stojących wypisanych na boku autobusu dobitnie wskazywała, że każdy powinien się zmieścić. Że nie każdy będzie siedział? Cóż, tak bywa.

Zajęta śledzeniem przebiegu wsiadania, nie zauważyłam momentu oddalenia się mężczyzny od przystanku. I, niestety, ode mnie. Nie wsiadł do autobusu, tego byłam pewna. Skłęłam się w myślach za brak podzielnej uwagi i jeszcze raz rozejrzałam się wokół, usiłując przebić się wzrokiem przez ciżbę ludzką i wysledzić choć cień śliwki węgierki. Jasny gwint! Zniknął!

Nie miało sensu wyczekiwanie na jego powrót ani tym bardziej węszenie w okolicach przystanku w godzinach szczytu. Mogłam tylko liczyć na miłosierny przypadek, który ponownie przetnie nasze drogi lub - mówiąc górnolotnie - skrzyżuje nasze losy. Gdybym wtedy wiedziała, jak skrzyżuje, to odpukiwałabym ten pomysł do upadłego. Z jakiego powodu przypadek miałby się angażować w moje sprawy, tego nie wiedziałam, ale facet miał w sobie to coś, co sprawia, że kobiety zatrzymują na mężczyźnie wzrok dłużej, niż to jest wskazane. Palił... Cóż, nie ma ludzi bez wad.

Nieco rozczarowana wsiadałam do mojego autobusu. Przystankowy tłum rozjechał się po dzielnicach Miasteczka. Usiadłam wygodnie na miejscu przy oknie i zaczęłam myśleć. Miałam na myślenie niewiele ponad dwadzieścia minut. Autobus przebiegał się przez ulice, co jakiś czas wypluwając sporą grupę osób. Co to się porobiło, że ludziom nie chce się przejść pół kilometra, tylko od razu muszą jechać. Wysiadłam przy sklepie całodobowym i skierowałam się w stronę mojej dzielnicy. Miło tu u nas i skromnie. Mniejszy ruch na drodze,

brak szpanerskich sąsiadów i traktorów do koszenia trawy na stumetrowych trawnikach. Dobrze i to.

Wciąż miałam przed oczami sylwetkę mężczyzny, ale piorunujące wrażenie spowodowane, jak sądziłam, kontrastem koloru i szarości zaczynało się zacierać. Uświadomiłam sobie, że brunet miał przydługie włosy proszące o przycięcie u fryzjera i modny, ale nieco niechlujny trzydniowy zarost. Palce zapewne pożółkłe od nikotyny i niewypastowane skórzane buty. Buty ze skóry wymagają częstego pastowania i glansowania. Nie byłam pewna, czy w innych okolicznościach zwróciłabym uwagę na tego mężczyznę. Zwłaszcza że nie należał do mojej kategorii wiekowej, miał co najwyżej trzydziestkę. Młody był. Zdecydowanie za młody jak dla mnie.

Resztę trasy do domu poświęciłam na rozmyślanie o nagłym pojawieniu się i zniknięciu Eugeniusza Słodkiego. Postanowiłam popytać w szpitalu i rozesłać wici wśród znajomych. Pamiętałam, że Gienek ma wprawę w znikaniu, ale tym razem mocno przesadził. Wiedziałam, że choćby nie wiem co, muszę go odnaleźć. Tylko najpierw dopiszę drugie pięćdziesiąt stron powieści, żeby się pozbyć wyrzutów sumienia wobec wydawcy.

Teoretycznie pisanie powinno mi sprawiać przyjemność. Najczęściej sprawiało, ale presja czasu spowodowała pewną nerwowość i chęć odcięcia się od rzeczywistości. Termin to rzecz święta i nie można go zawalić, bo kto mi potem zaufa? Musiałam się zdyscyplinować i poczynić pewne niezbędne kroki. Otworzyłam pocztę elektroniczną i przejrzałam nowe maile. Na stronie informacyjnej przeczytałam nagłówki wiadomości. Świat nadal był pełen zła i przemocy. Zalogowałam się na portalu społecznościowym i wzrokiem przebiegłam aktualności. Już, już miałam coś kliknąć, by wejść w podlinkowany artykuł dotyczący najnowszych wydarzeń, gdy

zrozumiałam swój błąd. Uciekła mi prawie godzina! Jedynym wyjściem będzie odcięcie się od internetu. Nie ma zmiłuj. Czas przeciekał mi przez palce. Jeżeli tak dalej pójdzie, to już nigdy w życiu niczego nie napiszę. Czasu mi nie wystarczy. Wylogowałam się, składając sobie solenne postanowienie, że zajrzę tu, dopiero gdy napiszę następne pięćdziesiąt stron. Dostęp do fejsa jako nagroda co pięćdziesiąt stron wydał mi się rozsądnym rozwiązaniem.

*Bye, bye*, taki wybór konsekwentnej i odpowiedzialnej części mnie.

Siedziałam przy komputerze jak przyspawana i pisałam. Nie było to łatwe, ponieważ ciągle ocierały się o mnie sensacyjne wydarzenia, a o skupienie w takich warunkach było naprawdę trudno.

Po tygodniu wspomnienie zielonego szalika zatarło się w mojej pamięci, skutecznie wypchnięte przez wypadki bieżące. A tych nie brakowało. O nagłym pojawieniu się i równie nagłym zniknięciu Eugeniusza Słodkiego nawet nie miałam czasu pomyśleć. Pożar stodoły u braci Gibkich i nagłe zejście Romualda Trackiego wszystko inne zepchnęły w kąt.

Ale od początku.

Jak na złość do Miasteczka zawitała jesienno-deszczowa aura, a sprawy do załatwienia nie mogły czekać. Ponownie wysiadłam z autobusu i chlastana niesionymi wiatrem kroplami deszczu powlokłam się w kierunku domu. Z mokrymi włosami i przewiana do szpiku kości dotarłam do mojej chałupy. Mijane ogródki były jak wymarłe, nikt normalny w taką pogodę nie zabiera się za pracę w ogrodzie. Nie przycina, nie pieli, i co najważniejsze, nie kosi. W takich okolicznościach mogłam myśleć o pisaniu, gdyż względną ciszę miałam gwarantowaną. Poza tym zbliżała się pora obiadowa. W taki dzień zanim ktokolwiek wróci do domu, zanim zje i podejmie decyzję o

porządkach czy remoncie, zanim przebierze się w robocze ubranie, mija sporo czasu. Nie każdemu się chce wychodzić z ciepłego domu na ziąb. U nas sporo osób pali węglem w piecach centralnego ogrzewania, przyczyniając się niestety do niekorzystnych zmian klimatycznych. Ci, którzy wracają z pracy na łono rodziny, mają ciepło niejako w gratisie. Tacy jak ja, czasowo osieroceni, palą sami. Dlatego dałam spokój z pracami na zewnątrz. Od kilku dni zbierałam się w sobie, by wysprzątać domek gospodarczy. A niech tam... Co mam zrobić dzisiaj, zrobię jutro albo najlepiej – pojutrze. Dzisiaj napiszę jeszcze parę stron, obiecywałam sobie solennie. Im szybciej skończę, tym szybciej odrobie zaległości. Nie oznacza to, że będę miała więcej wolnego czasu, bo to tylko przesunięcie obowiązków.

Aby oszczędzić czas, zjadłam miniobiad – jajecznicę z bułką. Najpierw jednak nakarmiłam Pana Kota, który od progu z nadzieją patrzył na tym razem mało wypchaną torbę. Po obiedzie i piętnastu minutach drzemki „na trawienie” zeszedłam do piwnicy i trwożnie rozglądając się w poszukiwaniu łypiących na mnie oczu myszy lub co gorsze, szczura, przystąpiłam do rozpalania w piecu. Pan Kot miał w tym czasie inne sprawy do załatwienia.

To irracjonalne, że żyjąc w otoczeniu kotów – bo zawsze oprócz osobistego były inne, dochodzące – boję się gryzoni. Przecież tak na zdrowy rozum, gdzie koty, tam nie ma gryzoni. Nie może ich być. Wszak myszy i szczury są mądre i zmykają, gdy czują zapach kota. Nigdy nie zrozumieję tych ludzi, którzy zamykają okienka przed kotami, wyrzucają je z piwnic i w sposób absolutnie pozbawiony logiki twierdzą, że wolą mieć w piwnicy szczury. Rozum im wyszedł i nie wygląda na to, żeby miał szybko wrócić.

Rozpaliłam i cierpliwie czekałam, aż temperatura na piecu dojdzie do czterdziestu stopni, by mieć pewność, że pompa zaczęła tłoczyć ciepło do kaloryferów. Dokładnie przymknęłam



drzwiczki paleniska. Spokojnie udałam się na parter, by tam poczekać do osiągnięcia sześćdziesięciu stopni i przywalić nieco odstające dolne drzwiczki cegłą. To taki nasz patent, by nie dopuścić do zbyt wysokiej temperatury na piecu. Zwłaszcza że chciałam tylko przepalić, a nie nahajcować jak zimą. Nie zdążyłam umyć oprószonych węglem rąk, gdy rozległ się gong. Wyjrzałam przez okno. Przed furtką stał kurier, dzierżąc w dłoni przesyłkę. Zdziwiłam się, bo niczego nie zamawiałam.

Wychyliłam się przez otwarte okno i gromko zawołałam:

- Pan w jakiej sprawie?

- Ja do Romualda Trockiego! Paczkę mam!

Popatrzyłam na niego nieufnie. Sąsiad rzadko kiedy dostawał paczki, sam mi kiedyś powiedział, że gdy czegoś potrzebuje, to sobie do sklepu pójdzie i kupi, a nie jak ci, co im się już kompletnie w głowach przewracało i siadają przed tym jenternetem. No jakbym go wciąż słyszała. Poza tym to nazwisko... nie podobała mi się ta pomyłka. Nie siląc się na uprzejmości, wrzasnęłam:

- Nie zastał pan! I nie Trockiego przez „o”. To sąsiad. Tam mieszka. - Wychyliłam się przez parapet i machnęłam w lewą stronę, wskazując na sąsiedni budynek. - Nazywa się Tracki. To różnica - dodałam kąśliwie.

Facet ubrany w brązowy kombinezon machnął ręką, jakby oganiał się od muchy. Odkrzyknął:

- Mnie tam bez różnicy, pani kochana! Jak się nazywa, tak się nazywa, byle sztuki się zgadzały, a tu mi Trocki pisze. Ci ludzie to już w ogóle nie myślą!

Teraz zacznie mi wywrzaskiwać o przypadkach głupoty ludzkiej, przeraziłam się. To cud, że jeszcze nikt z sąsiadów nie wyjrzał, żeby obejrzeć nasz amatorski spektakl na okno i bramkę. Nie zastanawiając się wiele, zamknęłam okno i popędziłam do piwnicy. Przywaliłam drzwiczki cegłówką. Potknąwszy się o pogrzebacz, zakląłam siarczyście. Narzuciłam

na ramiona kurtkę i z kluczami do bramy w rękę wyszłam z domu. Brązowego już nie było, więc porzuciłam sterczenie przy bramce i wpatrywanie się w brązową furgonetkę, która nadal przy niej stała. Pozorując zainteresowanie pracami ziemnymi, zakotwiczyłam w ogrodzie. Cierpliwie czekałam na rozwój wypadków.

Dziadek Tracki nie był jeszcze taki stary, ale z racji pomarszczonej fizjonomii i zgarbionej sylwetki wszyscy zwracali się do niego „dziadku”, a on to akceptował. Dziadek Tracki dla nikogo nie był prawdziwym dziadkiem. Nigdy nie słyszałam, żeby miał dzieci, których konsekwencją jest posiadanie wnuków. Odkąd pamiętałam, tak do niego mówiłam, nie utrzymując jakichś bliższych kontaktów. Ot, jak to z sąsiadem z ulicy. Tylko wizytówka na bramce przypominała jego prawdziwe imię i nazwisko. Dziadek nie wyróżniał się niczym szczególnym, ale też nigdy nie interesowałam się życiem sąsiadów. Jak dla mnie, mógł w domu robić, co chciał, a mnie nic do tego. Dziadek codziennie rano wychodził z domu po zakupy i wracał najdalej po dwóch godzinach. Od czasu do czasu ktoś go odwiedzał, korespondencji wielkiej nie prowadził, zresztą teraz to trudno ocenić, bo wszyscy mailują. Nie wiem nawet, czy miał komputer. Stałym punktem miesiąca były wizyty listonosza, różne odczyty i nawracacze chodzący grupowo od domu do domu. Żył spokojnie i nikomu nie przeszkadzał. Ogród miał zarośnięty, mało reprezentacyjny, pokrzywy skutecznie zdążyły stłumić pozostałości krzewów róż hodowanych wiele lat temu przez dawno już zmarłą małżonkę. To były najokazalsze róże, jakie w życiu widziałam, pnące się wokół misternych rusztowań, białe, czerwone, różowe i najpiękniejsze – herbaciane. Kiedyś to był najbardziej zadbane ogród nie tylko na Brzegowej, ale i w całej dzielnicy.

Mężczyzna w brązie przestał naciskać dzwonek przy bramce i nieco już zniecierpliwiony, pchnął ją. Postąpił słusznie. Od

kilku lat była to parodia bramki trzymana w ryzach przez osad z rdzy na przegniłych zawiasach. Cud, że mu z ręki nie wyleciała. Swoją drogą podziwiałam cierpliwość kuriera. Niejeden dawno by już pojechał w dalszą drogę. Mężczyzna zniknął mi z oczu, osłonięty przez pokrzywy i inne zielska. Być może dziadek czekał na niego w drzwiach. Cóż, nie pozostawało mi nic innego, jak porzucić wyrywanie wątlej trawy w kroplach deszczu i iść do domu, by się ogrzać.

Nie było mi to jednak pisane.

Przerażający wrzask przeciął rześkie powietrze. W tym samym momencie usłyszałam tupot ciężkich butów gorliwego pracownika firmy kurierskiej. Bramka, pchnięta siłą rozpędu, zatelepała się na zawiasach.

Zielony na twarzy kurier ledwo dyszał, opierając się o mój płot.

- Pani kochana, wzywaj pani policję! - Teatralnie chwycił się za okolice serca i przewrócił oczami tak widowiskowo, jakby miał zemdleć. - Krew, całe mnóstwo krwi... - wyjąkał, tracąc impet.

Uwierzyłam mu na słowo, zwłaszcza że jego zachowanie mówiło samo za siebie. Coś było na rzeczy. Nie zwlekając, wezwałam policję i pogotowie ratunkowe. Zaocznie uznałam, że dziadek jeszcze żyje.

A może to nie on tam leży?

Kurier, wstrząsany dreszczami, osunął się na mokry chodnik i przysiadł na jego brzegu. Siedział i kiwał się jak dziecko po przebytych szoku. Trzeba było pomóc człowiekowi. Wróciłam do domu. Po chwili przyniosłam mu porządny wełniany koc oraz reklamówkę z marketu pod tyłek. Zrobiłam herbatę z cytryną i z apteczki wygrzebałam ziołowe tabletki na uspokojenie. W sumie byłam na niego wściekła, bo gdyby nie jego pełna paniki postawa, poszłabym do domu sąsiada i sprawdziła, co się naprawdę stało. Teraz mogłam liczyć już tylko na policję i ich

niedoinformowanie. Ktoś dziadka Trackiego będzie musiał zidentyfikować.

- Tak, to jest Romuald Tracki! - potwierdziłam, patrząc na leżące w sieni zwłoki. Przede mną malował się dość nieprzyjemny widok. Dziadek leżał w kałuży zaschłej krwi. Mieszkał sam i tylko dzięki wizycie kuriera z paczką odkrycie zwłok nastąpiło w miarę szybko. Być może po miesiącu zaczęłoby do mnie dochodzić, że od dawna nie widziałam dziadka. Jednak z drugiej strony nigdy go specjalnie nie wypatrywałam. Ponieważ każde z nas miało inny rytm dnia, mogłabym uznać jego nieobecność za normalną, a nawet wskazaną. Dziadek nie należał do moich ulubionych sąsiadów i nie każde spotkanie z nim było przyjemne.

Policja i pogotowie przyjechały prawie równocześnie. Szybko się okazało, że sanitariusze nie mają tu czego szukać. Na miejsce zostali ściągnięci prokurator, technicy z komendy powiatowej i lekarz od nieboszczyków. Kurier nie powiedział nic sensownego. Łyknął potrójną dawkę tabletek na uspokojenie, pozbierał swoje bety i miotany niepokojem, zadzwonił do dyspozytorni. Już dawno powinien być w innym mieście, a nadal tkwił na Brzegowej, w tym miejscu zabitym deskami. Czekał, aż policjanci pozwolą mu odjechać. Gdy to nastąpiło, nie oglądając się za siebie, nadepnął na gaz, w kilka sekund znikając za zakrętem. Miałam nadzieję, że ziołowe tabletki, które mu zaaplikowałam, nie osłabią jego refleksu.

Na ulicy zdążył się zgromadzić mały tłumek skuszony widokiem radiowozu i obecnością więcej niż jednego policjanta. Do jednego funkcjonariusza ludzie u nas są przyzwyczajeni. Lata temu mieszkaniec sąsiedniej uliczki pracował w policji i zdarzało mu się podjeżdżać radiowozem na domowy obiad.

Gapie komentowali zdarzenie, choć na razie byli mało zorientowani. Wśród zgromadzonych dostrzegłam też takich,

którzy na pewno wiedzieli więcej niż ja. To pisanie wybiło mnie z życia ulicy i wyraźnie byłam do tyłu z bieżącymi informacjami.

Dom dziadka Trackiego ma bramkę wejściową od strony uliczki, przy której mieszkamy, i niemożliwe było, żeby niezauważenie wszedł do niego ktoś obcy. Tych, którzy go odwiedzali, znaliśmy od dawna. Zawsze któryś z sąsiadów zwróciłby uwagę, zwłaszcza że naprzeciwko dziadka mieszkała Serwerownia, przed którą nic nie mogło się ukryć. Serwerownią całe lata temu nazwał Marylkę Morską jej kuzyn, który zafundował sobie romans na boku. Naiwny, myślał, że żona się nie dowie.

Serwerownia całymi dniami tkwiła w oknie, twierdząc, że od patrzenia w telewizor oczy ją bolą, a tutaj na ulicy ma lepszą telewizję niż ktokolwiek jest w stanie przypuszczać. Ona swoje wie. Być może gdybym miała dom w tak strategicznym punkcie - na rogu - gdzie schodziły się trzy ulice, to też wysiadywałabym w oknie z łokciami na parapecie. Niestety nie miałam. Lekarz tylko rzucił okiem na dziadka, określił czas zgonu do tygodnia i całkiem filmowo stwierdził, że reszty dowiedzą się po sekcji.

Dziadek mieszkał w małym, lata temu wybudowanym przez siebie domku. Na parterze znajdowały się dwa pokoje, kuchnia, łazienka i przedpokój. Drzwi wyjściowe połączone były z małą sienią. Strych i piwnica, jak u wszystkich, były zagracone. Nie miałam przyjemności obejrzeć pomieszczeń, gdyż zaraz po wstępnych oględzinach i potwierdzeniu tożsamości denata zostałam wyproszona na zewnątrz. Wszystkie okna były zamknięte na głucho, dlatego w środku obrzydliwie śmierdziało. W pokoju, który był jednocześnie sypialnią, wszystkie szuflady z komody zostały wyrzucone. Przed otwartą na oścież szafą piętrzyły się stosy ubrań i bielizny. Widać tu było spore zapasy nagromadzone w przeszłości. Regał na książki ział pustkami, gdyż wszystkie leżały rzucone byle jak na

stertę zaścielającą brudny dywan. Na nich były różne papiery, jakieś dokumenty, wycinki z gazet, listy i jak zdążyłam zauważyć, urzędowe pisma z czerwoną pieczętką.

Ciekawe, kto chciał zabić tego może niezbyt miłego, ale moim zdaniem nieszkodliwego starszego pana. Wszystkie okoliczności wskazywały na napad rabunkowy, a rana zadana zapewne jakimś ostrym narzędziem tylko potwierdzała tę teorię.

Ucieszyłam się, bo w końcu w zasięgu – może nie ręki, ale intelektu – miałam prawdziwe morderstwo i prawdziwego denata.

W kilka dni po odkryciu ciała dziadka Trackiego spaliła się stodoła braci Gibkich. Bracia nie mieszkali na Brzegowej. Ich dom stał od kilku lat niezamieszkanym, podobno co kilka miesięcy ktoś przyjeżdżał sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. O obojgu nie musieli się martwić, gdyż sąsiedzi zwróciliby uwagę, gdyby miały miejsce zdarzenia odbiegające od normy. Braci na oczy nie widziałam albo może widziałam, tylko ich nie kojarzyłam, tak jak i wielu innych mieszkańców naszej ulicy, którzy jako napływowcy nie wiązali się dla mnie ze wspomnieniami sprzed lat. Tych, co mieszkali od dawna, kojarzyłam i wymieniałam z nimi zwyczajowe grzeczności. Od lat trzymałam się na dystans. Wszystkim wychodziło to na dobre.

Podobno dziadek Tracki doglądał zabudowań Gibkich. Ponoć sprawdzał, czy się kuny nie zagnieździły. Dom braci Gibkich znajdował się poza zasięgiem mojego wzroku, od strony rzeki, więc wiadomość o pożarze dotarła do mnie równocześnie z dźwiękiem syreny emitowanym przez wóz straży pożarnej. Przy stodole nie było już czego gasić. Strażacy skupili się na ratowaniu tego, co zostało, czyli domu braci i najbliższego sąsiada. Sąsiad był napływowcy i starał się nie zwracać na siebie

szczególnej uwagi. Prawdę mówiąc, aż do pożaru nie wiedziałam, że ktoś tam zamieszkał. Jego nazwisko wymienione przez któregoś z sąsiadów nic mi nie mówiło, chociaż w takim niewielkim mieście teoretycznie wszyscy powinni się znać – każdy jest tu czymś znajomym albo znajomym znajomego.

Najgorsze, że nawet policji nie mogłam pomóc. Nie to, żebym się paliła do udzielania informacji, ale tak naprawdę o dziadku Trackim nie wiedziałam prawie nic, a miły aspirant czepiający się każdej informacji jak tonący brzytwy nie miał ze mnie żadnego pożytku. Powtórzyłam, co już wiedział, obiecując sobie, że na spokojnie sama porozmawiam z sąsiadami. Chociaż może do tych rozmów byłaby lepsza Serwerownia? Ona dużo lepiej potrafiła zadawać pytania niż ja. A jakaś rekompensata za nieobecność w czasie odkrycia zwłok się jej należała. Tak byłoby najlepiej.

Jak ja mogłam pracować w takich warunkach?! No, nie mogłam. Starłam się, ale ciekawość sama mnie pchała do wyjaśnienia zagadki śmierci dziadka Trackiego.

O nagłym pojawieniu się i zniknięciu mojego najlepszego kolegi z podstawówki zdążyłam zapomnieć, gdy mniej więcej w tydzień po odkryciu zwłok dziadka zadzwoniła Kaśka z informacją, że wpadła na Gienia. Nie była pewna, czy to był Słodki, ale na podstawie mojego opisu oraz zatartych wspomnień głowy by sobie uciąć nie dała, ale jednak... Słodki zachowywał się co najmniej dziwnie. Miała wrażenie, jakby kogoś śledził albo się przed kimś ukrywał, ale że działo się to wszystko na terenie marketu ze sprzętem AGD, to może jej się wydawało i on tak niezbornie te pralki oglądał. Pocieszające, że jeżeli faktycznie to był nasz kolega, oznacza to, że jeszcze żyje i teoretycznie ma się dobrze. Ubrany był, czysty, nawet ogolony. A to znaczy, że zwyczajnie coś mu się odwidziało i dlatego się z nami nie skontaktował.

- Gieniu zawsze był humorzasty - podsumowała.

Pamiętałam humory Gienia z lat szkolnych, więc przytaknęłam i po wysłuchaniu przydługiego monologu wyłączyłam komórkę, żeby choć trochę pracować.

Prowadziłam śledztwo w Barcelonie, a to jednak jest dużo bardziej skomplikowane niż śledztwo w Polsce, zwłaszcza że naprzemiennie przypominały mi się teksty dwóch piosenek i „Uliczkę znam w Barcelonie kwitnącą kwiatem jabłoni” przerywało gromkie „Uliczkę znam w Barcelonie, z której wyskoczył Boniek”. Znałam wiele uliczek w Barcelonie, w tym jedną ślepą, w którą lata temu wjechał autokar, którym podróżowałam, i zaklinował się przed hotelem. Na parkingu jaguary przeplatane mercedesami, kierowca półprzytomny ze zdenerwowania, obsługa hotelu w drzwiach i wizja horrendalnego odszkodowania dla poszkodowanych właścicieli aut, na które to musieliby się złożyć wszyscy uczestnicy wycieczki, bo ubezpieczenia komunikacyjnego by nie starczyło, takie pieniądze stały w tamtym zaułku. Koszmar, który czasami jeszcze mi się śni.

Na jednej z takich bocznych uliczek miał zostać znaleziony mój nieboszczyk z nożem w plecach - ofiara zagranicznych porachunków. Zawsze najlepiej robić porządki poza własnym podwórkiem.

Właśnie! A może podpalenie stodoły należącej do braci Gibkich i niespodziewana śmierć dziadka Trackiego jakoś się łączą? Bo skąd na tak spokojnej uliczce, a mieszkam tu od lat, więc wiem, dwa kryminalne zdarzenia w tak krótkim odstępie? Nie, moment, jakie dwa? Morderstwo i owszem, ale w stodole mogli na przykład nocować bezdomni albo iskra od przejeżdżającego kilkadziesiąt metrów dalej pociągu spowodowała zapłon. Dzieci ogień zaproszyły, usiłując rozpalić ognisko... Wysilałam mózgownicę, usiłując sobie przypomnieć



okolicznościowe plotki. Nikt nie wspominał o porzuconych kanistrach z benzyną, nie mówiąc o koktajlach Mołotowa. To spokojna dzielnica. No nic, muszę nad tym pomyśleć.

Z przejęciem powróciłam na uliczki Barcelony, by rozpocząć śledztwo wyjaśniające, dlaczego dziennikarz - prawie - śledczy musiał stracić życie.

Od odkrycia zwłok dziadka Trackiego dni szybko mijały, a z resztek stodoły braci Gibkich nie została nawet jedna deska. To, co się uchowało, sąsiedzi wzięli do spalenia. Co interesujące, żaden z braci nie pofatygował się na miejsce pogorzeliska. Czy przyjechali do Miasteczka, tego nikt nie wiedział, nawet Serwerownia, z którą postanowiłam odnowić kontakty. Jeszcze rok temu systematycznie umawialiśmy się na plotki przy kawie, ale pisanie tak mnie wybiło z normalnego życia, że zwyczaj powoli wygasł. Należało go reanimować, dlatego ucieszyłam się, że to Marylka wystąpiła z inicjatywą. Nastawiałam się na zalew informacji. Nie mogłam zaniedbać żadnej okazji dowiedzenia się czegoś bliższego o sąsiadach i niedawnych wydarzeniach. Znowu nie byłam na bieżąco.

Pan Kot uwielbiał święty spokój, a tego mu ostatnio brakowało. Miał tyle spraw do załatwienia na własnym terenie, że czas mu się kurczył i nie starczało go na kontrolę przyległych do podlegającego mu obszaru pól. Echa ostatnich zdarzeń zdecydowały, że jednak porzucił własną wygodę i wybrał się na obchód. Pięta nad ranem to jak najbardziej właściwa pora, by zacząć zwiady. Wprawdzie młodsza pani marudziła tak, że aż z łezką w oku przypomniały mu się dawne czasy, ale wypuścić wypuściła. Jak ją znał, to zaraz klapnęła się do łóżka i zasnęła na kamień. Gdy tylko drzwi się za nim zatrzasnęły, usiadł na

wycieraczcze i zapatrzył się przed siebie. Musiał pomyśleć, od którego miejsca zacznie swoje wędrówki.

- Ech, gdzie te lata, gdzie ten wiek - westchnął pod wąsem i z wysiłkiem rozprostował zdrętwiałe łapki. Przeciągnął się leniwie, tak jak go uczyli za młodu, i delikatnie stąpając, zszedł po schodach. Od rynny zalatywał psi zapach faceta, który nachalnie wypytywał młodszą o morderstwo dziadka Trackiego, zapach mieszał się z wonią mokrej, parującej ziemi i skoszonej trawy. Gdzie skoszonej, to skoszonej. Pan Kot nawet nie musiał sprawdzać, czy się coś zmieniło w ogrodzie od wczoraj. Ta niedołęga ogrodnicza tak zaniedbała obojęcie, że gdy starsza pani przyjedzie, to chyba zawału dostanie. Szkoda by jej było. Ta przynajmniej potrafi gotować. Teraz tylko suche, puszka i prawie codziennie kielbasa szynkowa.

Pan Kot prychnął z pogardą. W normalnych okolicznościach uwielbiał szynkową, ale przy tej monotonii menu miał jej już po dziurki w nosie. Najchętniej zjadłby coś konkretnego. Tęsknym wzrokiem powiódł po posadzonych przy płocie tujach.

- Jest tam kto? No już, wychodzić! Kolega przyszedł.

Wstałam dość wcześnie jak na mnie, bo zaraz po siódmej. Zjadłam śniadanie, wpuściłam do domu Pana Kota i nakarmiłam go. Uchyliłam okno, żeby w pokoju się przewietrzyło, i pełna energii postanowiłam, że większość dnia poświęcę na pisanie. Nie było źle, ale dużo brakowało do upragnionego słowa KONIEC. Lubię czwartki, środek tygodnia, dzień przed piątkiem, dwa do upragnionego weekendu. Wprawdzie to śmieszne, żeby czekać na wolną sobotę, dysponując przez cały tydzień czasem, ale stare nawyki robią swoje. Wolne to wolne, usankcjonowane prawnie, zaznaczone na czerwono w kalendarzu. Lubię porządek!

W odróżnieniu od wielu początkujących pisarzy, którzy muszą godzić pracochłonne hobby z jeszcze bardziej pracochłonną pracą, byłam w dobrej sytuacji, ponieważ miałam

z czego żyć i pisanie traktowałam jako zajęcie przynoszące dodatkowy dochód. Im większy, tym bardziej byłam niezależna. Na szczęście nie musiałam wiązać końca z końcem i na podstawowe potrzeby oraz jedzenie dla Pana Kota grosz się znalazł.

A wszystko dlatego, że raz w życiu okazałam się przewidująca. Miałam męża. Krótco, ale jednak. Mąż nie należał do tych najgorszych. W sumie zwracał się do mnie z szacunkiem, nie palił, pił umiarkowanie. I nawet przez pierwszy rok potrafił dochować wierności, co przy jego opinii kobieciarza było godne pochwały. O wszystkim poinformowały mnie życzliwe koleżanki, ale uznałam, że skoro nie wychodzę za mąż z wielkiej miłości, tylko z rozsądku, to kobieciarz nie będzie zły. Gorszy byłby alkoholik.

To było prawie piętnaście lat temu i wszelkie uczucia poszły sobie w siną dal. Zaraz po ślubie okazało się, że mamy sporo pieniędzy. Postanowiliśmy je wspólnie zainwestować. Oboje byliśmy zatrudnieni na państwowych posadach, zawsze coś tam dorabialiśmy do pensji i łącznie z weselną gotówką uzbierała się niezła kwota. Tutaj dał znać o sobie zmysł finansowy mojego byłego męża, który uparł się, że wesele musi być. Zgodziłam się dla świętego spokoju i nie spodziewając się jakichś większych profitów, balowałam przez całą noc.

Zyski były całkiem spore i mogliśmy zainwestować kasę w małą firmę reklamową. Zaczynaliśmy od wizytówek, pieczętek, punktu ksero. I zapewne nadal zajmowalibyśmy się drobnicą, gdyby nie zlecenie od jednego z miejscowych przedsiębiorców – trzy sklepy, bar i klub nocny – który zamówił u nas szeroko zakrojoną kampanię reklamową. To był strzał w dziesiątkę. Po nim przyszedł następny klient i następny, i tak z biegiem lat staliśmy się renomowaną firmą reklamową znaną w całym województwie, a nawet poza jego granicami. Nie wydawaliśmy zbyt wiele. Inwestowaliśmy w rozwój firmy, żeby pozyskiwać

coraz więcej klientów i poszerzać ofertę usług. Opłaciło się. Z czasem zatrudnialiśmy po kilka osób przy konkretnych zleceniach, a pieniądze płynęły szeroką strugą. Całe szczęście, że oboje mieliśmy podobne podejście do dóbr materialnych, ceniąc prosty styl życia, śmiejąc się z dorobkiewiczów szpanujących terenówkami kupionymi na wieloletni kredyt albo oddających się w szpony leasingu. Samochód miał być dobrej marki, nie nazbyt tani, ale i nie za drogi. I wszystko toczyłoby się po staremu, gdyby Michał się nie zakochał. Padło chłopu na umysł i nawet nie chciał słuchać rzeczowych argumentów. Po jego odejściu zrozumiałam, że małżeństwo z rozsądku nie było najlepszym sposobem na życie. Zabrakło między nami miłości, tej aury pożądania i niepewności towarzyszącej związkowi opartemu na emocjach. Prowadziliśmy w gruncie rzeczy nudne, przeciętne życie.

Oczywiście, że miałam do niego żal. Chciało mi się płakać i miałam dość mężczyzn do końca życia. Zgodziłam się jednak na rozwód bez orzekania o winie. Własne brudy należy prać we własnej palce. Poza tym ze stwierdzenia jego winy nic by mi nie przyszło, a sprawa ciągnęłaby się w nieskończoność. Dogadaliśmy się. Firma nadal pozostawała wspólną własnością, a jednym z warunków rozwodu było niedopuszczenie do pracy i władzy kobiet, z którymi mój były już mąż by się wiązał. Nie miałam złudzeń, że po Elwirze przyjdą następne. Nie chciałam problemów.

Miałam więc z czego żyć i nie musiałam się martwić, skąd wezmę na pokrycie bieżących potrzeb, a że nie chciałam całego życia spędzić, organizując prowincjonalne kampanie reklamowe, zwłaszcza że stać nas było na zatrudnianie odpowiednich fachowców, postanowiłam zająć się pisaniem. Zamieszkałam z powrotem w rodzinnym domu z mamą i Panem Kotem. Spokojna, ustabilizowana egzystencja. Niewiele potrzebowałam do szczęścia. Pierwszą książkę pisałam dwa

lata, następną ukończyłam w rok. Napisałam też kilka opowiadań i zaczęłam się szerzej udzielać na poletku kryminalnym. Byłam zaskoczona, gdy się okazało, że pewne znane wydawnictwo chce wydać moją książkę. Potem wydali drugą i zażądali trzeciej. Po czasie zrozumiałam, że co innego pisać, gdy się ma na to ochotę, a co innego, gdy goni mnie termin. Stąd cały problem. Ale wsiąklam do reszty i nie wyobrażałam sobie życia bez pisania i dreszczyku emocji związanego z każdą kolejną premierą. Ta adrenalina, to niepowtarzalne oczekiwanie na pierwsze głosy czytelników... Krytyczne opinie są przykre, ale ja recenzje w prasie i na portalach miałam całkiem przyzwoite.

W ten oto sposób ponownie znalazłam się w Barcelonie.

*Była noc, w Zaułku Snów nie paliła się ani jedna latarnia. Księżyc zakryły gęste chmury, a Przyszły Morderca umówiony na przekazanie informacji z Przyszłym Denatem stał spokojnie, ukryty za krzewem bugenwilli, ściskając w dłoni nóż. Nie bał się, że ktoś go zdemaskuje. W mieście trwała fiesta i domy przy uliczce były puste. Prawie puste. W Zaułku Snów pozostała tylko pewna posunięta w latach niewiasta, o której Przyszły Morderca nie mógł wiedzieć. Kobieta nigdy nie wychodziła z domu, spędzając całe dni i noce przy zasłoniętym koronkową firaną oknie.*

*Przyszły Morderca nie chciał zabijać, ale nie miał innego wyjścia. Informacje, którymi dysponował dziennikarz, zrujnowałyby mu życie i pozbawiłyby go szans na rozkręcenie następnego, przynoszącego kokosy interesu. Na razie nikt się nie zorientował, co się kryje za jego znaną w całej Polsce, a nawet poza jej granicami, firmą. I najlepiej będzie, jeżeli tak pozostanie. Przyszły Morderca był przyzwoitym*

człowiekiem. Łożył na różne fundacje, pomagał, w normalnym życiu muchy by nie skrzywdził, ale interesy to interesy. Tu obowiązują inne reguły gry. Przyszły Morderca nie ufał nikomu. Każdy inny wynająłby zawodowca od mokrej roboty. Każdy inny, ale nie on. Zwłaszcza że informacje, do których dotarł, nie napawały go optymizmem. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to jeszcze na nich skorzysta.

Wolał wszystko załatwić po swojemu. Było duszno. Pocił się w czarnym golfie, który włożył na wszelki wypadek. Nie chciał rzucać się w oczy w ciemności. Na twarz nasunął czarną maskę wykonaną z rajstop żony. Wszystko zorganizował tak, jak widział na filmach szpiegowsko- kryminalnych. Przysunął się do muru odgradzającego uliczkę od wielkomięjskiego szumu, chciał się o niego oprzeć, ufny, że i tak nikt nie będzie szukał jego śladów przy kamiennej fasadzie, a morderstwo pójdzie na karb porachunków między gangami handlującymi narkotykami. Miał już przygotowany woreczek z porcją bardzo nowoczesnego produktu generującego podobno niesamowite odloty. Wiedział, że to pożądany towar na tutejszym rynku.

Zaczynał się już niecierpliwić. Przyszły Denat powinien nadejść lada moment. Nagle, bardziej instynktownie niż rzeczywiście, poczuł, że nie jest już w uliczce sam. Rozejrzył się dyskretnie, ale czern chodnika była nadal niezakłócona. A jednak miał rację. Ścisnął mocniej nóż w garści i napiął mięśnie jak do skoku. Przygotował się do ataku.

Brrrryt, brzzyt...

- Ożeż ty, w kalendarz kopany! - Doleciało do mnie zza okna i zrozumiałam, że coś się dzieje. Z trudem wyszłam z

pogrążonej w ciemnościach uliczki, z nadzieją, że potrafię na nią za chwilę wrócić. Z głuchym jękiem podniosłam się z kanapy, rozmasowując tylną część ciała. Kość ogonowa uszkodzona w czasie perypetii związanych z piłowaniem wierzby nie dawała o sobie zapomnieć. Otworzyłam szerzej okno i wyrzłam na zewnątrz. W ogrodzie dziadka Trackiego urzędowali jacyś obcy ludzie. Postanowiłam zareagować. Zamknęłam okno, przycesałam zmierzwione włosy i zerknęłam na zegarek w kuchence elektrycznej. Matko i córko! Dochodziło południe! Powinnam narzucić coś na siebie i iść do Serwerowni. Kompletnie zapomniałam o umówionej kawie. Z żalem, bo tak mi dobrze szło, zapisałam zmiany w pliku i wyłączyłam komputer. Potem zmieniłam domowy dres na dżinsy. Na biały T-shirt narzuciłam ciepły czarny sweter. Do torebki wrzuciłam komórkę oraz klucze do domu i w miarę spokojnie ruszyłam do bramki. Pan Kot skorzystał z okazji i też wysliznął się z domu, by dokonać okołopołudniowej inspekcji okolicy. Rzeczywiście w ogrodzie dziadka Trackiego panoszyli się dwaj mężczyźni. Jeden uzbrojony był w kosę spalinową i – zdaje się – likwidował porastające ogródek wybujałe chwasty. Drugi zaś rozgarniał rękami skoszone chaszczki, przeczesując pokrzywy w półukłonie. Całe szczęście dla niego, że na rękach miał robocze rękawice. Z pewnością niejedna pokrzywa zdążyła zostawić ślady nawet przez materiał.

- A panowie to czego tutaj szukają?! - wrzasnęłam, by przebić się przez dźwięk kosi spalinowej. Nie bawiłam się w uprzejmości. Po prostu chciałam wiedzieć, kto się panoszy w sąsiednim ogrodzie.

Panowie nie zareagowali, jakby zapadli na galopującą głuchotę. Podeszłam bliżej, niezniechęcona takim zachowaniem.

- Halo! Dzień dobry! Panowie to w jakiej sprawie? - zapytałam raz jeszcze.

Koszący przerwał pracę, a rozgarniający wyprostował się, chyba z trudem hamując stęknienie. Zmierzył mnie pełnym krytyki spojrzeniem i odparł:

- A dzień dobry. Nie pani interes.

Zatkało mnie, ale tylko na chwilę. Podeszłam do siatki i chwyciłam ją palcami, czując, jak kruszę rdzę.

- Jak to nie mój interes? Sąsiad zamordowany, dom pusty, a w ogrodzie obcy ludzie. Uprzedzam, że zaraz dzwonię po policję - powiedziałam stanowczo i oderwałam zbrązowiałe dłonie od siatki. Przeszłam na chodnik i sięgnęłam do torebki po telefon. Ja sobie nie pozwolę!

- Proszę pani, jaką policję? Przecież my jesteśmy z policji - powiedział ten wyprostowany. Nawet w miarę spokojnie jak na moją zdecydowaną reakcję.

Nie uwierzyłam.

Popatrzyłam na niego krytycznie. Ubrany był w stare sztruksy i granatową kufajkę. W niczym nie przypominał komisarza z filmów czy z książek. Nawet moich. Drugi wyglądał nie lepiej. Przypomniałam sobie, że w razie czego policjant powinien się wylegitymować. Na służbie zawsze noszą takie legitymacje zawieszane na łańcuszkach. Na piersi ogorzałego bruneta jednak nic nie dyndało.

Czas mnie gonił i prawdę mówiąc, czułam się głupio. Rzadko kiedy bywam tak bezpośrednia wobec obcych. Już miałam poprosić o legitymację, gdy mężczyzna wsadził rękę do kieszeni i wyjął z niej kawałek plastiku. Legitymacja, pomyślałam z rozczarowaniem. Przystawił ją do siatki i z krzywym uśmiechem zapytał:

- Zadowolona?

Przełożyłam rękę nad ogrodzeniem i wyjęłam mu legitymację z dłoni. Sprawdziłam dane. Podkomisarz Marek Zakrzewski - stało jak byk. No i dobrze. Legitymację można podrobić. Oddałam ją zniechęcona do walki, a facet wrócił do



przechasywania pokrzyw. Nagle przypomniałam sobie, że przecież jeden z moich kolegów z podstawówki pracował w policji. Wprawdzie było to jakiś czas temu, ale jednak.

- A Andrzeja Niwińskiego pan zna? - wrzasnęłam.

- No jasne, że znam. Ale on już nie pracuje. - Mężczyzna odpowiedział automatycznie. - A co?

- A to, że chodziliśmy razem do klasy, dlatego pytam. I chciałabym wiedzieć, czego szukacie w ogrodzie mojego sąsiada. Przecież tu nic prócz pokrzyw i zapuszczonych krzewów nie ma. A poza tym, od kiedy to podkomisarz grzebie w chwastach? Nie ta szarża! - Z powątpiewaniem pokręciłam głową.

- Jeśli tak... - Mężczyzna rozejrzał się niespokojnie i dał znać, żebym ponownie podeszła bliżej. - Ale mówię to tylko dlatego, że mamy wspólnego znajomego, a pani okazała się dość rozsądną osobą. Otóż szukamy narzędzia zbrodni.

- A gdzie jest ekipa techniczna? Wie pan, ci ludzie z walizczkami, co już raz byli. Pokazują takich w każdym kryminale. Rękawiczki z fioletowego lateksu, kuferek podręczny, taśma do odgradzania terenu i drobiazgi pakowane do podręcznych woreczków. Aż podkomisarz jest potrzebny do szukania?

- Pani da już spokój z tą kpiną w głosie. Szukać każdy może.

- Ja też? - zapytałam rozradowana.

- To raczej niewskazane. I w ogóle... - Podkomisarz podrapał się w pokryty bąblami przegub dłoni.

- Proszę tego nie drapać. Samo zejdzie. Takie poparzenie jest dobre na reumatyzm - pouczyłam go.

- No to będzie jakiś pożytek z tej naszej pracy - ucieszył się.

- Właśnie!

- Niech mi pani powie, jak to możliwe, że na takiej małej ulicy, gdzie wszyscy się znajdują i wiedzą sporo o sąsiadach, nikt

nie widział, by ktokolwiek wchodził bądź wychodził od pana Trackiego w ciągu ostatniego tygodnia. Nie mogę tego zrozumieć. Ta miła pani z różowego domu - wskazał na dom Serwerowni - jest bezcenna, ale nawet ona nikogo nie zauważyła. Twierdzi, że zamordowany codziennie rano wychodził na dwie godziny. Po powrocie resztę dnia spędzał w domu. Mam też świadka, który widział zamordowanego, gdy ten jechał w nocy na rowerze.

- Ale wtedy był jeszcze żywy?

Podkomisarz uśmiechnął się lekko.

- Rzeczywiście, wtedy był jeszcze żywy. Ale czy to był on, skoro ta pani nie widziała... - zawiesił głos.

- Nie widziała, nie widziała. Jeżeli to było w nocy, to trudno, żeby widziała. W końcu i ona czasami śpi - sarknęłam.

- Rzeczywiście, ale gdyby pani coś się przypomniało ponad to, co zostało już ujęte w protokole, to proszę o telefon.

Wzięłam od niego wizytówkę, obiecując sobie, że gdy tylko zamorduję niedojdowatego dziennikarza śledczego w moim laptopie, to wezmę się za wcale nieksiążkowe śledztwo.

Kawa u Marylki z pewnością już była zimna.

- Ja tego nie rozumiem!

Siedziałyśmy w przytulnej kuchni nad pustymi już filiżankami, a Serwerownia nadal nie mogła się otrząsnąć z szoku. Była przyzwyczajona do tego, że zawsze wszystko wie najlepiej.

- Ale czego nie rozumiesz? Tego, że dziadek Tracki został zamordowany? Nie on jeden, nie on ostatni - zirytowałam się na jej labiedzenia. Pochłonięta uzalaniem się nad swoją niewiedzą, nie zareagowała.

- Popatrz, przecież to niemożliwe, żebym nie zauważyła, że dziadek ma gości. Było nie było, mieszkam naprzeciwko! -

powiedziała z naciskiem, jakby chciała mi udowodnić, że jeżeli ona nikogo nie widziała, to morderstwo nie mogło zostać popełnione, a dziadek Tracki sam sobie wbił nóż w plecy, zostając następnym seryjnym samobójcą. W takie cuda żadna z nas nie wierzyła.

Żeby twórczo myśleć, potrzebuję kawy. Marylka parzy doskonałą, ale jej filiżanki są zbyt małe jak na moje potrzeby. Znacząco popatrzyłam w kierunku ekspresu i westchnęłam, a gospodyni w lot zrozumiała niemą aluzję.

- Zaczekaj, zaraz doleję - rzekła i z ociąganiem podniosła się z kuchennego krzesła. Podeszła do wiekowego ekspresu. Podgrzewacz pracował pełną parą, a Marylka, uwinąwszy się z dolewką, patrzyła na mnie wyczekująco.

- Widać morderca musiał jakoś przejść, prześliznąć się. - Upiłam łyk kawy i westchnęłam ciężko, przytłoczona sytuacją.

Siedziałyśmy, tak jak kiedyś, w kuchni. Tu rozmawiało się nam najlepiej. Okna wychodziły prosto na ogródek dziadka Trackiego. Serwerownia rzeczywiście całe dni i wieczory spędzała przy kuchennym stole, czytając, rozwiązując krzyżówki i spoglądając na to, co się dzieje na ulicy. Poza tym uwielbiała gotować. W zasadzie kuchnia była jej ulubionym pomieszczeniem. Niemożliwe, żeby przeoczyła kogoś obcego. Miejscowego zresztą też nie. Widziałam krzątających się w ogródku policjantów i nagle zapragnęłam sprawdzić, czy Marylka także ich widzi.

- A ci w ogródku u dziadka to kto? - rzuciłam, jak mi się zdawało, podchwytliwe pytanie.

- A to ty nie wiesz, z kim rozmawiałaś?

- Czyli widzisz wszystko. Okej, w takim razie zastanówmy się nad możliwościami - zaproponowałam.

- Jasne, wiesz - Marylka nachyliła się do mnie konspiracyjnie - mnie to strasznie dręczy, że jakbym zauważyła tego obcego, to dziadek jeszcze by żył. Normalne poczucie winy

mnie dopadło! – Dopiła kawę i energicznym gestem włożyła na nos okulary do czytania. – Dlatego naprawdę zależy mi na znalezieniu tego parszywca. Czuję się, czuję się... – zawahała się – tak, jakbym zawiodła. Okropność.

– Poczucie winy? Też coś – prychnęłam zirytowana. – Dlaczego ty się tym tak przejmujesz? Przecież już dawno udowodniono, że przyszła ofiara przyciąga sprawcę. Jeżeli ktoś się dostał do domu dziadka i zamordował go z premedytacją, a moim zdaniem wszystko na to wskazuje, to jakiegokolwiek poczucie winy jest zbędne. Nie miałaś wpływu na tok zdarzeń – pouczyłam przykurczoną na stołku Serwerownicę.

Rzeczywiście wyglądała marnie, tak jakby nie spała przez dłuższy czas. Moje słowa podziałały na nią mobilizująco. Wyprostowała się i spojrzała na mnie przytomniej.

– Rzeczywiście tak myślisz czy tylko mnie pocieszasz? – zapytała niemrawo.

– Jakie tam pocieszasz! – obruszyłam się. – Jeśli miał zostać zabity, to ani twoje wysiadywanie w oknie, ani moje sąsiedzkie zainteresowanie by mu nie pomogły. Taki los. Pogódź się z tym. – Uspokoiałam ją. Widziałam, że kobieta powoli akceptuje moje słowa. Nie wiedziałam, że jest aż tak wrażliwa.

Odetchnęłam z ulgą i postanowiłam rozprostować kości. Krzesła u Marylki były doskonałe do siedzenia, ale ostatnie przejścia dały mi się we znaki i nawet królewski tron był dla mnie niewygodny. Po godzinie siedzenia marzyłam o tym, żeby wstać i przespacerować się, co – nie czekając zbyt długo – zrobiłam. Marylka ma przestronną kuchnię połączoną z salonem i jadalnią. Z jednej strony to bardzo praktyczne rozwiązanie. Nawet jak się ma gości w salonie, to robiąc kawę, nie traci się niczego z bieżącej konwersacji, bo wciąż wszyscy są w zasięgu ręki i wzroku. Jednak z drugiej strony gospodyni cały czas jest zmuszona do utrzymywania idealnego porządku. Ale to chyba jej nie przeszkadza.

Zrobiłam kilka skłonów, parę wyrzutów ramion, żeby się rozluźnić. Poszłam na koniec jadalni i przystanąłam przy oknie tarasowym. Marylka ma piękny drewniany taras, obiekt zazdrości połowy mieszkańców ulicy, a już mojej na pewno. No, rzeczywiście!

Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślałam

- Słuchaj! A może ktoś wszedł do niego od tyłu?

- Jak to od tyłu? Tam nie ma bramki. - W głosie Serwerowni znowu pobrzmiwało zmęczenie i jakaś niepodobna do niej płaczliwość.

- Ale ogrodzenie można przeskoczyć, wdrapać się na nie i już. Nikt nawet by nie zauważył! Poza tym w domu są okna! Nie trzeba wchodzić bramką i drzwiami.

- Wdrapywał się? - Marylka pokręciła głową z niedowierzaniem. - Jak znam życie, to akurat w momencie gdy się morderca wdrapywał, pół ulicy miałyby ochotę na przechadzkę. Poza tym co? Niby oknem wchodził? Przecież policja znalazłaby ślady. Sama mówiłaś, że okna w domu dziadka były zamknięte i okropnie w środku śmierdziało. Jakos mi to nie pasuje.

- Niekoniecznie! Ja ci mówię, że jak nie przodem, to tyłem. Nie ma innego wytłumaczenia. Poza tym ktoś widział dziadka, gdy ten jechał w nocy na rowerze. To było gdzieś w okolicach Stawów. Więc powiedz, jak się tam przedostał? Tylko przez dolinę mógł. Mógł wyjść tyłem, gdyby nie chciał, żeby go ktokolwiek widział. Ktoś mógł wiedzieć o tej możliwości. Sama kiedyś przechodziłam przez dolinę, jak mnie nawiedzał taki na zabój zakochany, co nie chciał zrozumieć, że ja nie reflektuję na jego zaloty.

Zobaczyłam, jak na policzkach mojej sąsiadki wykwita rumieniec ekscytacji i znika wcześniejsze przygnębienie. Pojawił się błysk w oku i zapął do pracy.

- Dorwiemy go, ja ci to mówię! - krzyknęła gromko i walnęła pięścią w stół.

Zgodziłam się z nią prędko. Postanowiłyśmy przeczekać policjantów buszujących w ogrodzie i gdy zapadną ciemności, wybrać się na wizję lokalną, a w wolnym czasie wypytać pozostałych sąsiadów. Może widzieli coś odbiegającego od normy.

Resztę posiedzenia poświęciłyśmy na tradycyjne ploty. Czułam się tak, jakbym wylądowała na Marsie. Każda informacja przekazywana przez Marylkę była dla mnie nowością, a skala zdarzeń przerastała wyobraźnię. Rozwody, powroty, potajemni kochankowie i normalne cowieczorne awantury. Rzeczywiście dobiegały do mnie dziwne odgłosy, ale myślałam, że dźwięk tak niesie po kanałach i awantury dotyczą ulicy obok. Myliłam się srodze.

Rozstałyśmy się podniesione na duchu perspektywą działania. Energicznie zamknęłam za sobą drzwi domu Marylki i rozejrzałam się. Na nietypowo wymarłej teraz ulicy panował hipnotyczny spokój. Nawet w ogródku u dziadka zapadła cisza, ale co zastanawiające, furtka nadal kiwała się smętnie na przerdzewiałych zawiasach. Mogło to oznaczać dwie rzeczy: albo policjanci byli jeszcze na terenie posesji, albo niechlujnie nie zamknęli bramki. Wiedziona ciekawością, z charakterystyczną dla siebie beztróską weszłam na zakazany teren. Zero reakcji, okoliczne psy i koty odpracowywały drzemkę, zmęczone wcześniejszym ujadaniem na listonosza i na tych dwóch dodatkowych osobników. Ani śladu człowieka. Poczulałam niemiłe mrowienie pod łopatkami. Drzwi prowadzące do domu Romualda Trackiego były lekko uchylone. Wykorzystując brak świadków, szybko podeszłam ku nim i pchnęłam tak minimalnie, jakby wiatr je otworzył. Nie zdążyłam pomyśleć, co robię, gdy silne pchnięcie od wewnątrz posłało mnie na wąty trawnik, a jakiś cień pognał w głąb

ogrodu. Napastnik był szczupły, drobnej budowy ciała, odziany na czarno. Momentalnie skojarzył mi się z moim Przyszłym Mordercą - to wszystko przez czarny golf i coś w rodzaju prześwitującej kominiarki. I po cóż takie ceregiele? Czy ci złoczyńcy nie myślą? Przecież w ten sposób tylko zwracają na siebie uwagę. Kto się nie obejrzy za człowiekiem w kominiarce?

Poturbowana powoli zbierałam się z trawy. Powinnam sobie sprawić ochraniacz na kość ogonową. Nie musiałam nawet dzwonić po Marylkę. Zanim się pozbierałam, już była w ogródku, wydziwiałając nad moją beztroską, a dosadniej rzecz ujmując - głupotą. Postanowiłyśmy się nie czaić i w blasku dnia wejść do domu dziadka. Nie było na co czekać, zwłaszcza że państwo Mazurkowie, nasi sąsiedzi, wracali do domu dopiero po osiemnastej.

Zastanawiałam się, co powinnyśmy zrobić. Niespodziewany kontakt z nieznanym osobnikiem nie należał do przyjemności, ale w sumie nic takiego się nie stało. Postanowiłam, że na spokojnie przemyślę sprawę, zwłaszcza że nie zamierzałyśmy z Serwerownią zwracać na siebie uwagi policji. Może i podkomisarz Zakrzewski był sympatyczny, może i należała mu się pomoc, ale jak znam życie, zaraz by histeryzował i domagał się wyjaśnień, dlatego poszłyśmy do domu dziadka Trackiego. Byłyśmy obie tak zmęczone, że na razie odpuściłyśmy jakiegokolwiek kontakty z jakąkolwiek władzą.

W domu nakarmiłam Pana Kota i siebie, włączyłam telewizor, żeby rozproszyć ciszę, ale szybko zrezygnowałam z tego pomysłu. Nie miałam cierpliwości ani do talentów wokalnych, ani do tanecznych, a lecące ciurkiem wiadomości na jednej ze stacji doprowadzały mnie do białej gorączki. Ile razy można powtarzać to samo, utwierdzając widzów w przekonaniu, że

znajdują się na poziomie intelektualnym mniej niż zerowym? Pan Kot zjadł i siedział na parapecie w kuchni, czyszcząc sobie pyszczek. Zadowolony po zjedzeniu porcji mięsa mógł spać nawet przez kilka godzin.

Śmierdziała kurzem i papierosami. Pan Kot pamiętał ten zapach ze swojej niedawnej wyprawy. Ktoś nowy pętał się po jego terenie. Znużony nerwowym dniem wygodniej ułożył się na parapecie i spod wpróżymkniętych powiek śledził szastanie się po kuchni dziwnie zdenerwowanej młodszej gospodyni. Widać było, że kobieta nie potrafi sobie miejsca znaleźć. W końcu wyłączyła to huczące pudło. Odrobina spokoju na co dzień dla jego zmaltretowanych uszu się należała.

Wykończona dniem pełnym wrażeń postanowiłam, że teraz kolej na mnie. Kolacja i powrót na barcelońską uliczkę – to był plan na dalszą część wieczoru. Tego było mi trzeba!

Nie zdążyłam posmarować bułki masłem, gdy zadzwonił telefon. Agnieszka. Moi przyjaciele wiedzą, że gdy piszę, to wyłączam się z życia towarzyskiego i pierwsza rzadko kiedy dzwonię, natomiast nie mam nic przeciwko temu, żeby oni dzwoniли. Byle z umiarem.

Miałam przyjść i to najlepiej natychmiast, bo inaczej świat się zawali, a ona ma chandrę i ogólnie jest źle. Tyle zrozumiałam. W dalszej kolejności było o awarii spłuczki i zmianach klimatycznych. Też wolałabym złotą polską jesień, a nie to coś za oknem.

Narzuciłam sweter, kamizelkę à la futerko, wsiadłam do samochodu i zostawiając dom pod opieką Pana Kota, pojechałam.



W kuchni u Agnieszki było przytulnie. Usypiająco szemrała zmywarka, a my - jedząc gorące bułki posmarowane roztopiającym się masłem - wracałyśmy wspomnieniami do czasów szkolnych. Nasza szkolna paczka nie widywała się całymi latami, ale przy okazji okolicznościowych spotkań zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy się wczoraj rozstali. Chociaż nie wszyscy byli tak otwarci. Zawsze znajdują się tacy, którzy wiecznie nie mają czasu, ochoty i każdy powód jest dla nich dobry, żeby się nie spotkać. Cóż, od dawna wiadomo, że wszystkim nie da się dogodzić. Przypomniałam sobie, jak dziesięć lat temu wpadłyśmy na pomysł zorganizowania spotkania klasowego. Agnieszka przytargała wszystkie zdjęcia z podstawówki i ze śmiechem usiłowałyśmy rozpoznać naszych kolegów. Nie wszystkim dałyśmy radę przyporządkować imiona. Namierzenie całej klasy trwało dwa miesiące.

Właściwie to nie wszystkich, gdyż Eugeniusz Słodki zapadł się jak kamień w wodę. W czasach szkolnych mieszkał w małym domku na Zastawiu, z rodzicami, babcią i młodszym bratem. Dotarliśmy do adresu. W miejscu dawnego domu został wybudowany czteropiętrowy blok, a w okolicznych sklepach nikt nie pamiętał rodziny Słodkich. Prawda była taka, że niektóre ekspedientki nie miały prawa pamiętać tamtych czasów z przyczyn od siebie niezależnych - były zbyt młode. Po porażce udało się nam dotrzeć do naszej wychowawczynie, ale tak samo jak my nie miała pojęcia o miejscu pobytu Gienia. Czy naprawdę? Chodziły plotki, że przyjaźniła się z jego rodzicami. Opuściłyśmy, bo ileż można szukać kogoś, kto nie chce być znaleziony. A szkoda, ponieważ Słodki w czasach szkolnych był fi-larem wszystkich imprez. Zawsze był mocno rozrywkowy i grał na gitarze jak Presley połączony z Beatlesami. A do tego mistrzowsko improwizował kawałki ABBY. Byłoby jak znalazł na spotkaniu klasowym. Podobno gry na gitarze, tak jak jazdy na

rowerze, nigdy się nie zapomina. W końcu dopięliśmy swego i zagoniliśmy około dwadzieścia osób do Pinezki.

To była niezapomniana impreza. Nikt z nas nie wyglądał na swój wiek, a Zdzisław zwany Dzikim nadal wpatrywał się w Natalię, jakby czas się dla niego zatrzymał. W restauracji mieliśmy do dyspozycji sporą salę, drwa w kominku trzaskały wesoło, a zastawiony półmiskami stół kusił. Przywitaliśmy się, a następnie prawie bezwiednie usiedliśmy obok siebie – jak w latach szkolnych – parami z ławek. Jeden kolega wstał i wznosił toast za spotkanie. Podziękował nam za organizację i poprosił o wygłoszenie mowy powitalnej przewodniczącą klasy, czyli mnie. Dawno nie byłam taka zdziwiona. Kompletnie wyleciało mi z pamięci, że byłam przewodniczącą czegokolwiek.

Gapili się na mnie jak sroka w gnat, więc wstałam i wygłosiłam. Niech im będzie. A potem to już poszło. Przyglądałam się koleżankom i kolegom sprzed lat. Nie zmienili się zbyt wiele. Ten sam błysk w oku i zawadiacki kosmyk nad okiem. Wprawdzie żadne z nas nie zawojowało pierwszych stron gazet, nie zrobiliśmy spektakularnych karier, ale chyba nieźle nam w życiu wyszło. Kto z nas zrealizował swoje marzenia sprzed lat?

Jedząc śledzia z sałatką warzywną i zagryzając kawałkiem suchego chleba, słuchałam toczących się przy stole rozmów.

– Tego się trzeba długo uczyć. Musisz wyważyć proporcje, wlać do maszyny tyle farby, ile trzeba, i ustawić odpowiedni program. Jeśli na tym etapie spieprzysz, to będziesz musiał zapłacić. – To Adam, z wykształcenia historyk i geograf. Dwa fakultety nie były dla niego problemem. Kolekcjoner starych imbryków i samowarów właśnie opowiadał o swojej pracy w dużej sieci sprzedającej materiały budowlane. Kiedyś chciał podróżować po całym świecie. Zapowiadał się na dobrego rzeczoznawcę dzieł sztuki. Podobno już na ostatnim roku studiów notował drobne sukcesy. Ciekawe, czy za takie

mieszanie farby lepiej płacą. Nadal przystojny, ale już z cieniami pod oczami, wyglądał na zmęczonego. Obok niego siedział zasłuchany Dzidek. Był bardzo zainteresowany kwestią doboru kolorów tynków elewacyjnych. Dzidek pracował w banku. Odpowiadał za kontakty z klientami i wciąż był na pierwszej linii ognia. W czasach szkolnych marzył o pracy leśnika. Nawet, jak mi się mgliście wydawało, skończył odpowiednie technikum.

Wtrąciłam się do rozmowy.

- Jak ci się pracuje z ludźmi? To chyba trochę męczące tak ciągle dzwonić i namawiać, żeby zaciągnęli kredyt, albo przypominać, że nie zapłacili rat. Bardzo stresujące zajęcie. Tak mi się wydaje. Czy na tym właśnie polega twoja praca? - zapytałam. Nie żebym była szczególnie zainteresowana, ale chciałam wiedzieć, gdzie i dlaczego przepadła ta leśniczówka.

Dzidek wiercił się na krześle. Pytanie o pracę chyba niezbyt przypadło mu do gustu. Zerkał na Adama. Ten jakby nigdy nic nakładał sobie na talerz sałatkę jarzynową. Wyczułam, że też jest zainteresowany odpowiedzią na to dość intymne w rozumieniu tamtego pytanie. W końcu przyjaźnili się od tylu lat. Czyżby nigdy nie miał odwagi zapytać?

- No cóż. Po prostu trzeba z czegoś żyć - wydukał zaczerwieniony Dzidek, a ja przez moment pożałowałam, że zadałam to pytanie. Trudno. Brnęłam więc dalej.

- Miałeś być leśnikiem. Pamiętam, że wybierałeś się do technikum leśnego.

- Tak... to było kiedyś. Ale technikum skończyłem. - Na moment oczy mu się rozświeciły i wyglądał jak całkiem inny człowiek.

- Więc dlaczego?

- Dlaczego, dlatego... - rozzłościł się. - Chcesz wiedzieć, to ci powiem. Wpadłem i musiałem się żenić. Potem drugie

dziecko, a żona miastowa! Trzeba było rzucić wszystko i zarabiać! Dlatego!

W jego głosie pobrzmiwało tyle goryczy, żalu i tęsknoty za niezrealizowanym życiem, że aż zabolalo. Taki fajny chłopak był z Dzikka. Podkochiwał się w Natalii, ale ona wybrała innego. Coś im nie wyszło. Facet, który od małego traktował las jak drugi dom, siedzi w wielkim zadymionym mieście i wbity w elegancki garnitur codziennie produkuje się przez telefon, żeby utrzymać rodzinę. Nawet nie zapytałam, kiedy ostatnio był w lesie na grzybach, kiedy usiadł na zwałonym pniu gdzieś na lesnej polanie. Zdawało mi się, że reszta przysłuchujących się naszej rozmowie miała podobne refleksje.

Miałam wyrzuty sumienia, że naciągnęłam Dzikka na zwierzenia. Po chwili się okazało, że wszyscy mamy już dość rozmów o naszych odchowanych dzieciach, wiecznie niezadowolonych żonach i popijających ukradkiem mężach. Zaczęliśmy wspominać, jak to było w tej naszej podstawówce i kto z nas robi to, co chciał.

Agnieszka marzyła o tym, by zostać architektem, ale dziś uczy w szkole. Jest wymagająca i nie daje sobie chodzić po głowie. Uczniowie czują respekt. Została przy dziedzinie, która ją naprawdę interesowała i w której była dobra. Dla niej matematyka nadal jest królową nauk.

Zuzanna nigdy nie miała wybujałych ambicji. Zamierzała szybko wyjść za mąż, dla świętego spokoju urodzić dwoje dzieci i dobrze się bawić w życiu. Patrząc na nią, dochodziłam do wniosku, że czasem wybujałe ambicje są niezdrowe. Zuzanna kwitła, promieniała, a mąż nadal nosił ją na rękach. Dzieci miała już odchowane, studiujące i dużo czasu wolnego. Wyglądała na trzydziestkę. Ona zrealizowała swoje plany.

Rozmawialiśmy także o nieobecnych. Irmina, wiecznie niezadowolona, nie zamierzała tracić czasu w naszym towarzystwie. Mariola znowu miała problemy z mężem i

minimalną ochotę na spotkania towarzyskie. Paweł, jak zawsze w ciągłych rozjazdach, nie miał czasu na normalne życie. W spotkaniu brał udział trzon klasy. Brakowało tylko Eugeniusza Słodkiego, który zapadł się pod ziemię i był nie do wytropienia.

Mijały godziny. Siedziałyśmy z Agnieszką nad piwem bezalkoholowym i paluszkami, pogrążone we wspomnieniach, i zastanawiałyśmy się, gdzie tym razem mamy go szukać. Działo się coś, czego nie mogłyśmy zrozumieć, a ja miałam dodatkowy zgryz, trzymając przed przyjaciółką w tajemnicy przypuszczalny powód zniknięcia Gienia. A może od trzydziestu pięciu lat pozostawałam w błędzie?

To jedno przypadkowe spotkanie przed kilkoma tygodniami uruchomiło w mojej pamięci cały cykl wspomnień. Już nie mogłam zahamować pokazu slajdów zdarzeń sprzed lat. To był pierwszy powód, dla którego tak bardzo chciałam porozmawiać z moim klasowym kolegą. Drugim powodem była płyta ABBY, którą wciąż pragnęłam odzyskać. Naiwnie, jak to miałam w zwyczaju, myślałam, że trzydzieści pięć lat to tylko cyfra zapisana na papierze. Nic bardziej błędnego. Trzydzieści pięć lat to kawał życia każdego z nas.

Tę pamiętną płytę ABBY mama dostała spod lady. Wychodziła ją specjalnie dla mnie. Rarytas i unikat. Nie to, co teraz, wszystko dostępne na wyciągnięcie ręki, a w zasadzie na kliknięcie. Cieszyłam się jak głupia i oczywiście chwaliłam zdobyczą na prawo i lewo. Było nie kłapać ozorem, to cieszyłabym się winylem do dzisiaj. Do czasu spotkania z Gieniem nie byłam pewna, czy to jemu pożyczyłam płytę, czy może Piotrkowi. Obaj bezustannie o nią błagali. Po trzydziestu pięciu latach nabrałam pewności, że jednak dałam ją Słodkiemu. A że był słodki, to fakt. Żaden kolega nie potrafił tak czarować dziewczyn, żeby czuły się najpiękniejsze na świecie. Miał to po tatusiu, o którego podbojach krążyły różne opowieści, w dużej części prawdziwe. „Pogromca damskich

serc i wieczne utrapienie żony”, mawiały kronikarki dziejów Miasteczka.

Wiedziałam, że to, co o nim mówiono, było w dużej części prawdą i wiązało się ze zniknięciem Słodkich. Nagle cała rodzina zakończyła interesy związane z naszym Miasteczkiem, urwała kontakty i wyniosła się w siną dal. Z tego, co udało mi się ustalić, nie mieli innego wyjścia. Miałam do Gienia pretensje, bo jednak z uwagi na lata przyjaźni mógł mi dać znać, że żyje. Tyle lat w niepewności...

Wspomnienia, bieżące ploteczki i przede wszystkim afery z dziadkiem Trackim sprawiły, że gdy zegnałyśmy się, Agnieszka już nie pamiętała, że jeszcze parę godzin wcześniej miała wszystkiego dość. Jak zawsze nie mogłyśmy się rozstać.

Dochodziła północ, gdy wsiadałam do samochodu. Najpierw, standardowo, sprawdziłam tylne siedzenie, czy czasem nikt się na nim nie ukrył, żeby mnie po przyjeździe do domu zamordować. Zapięłam pasy i machając Agnieszce na pożegnanie, pojechałam do siebie.

Znika na tyle godzin, a potem nawet marnego okruszka nie przywiezie! Pan Kot czuł się mocno rozczarowany. Cóż z tego, że prawie od razu sięgnęła po nową puszkę i całość przełożyła na jego talerzyk. Manifestacyjnie udawał, że mu na łososiu nie zależy, żeby sobie nie pomyślała, że łatwo go przekupić.

- No już dobrze, kobieto, weź nie gmeraj tyle, bo jeszcze rozbijesz ten talerzyk i będę musiał z podłogi resztki wylizywać.

W końcu sobie poszła. Postanowił, że szybko zje i postara się załapać na wyjście z domu. Noc taka piękna, że aż żał ją przespać.

Pan Kot sumiennie wylizał biały talerzyk deserowy i odpuścił na zaś czyszczenie pazurów. Zgrabnie zeskoczył z kuchennego blatu i pomaszerował ku drzwiom. Po chwili zastanowienia z

premedytacją wbił pazury w wełniany chodnik i z przyjemnością wyrwał kilka nitok. Ta metoda perswazji zawsze skutkowałą.

Zaspałam. Rzadko mi się to zdarza. Najczęściej - obudzona przez Pana Kota - wstaję w okolicach ósmej rano. Tym razem mój ukochany kot także zaspał, ale jemu się nie dziwiłam, gdyż po moim powrocie jeszcze wyszedł na ostatni obchód i wrócił do domu dopiero w odpowiedzi na moje dobitnie wyrażone prośby, po pierwszej. Wygłaskany i dożywiony następną porcją łososia w sosie położył się spać, a ja spokojna, że wszyscy już są na miejscu, natychmiast zasnęłam. Spałam jak kamień, bez snów, do dziesiątej. Łaska pańska, że nie muszę chodzić do pracy!

Ogarnęłam się szybko i w bojowym nastroju usiadłam do pisania, mając nadzieję na kilka niczym niezakłóconych godzin pracy twórczej. Otworzyłam dokument i przeleciałam wzrokiem ostatnie akapity. Całe szczęście, że ostatnio udawało mi się pisać codziennie i nie musiałam czytać wszystkiego, co napisałam. Wystarczyło tylko te kilka akapitów i kontrola konspektu, by być na bieżąco. Uspokojona, że dotrzymam terminów, mobilizowałam się myślą o dniu, w którym skończę i będę się mogła zabrać za następną książkę. Zamknięta paczka czipsów czekała na swoją kolej. Na razie wystarczyła mi mieszanka studencka do pogryzania. Wygrzebałam z torebki potężny okaz orzecha brazylijskiego i pracowicie go obgryzając, zabrałam się za myślenie.

*Na uliczkach Barcelony, a w zasadzie na tej jednej konkretnej uliczce, nadal panowała cisza. Wiekowa Hiszpanka (wróc, Katalonka, bo oni są trochę przeczuleni na punkcie podziału terytorialnego i przynależności) ukryta za franką z napięciem śledziła*

rozwój zdarzeń, daleka od tego, by zawiadamić jakiegokolwiek służby. Pod koniec życia cierpiała na brak rozrywek. Teraz starała się jak najwięcej zobaczyć, pomna, że to dopiero początek widowiska. Potem zjedzie się policja, zaczną się rozmowy z mieszkańcami, ploteczki pełne wyssanych z palca sensacji. Nie każdego dnia pod domem znanej katalońskiej rodziny znajduje się trupa. A najlepsze było to, że tym razem nie miała z potencjalnym nieboszczykiem nic wspólnego. Dlatego też z napięciem wysilała wzrok. Usadowiona w wygodnym fotelu i zaopatrzona w wojskową lornetkę, obserwowała.

*Na razie nic się nie działo.*

Osobnik ukryty za krzewem bugenwilli (naiwny, myślał, że nikt go nie zobaczy), nadal trzymał w zaciśniętej dłoni nóż. Od wejścia do uliczki, a tak naprawdę ukrytego wśród oznaczeń na mapie Zaułka Snów, słychać było czyjeś kroki. Niestety nie był to odgłos kroków umówionego mężczyzny. Zbliżała się większa grupa. Cicha rozmowa, śmiechy i nieco histeryczny chichot wskazywały, że młodzież upatrzyła sobie Zaułek Snów na nocną randkę.

Oczekiwanie przedłużało się. Młodzi ludzie, nie zważając na ciszę nocną i przyzwoitość, załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne i coraz natarczywiej domagali się większej współpracy od powoli trzeźwiejących dziewczyn. Przekomarzanie przeszło w szarpaninę, a Przyszłym Mordercą targnęły dwa skrajne uczucia: lęk, że zostanie odkryty i znowu będzie musiał kombinować, jak umówić się na spotkanie z Przyszłym Denatem, oraz poczucie przyzwoitości.

Był w miarę wysportowany. Wypadło stanąć w obronie dziewczyn. Poczucie przyzwoitości przeważyło i



Przyszły Morderca powoli oderwał się od muru odgradzającego Zaulek od ruchu wielkiego miasta. Już prostował plecy, wciąż ściskając w ręku nóż, gdy doleciało do niego swojskie „Kurwa jegoż mać, a wy tu co!?” wyartykułowane z taką ekspresją, że Przyszły Morderca z powrotem przywarł do muru, rozumiejąc, że nic tam po nim.

Jerzy Rosół był wściekły. Jakiś jełop chciał mu przekazać mające dużą wagę informacje i zamiast jak normalny informator umówić się w kawiarni, zmusił go do szukania tej ciemnej dziury zwanej Zaułkiem Snów na jasnej mapie Barcelony. I to nocą. W sumie zamierzał zlekceważyć ten kontakt, ale uznał, że nigdy nic nie wiadomo. Może dowie się czegoś nowego i bogatszy o cenny materiał wróci do Polski. Dziwiło go, dlaczego informator nawiązał z nim kontakt dopiero w Barcelonie, skoro mógł to zrobić w Warszawie. Podobno jego żona chciała wyjechać na wczasy i tak się wszystko zbiegło.

Miało prawo. Teraz siedział na dokładnie przystrzyżonym trawniku rozpościerającym się przy zdobnej w stiuki kamienicy i gapił się w ciemność rozświetloną jedynie lampą zawieszoną nad drzwiami wejściowymi. Młodzież, także nieco przez niego poturbowana, rozpierzchła się do domów. Zastanawiał się, co dalej robić. W pobliżu nie było żywego ducha, chociaż w pewnym momencie miał wrażenie, że ktoś kuca przy końcu muru. Lekko oberwał, to i mrocзки mu przed oczyma latały. Takie życie. Nigdy nie miał szczególnego zamiłowania do sztuk walki, chociaż jako młody chłopak bić się potrafił. Siedział tak w kręgu światła, zastanawiając się, co ma teraz zrobić. Kontakt już dawno powinien się pojawić, psiakość. Będzie musiał

*czekać na telefon od faceta. Poprzednie połączenie było nie do namierzenia. Zaciskając zęby, wstał z trawy, otrzepał spodnie z przylepionych źdźbeł i ziemi, po czym schylił się po podręczny plecak, który w czasie szamotaniny poleciał w okolice klombu upiększającego trawnik przed kamienicą. Pochylając się, miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Rozgarnął roślinność panoszącą się na klombie i sięgnął po plecak.*

Uff, prawie go zabiłam! Widziałam czarną sylwetkę i podniesioną do góry rękę z nożem. Nóż powoli opadał, by przebić się przez ciekłą tkaninę T-shirta dziennikarza, gdy ciszę (nawet lodówka na czas mojej pracy przestała rzeźzić) przerwał dzwonek do bramki wygrywający jakąś bliżej mi nieznaną melodię. Ze względu na absolutną głuchotę muzyczną większość melodii była mi obojętna. Ćwicząc cierpliwość, odłożyłam lapa na kanapę i z lekka utykając, bo nerw kulszowy się odezwał, podeszłam do okna. Otworzyłam je i zobaczyłam przy bramce potężnej postury kobietę. Na mój widok rozdarła się przejmująco:

- Powróżyć, karty stawiać!

„Nie, dziękuję” utknęło mi w krtani, bo nagle głos Cyganki wydał mi się znajomy. Po chwili, żeby nie przedłużyć stania przy otwartym oknie, odkrzyknęłam, że zaraz wyjdę. Narzuciłam na siebie stary płaszcz, wzięłam z wieszaka klucze do bramki i poszłam jej otworzyć.

Cyganka miała na sobie falbaniastą czarną spódnicę i czarny sweter, na który zarzuciła wełnianą chustę haftowaną w czerwone róże. Chusta była rozmiarów kapy na łóżko, i to małżeńskie. Narzucona na głowę tak, że zakrywała czoło, otulała kobietę ścisłym kokonem. Spod chusty spoglądała para oczu głębokich jak jezioro Hańcza. Aż się zachłysnęłam z zachwytu i zamierzałam odkrywczo całemu światu ogłosić, kto

się kryje pod przebraniem, gdy zobaczyłam, jak mój gość kładzie palec na ustach. Wykazując się refleksem, wykrzyknęłam:

- Pani naprawdę potrafi wróżyć?

- No, ba! - odpowiedziała pewnie i głośno Cyganka. - Kochaneńka, ja ci wywróżę chłopca przystojnego i dzieciaczków parkę...

- Gieniu, nie wygłupiaj się - syknęłam ostrzegawczo, a głośniej powiedziałam: - A pani się kawy napije? Bo ja bym się o parę spraw chciała dowiedzieć. U nas było morderstwo...

- Oj, kochaniutka, wszystko ci powiem. Karty nie kłamią - zawył Gieniu i pewnym krokiem wszedł przez bramkę do ogródka.

Ta kobieta jest niepoważna. Zapraszać obcą osobę do domu na kawę? Też coś! Zero ostrożności, instynktu samozachowawczego. A ta druga też dobra, żeby tak się wpraszać, jakieś wróżenie oferować. Przecież to pic na wodę, fotomontaż! Brudzio nie wierzył we wróżby od czasu, gdy dał się nabrać esemesowemu wróżbicie na numery do totolotka. Wcześniej wierzył umiarkowanie. Zdarzyło się, że przeczytał horoskop w tygodniowej gazecie, ale po tamtym numerze dał sobie spokój. Stówę stracił na próżno. Nie pamiętał już, od czego się te całe wróżby zaczęły, ale przypuszczał, że zrobił błąd, podając na jednym z portali zajmujących się horoskopami numer swojego telefonu komórkowego. To zapewne spowodowało lawinę esemesów ostrzegająco-motywuujących. Długo się opierał. Dopiero z tymi numerami lotka trafili w sedno jego pragnień. A jak cwanie... gry losowe napisali, żeby się nie przyczepił, i podali dziewięć cyfr, żeby z nich wybrał sześć. Dlaczego nie od razu sześć trafnych? Miał zdążyć puścić je do południa. Cały cyrk, różne kombinacje posłał. Gnał, żeby

zdążyć do za pięć dwunasta, i nawet jedyński nie trafił. Kompletna porażka!

Jeszcze teraz na samo wspomnienie swej łatwowierności czuł, jak mu się podnosi ciśnienie i tętno pędzi do stu czterdziestu. A ta tutaj taka łatwowierna.

Brudzio kilka minut wcześniej wjechał z fasonem na ulicę Brzegową. Był pewien, że baba z różowego domu go zauważyła. Lekkie uchylenie okna i ruch za firanką zdradzały, że Serwerownia nie próżnuje. Wszędzie mieszkają te napędzane ciekawością zakąły ludzkości. Nic na to nie poradzi, trzeba się przystosować. Wyłączył silnik i rozkramarzył się z papierami, szukając odpowiedniego świstka. Jednocześnie zastanawiał się, co dalej robić. Musiał sprawdzić, co się dzieje, co jest powodem narastających kłopotów. Na razie na pewno nikt nie był zorientowany w jego planach. Tamten choćby chciał, to nie powie, bo nie wie komu. Wtedy to było przypadkowe spotkanie. Czesław Brudziński miał ochotę uwolnić się od dotychczasowych współników, jednak najpierw zamierzał zrobić interes życia. Dobrze, że udało mu się nawiązać kontakt z szefem. Te zniknięcia były niepokojące.

W końcu ze sterty papierów triumfalnie wyciągnął jakiś grubszy formularz i sięgnął po długopis. Wyjął kluczyki ze stacyjki i elegancko wysiadł z samochodu. Nonszalancko pyknął pilotem, by zamknąć auto. Formularz i długopis wsadził do kieszeni. Pozorując kompletną obojętność, równym krokiem podążył w stronę przejazdu kolejowego.

Marylka nie spuszczała wzroku z kierowcy białego nissana. Już dawno nauczyła się rozpoznawać marki samochodów i była z tej umiejętności bardzo zadowolona. Tym razem, po wpadce z brakiem wiedzy w sprawie dziadka Trackiego, zapisała w kalendarzu numer rejestracyjny pojazdu. Mężczyzna, który nim przyjechał, nie kojarzył się jej z nikim znajomym. Taki przymały,

gatki obcisłe, widać, że za małe, paltocik kusy, jak z młodszego brata. Buty chyba sportowe. Z tej odległości nie była w stanie namierzyć marki, ale takie bure jakieś. Włosy miał skryte pod obcisłą czapką, brak okularów i innych znaków szczególnych. Na pewno widziała go pierwszy raz, pomyłka nie wchodziła w rachubę. Zresztą Marylka wszystkich znała. Wiedziała, jak wygląda człowiek odczytujący co dwa miesiące licznik gazu i facet, który co pół roku odczytuje zużycie prądu. Znała tego od wody i wszystkich listonoszy, którzy podrzucali sobie Brzegową jak zgniłe jajo. Znała nawet tych nowych z kiosku roznoszących awiza, by ludzie mogli odebrać wezwania do sądu. Znała z widzenia nawracaczy, którzy upodobali sobie Brzegową i nikomu nie odpuszczali. Ale tego mężczyzny na pewno nie znała. Jego przyjazd zbiegł się w czasie z przyjściem jakiejś Cyganki. Miała wrażenie, że owa Cyganka pętała się od dobrej chwili po ulicy. Jednak wrażenie to nie pewność, zwłaszcza że osobnik wysiadujący w nissanie skupił na chwilę całą jej uwagę.

Marylka od lat nie widziała prawdziwego Cygana. Wszyscy powyjeżdżali do Szwecji albo do Ameryki. A kiedyś to byli prawdziwi Cyganie... Teraz mówi się na nich Romowie, ale Marylce bardziej się podobała ta pierwsza nazwa, gdyż przynosiła powiew przygody i miała romantyczną nutę. Mama Marylki opowiadała o prawdziwych taborach cygańskich zatrzymujących się nad Sołą, wozach ciągniętych przez piękne konie i gromadkach bawiących się dzieci. Tamten świat już odszedł, tak jak odeszło romantyczne spojrzenie na szarą rzeczywistość zastąpione pragmatyzmem i bolesnym realizmem. Marylka westchnęła z nostalgią i szybko wróciła do Brzegowej rzeczywistości.

Cyganka stojąca przed bramką Lenki była dziwna. Wrzeszczała prawie męskim głosem o wróżeniu. Taka nieco toporna. Marlena jest nieostrożna. Wpuściła ją do domu. Kto to

widział? Sprawiała wrażenie zaskoczonej, ale nie przestraszonej. Gdyby jej matka wiedziała...

Marylka wychyliła się przez okno i zobaczyła sylwetkę faceta znikającą za zakrętem. Ciekawe, do kogo szedł, zastanowiła się. Nie było tam zbyt wiele domów prócz tego nowego i domu braci Gibkich.

Cyganka jak weszła, tak siedzi. Czyżby rzeczywiście karty Lence stawiała? Zgłupiała kobieta od tego ciągłego pisania i rzeczywistość pomyliła się jej ze światem wymyślonym.

Serwerownia cofnęła się do wnętrza kuchni i nie czekając dłużej na rozwój wypadków, stanowczym gestem zamknęła okno. Nie zamierzała być wścibska, ale postanowiła, że już, natychmiast musi złożyć sąsiadce wizytę i wyjaśnić parę niecierpiących zwłoki spraw. Wizyta w domku dziadka Trackiego obfitowała w zaskoczenia i Marylka nadal nie mogła pogodzić się ze stanem swojej niewiedzy. Takie rzeczy pod jej bokiem... Powinny zawiadomić policję, bo nie dość, że ktoś w domu dziadka grasował bezkarnie, to jeszcze zawartość strychu mogła, ale nie musiała, wskazywać na motyw morderstwa. Teraz żałowała, że tak się zdenerwowała, że zamiast przyjrzeć się temu całemu składowi dokładnie dała się Lence szybko wyprowadzić. W sumie słusznie, dobrze, że Lenka przez boczne okno zauważyła samochód męża Serwerowni, który nie miał pojęcia o zaangażowaniu się własnej żony w śledztwo. Dobrze, że dziadek nie żyje, bo inaczej na pewno powiedziała by mu do słuchu.

Już narzucała wyjściową kurtkę i dla pozorów układała na talerzyku resztki wczorajszego murzynka, gdy zadzwonił telefon. Jak zawsze nie w porę. Złorzeczając pod nosem, odłożyła talerzyk z ciastem na stół i wygrzebała telefon komórkowy z przepastnej kieszeni kurtki.

Dzwonił mąż, a to oznaczało, że musi odebrać. Jaki był, taki był, ale nigdy nie sprawiał jej zbyt dużych kłopotów. Lepiej

niech nie czeka, bo zaczniesz wymyślać niestworzone historie o niedostępności Marylki i wszystko jeszcze bardziej się przeciągnie. Lepiej tego uniknąć.

Eugeniusz Słodki wyglądał jak siedem nieszczęść. Nie każdemu mężczyźnie do twarzy w różanej chuście i w cygańskiej spódnicy.

Wpuściłam go do domu i zamknęłam drzwi wejściowe na dwa zamki. Pan Kot powalony niskim ciśnieniem ani drgnął. Opuściłam roletę w oknie na ganku. Gieniu zdjął z siebie kapę i postępując, zabrał się za pozbywanie spódnicy. Zduśliłam cisnące mi się na usta przekleństwa i pomogłam mu zebrać wszystkie szmaty w jednym miejscu. Otworzyłam szafę w ganku i w niej upchałam pachnące naftaliną ciuchy. Fotel w ganku tymczasowo okupował Pan Kot, do którego powoli zaczynało dochodzić, że mamy gościa. Po namyśle skierowałam Gienia do łazienki, żeby zmył maźnięte niebieskim cieniem powieki. W przeciwnym razie nie mogłabym się skupić na rozmowie.

Bez agresywnego makijażu Gieniu zaczynał przypominać siebie. Ubrany w złachane dżinsy i czarny, powyciągany na bokach sweter, siedział przy stole w kuchni i czekał na kawę. Nie bawiliśmy się w elegancję. Nasypałam po dwie kopiaste łyżeczki kawy do kubków i zalałam wrzątkiem.

- Zjesz coś? - zapytałam, widząc, jak Gieniu rusza szczęką. W podstawówce ruszał szczęką zawsze, gdy był głodny. Założyłam, że odruch mu pozostał na resztę życia.

- Wszystko, co masz. Głodny jestem niemożliwie. To ukrywanie się kiedyś mnie wykończy! - jęknął i łypnął w kierunku lodówki.

Wyjęłam chleb i dwie bułki. Ułożyłam pieczywo na desce, którą postawiłam przed wygłodniałym facetem. Z lodówki

wyjęłam kiełbasę, twaróg, resztkę keczupu otwartego przed paroma miesiącami i w miarę świeżą musztardę. Być może powinnam zrobić jajecznicę z dziesięciu jaj, ale nie odważyłam się na to, gdyż przeszło mi przez myśl, że jajka są już nieświeże. Odkąd mamusia zamieszkała u ciotki Lukrecji, jajka należały do produktów rzadko używanych.

Tymi dobrami obstawiłam deskę z chlebem i bułkami, dodałam talerz oraz sztucce i litościwie pozwoliłam się Gieniowi nażreć do syta. Jadł z takim zapałem, że miło było patrzeć. Pochłaniał kromkę za kromką, aż w pełnym egoizmie odruchu ze sterty odjęłam dwie kromki, żeby mi zostało na kolację.

Gieniu, zaspokoiwszy pierwszy głód, pochłaniał z namaszczeniem resztę dóbr, do których dołożyłam zadekowane koreczki śledziowe. Szczerze mówiąc, podejrzewałam, że mój kolega je taktycznie, chcąc odsunąć w czasie moment generalnej spowiedzi.

Gdy deska zaczęła świecić pustkami, musiał skapitulować. Popijałam zimną już kawę powoli, łyk po łyku, i nie spuszczałam z niego wzroku, czatując na moment prawdy niczym pająk na wyjątkowo tłustą muchę.

Wpadł.

Zachowując stoicki spokój, postawiłam kubek na serwetce i usiadłam wygodniej, by dać odpocząć nadwyrężonej tylnej części ciała.

- Słuchaj. No, przepraszam za to całe zamieszanie, ale wiesz, jak jest... - Gieniu poleciał banałem.

- Co wiem, jak jest? Niczego nie wiem. Ty się człowieku zastanów, jak to wygląda z mojego punktu widzenia. - Zdenerwowałam się. - Zniknąłeś jeszcze przed zakończeniem podstawówki i przez ponad trzy dekady nie dałeś łaskawie znać, że żyjesz. Dobra, odpuszczam ci ABBĘ, niech będzie moja strata, ale przecież oboje wiemy, jak było. I teraz ni z gruszki,



ni z pietruszki pojawiaasz się cały zadowolony, umawiasz się ze mną, ja robię z siebie idiotkę, wydzwaniam po ludziach, że przyjechałeś, a ty co! – Machnęłam palcem wskazującym prawej ręki z takim impetem, że omal mu oka nie wydziobałam. Uchylił się w ostatnim momencie.

– No dobrze, już dobrze, tylko bez takich! Wszystko ci wytłumaczę. Lenka, proszę, ty się tak na mnie nie patrz, jakbym ci rodzinę wyrzwał albo co gorszego zrobił. Nie miałem wpływu na rozwój sytuacji. Poza tym dzwoniłem, tylko że ty nie odebrałaś.

Zrozumiałam.

– Rzeczywiście, ktoś dzwonił w tamtym dniu, ale po pierwszym sygnale się rozłączył. A gdy próbowałam oddzwonić, to nie odebrałeś.

– Zgadza się. Nie mogłem. Zrobiłabyś jeszcze herbaty? Po tych śledziach okropnie chce się pić – zamarudził.

Co miałam zrobić? Gieniu zawsze był nieco męczący, a ja założyłam, że skoro już przyszedł, to pociągniemy rozmowę do końca. Wyjęłam z szafki termos, nalałam do czajnika wody i pstryknęłam, dając mu czas na myślenie. Całe dwie minuty. Czajnik szybko się wyłączył, a ja zalałam dwie saszetki. Zaparzyłam szatana i zakręciłam termos. Z szafki nad czajnikiem wyciągnęłam duże kubki i postawiłam je na stole. W ciszy nalałam do nich pierwszą porcję aromatycznej herbaty.

– Z cukrem czy bez?

– Bez.

– To tak jak ja. Uważaj, bo gorąca – uprzedziłam, widząc, że machinalnie sięga po kubek. – Potrzebujesz czegoś jeszcze? Bo jeśli nie, to możemy zaczynać. Nie wyjdiesz stąd dopóty, dopóki nie opowiesz mi dokładnie, co się z tobą działo przez ostatnie lata, ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich tygodni – powiedziałam stanowczo i upiłam łyk wrzątku.

- Przecież po to przyszedłem - odparł trzeźwo i dodał: - On tu jest.

- Kto?

- Przecież wiesz! Morderca - mruknął.

- Co ty opowiadasz? Brałeś coś? - zatroszczyłam się.

- Jakie brałeś? Facet mieszka na końcu twojej ulicy. Wyśledziłem go!

- No to dawaj - zachęciłam Gienia do podzielenia się informacjami.

W domu było cicho i przytulnie, pozamykane okna nie przepuszczały dźwięków z ulicy. Pan Kot, przemieszczony z fotela w ganku na kanapę w salonie, nadal spał, nie zwracając uwagi na gościa. Widocznie wyczuł, że przybyły nie stanowi dla domu zagrożenia. Czekałam, wiedząc, że prędzej czy później dowiem się wszystkiego, a dokładniej rzecz ujmując, że Gieniu potwierdzi moje domysły. Widziałam, że się zastanawia i zapewne, jak to on, porządkuje chronologię wydarzeń. Doszliśmy do ściany i każde z nas oddzielnie stwierdziło, że sytuacja po ponad trzydziestu latach dojrzała do szczerzej rozmowy.

W końcu mój najlepszy kolega z czasów podstawówki ogarnął się umysłowo i spojrzał na mnie wzrokiem, w którym wyczytałam postanowienie doprowadzenia sprawy do końca. Odchrząknął, przygotowując się do dłuższej opowieści, i już nie zwlekając, zaczął od momentu, który na zawsze wrył się w moją pamięć.

Razem z nim znalazłam się na naszym szkolnym boisku za szkołą. Zapadał zmrok. Zaraz przy siatce okalającej teren szkoły, od strony nowego osiedla, leżały dwie sterty płyt chodnikowych, zapomniane przez robotników układających szkolny chodnik, niedostrzeżone przez okolicznych mieszkańców. Siedzieliśmy na tych płytkach, przygotowując się do pierwszego wspólnego podkurzania zwędzonych dzień

wcześniej mamie Gienia papierosów, mentolowych zefirów. Połowa klasy miała już za sobą ów chrzest bojowy, a my, jak jakieś sieroty, z dnia na dzień odwlekaliśmy tę chwilę. Nie ciągnęło nas zbytnio, ale któregoś dnia podjęliśmy decyzję, że chcemy już mieć to za sobą i wiedzieć, czy nam się spodoba. Problem polegał na tym, że tak jego rodzice, jak i moi wychodzili z założenia, że im mniej zakazów, tym większa pewność, że dzieciak czegoś głupiego nie zrobi. W efekcie mieli kontrolę nad naszymi poczynaniami. Spryciarze! Nie to, co teraz... zakazy, nakazy, wieczne trzęsienie się nad smarkaczami. Wtedy było inaczej. Ale wracając do meritum sprawy, Gieniu obrazowo nakreślił tamten dzień. Tak obrazowo, że prawie poczułam zapach mentolu. Wtedy pociągałam nieśmiało, starając się nie zaciągać. Skoncentrowana na paleniu, nie widziałam ani nie słyszałam nic do momentu, gdy poczułam, jak Gienek chytyła mnie za rękę.

- Wyrzuć tego papierosa - szepnął, a ja automatycznie rzuciłam resztkę na trawę. On swojego już zdążył się pozbyć. - Popatrz. - Trącił mnie w ramię. - No tam popatrz. Na schody.

Spojrzałam, ale niewiele widziałam. Powinnam nosić okulary, ale oczywiście miałam je w kieszeni.

- Co? - zapytałam błyskotliwie.

- Nie widzisz? Przecież to pani Jadzia z jakimś fagasem - rzucił.

- Jeśli tak, to się zmywajmy. - Zaczęłam się podnosić z płytek, ale nie zdążyłam wstać, bo Gieniu mnie przytrzymał. - Siedźże, kobieto! Zaraz pójdziemy, tylko muszę coś zobaczyć.

Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Pani Jadzia, szkolna kucharka, miała randkę z jakimś nieznanym. Widziałam z daleka, jak stoją wtuleni w siebie. Pani Jadzia coś do niego mówiła, a on kręcił głową. Nie było niczego słychać, bo siedzieliśmy za daleko. Mężczyzna stał tyłem do nas, przodem zwrócony był do schodów wejściowych prowadzących prosto na

szkolny korytarz. Schodziło się z nich na boisko, żeby pograć w piłkę albo spędzić przerwę na świeżym powietrzu. Komary gryzły jak najęte, wcześniej odstraszone zapachem mentolu. Nie zamierzałam ulegać presji kolegi. Byłam głodna i odechciało mi się palenia papierosów na całe życie. Nagle Gieniu ścisnął mnie mocno za ramię. Wyglądał, jakby ducha zobaczył. Figury na schodach nadal stały przytulone. Ci starzy nigdy nie mają dosyć, pomyślałam. Pani Jadzia opierała się o tego mężczyznę, a on ją podtrzymywał. Dziwnie to wyglądało. Po chwili usadził ją na schodach, otrzepał poły marynarki, przyglądał zwichrzone włosy i rozejrzał się wokół. Zauważył nas. To nie wróżyło niczego dobrego. Nie wiedziałam, co się stało, ale atmosfera nagle zrobiła się ciężka, a Słodki, nie czekając, aż mężczyzna zbliży się do nas za dużo, pociągnął mnie za rękę tak mocno, że wstając z płyt, zadrapałam sobie kolano. Zabolalo, ale czułam, że lepiej nie zwlekać. Trzymając się ogrodzenia, pobiegliśmy w kierunku bramki łączącej teren domu dziecka ze szkolnym boiskiem. Słyszeliśmy, że facet biegnie za nami, mocno tupiąc. Jednak po chwili się zatrzymał. Całe szczęście, że udało się nam uciec. Krążąc opłotkami, dotarłam do domu. Gieniu odprowadził mnie tylko do połowy drogi.

Nazajutrz w szkole nie zdążyliśmy porozmawiać o całym zajściu, bo przyszedł milicjant. Wychowawczynie pognęła nas do sali gimnastycznej, w której zawsze były robione większe spędy. Sprawa była poważna, gdyż okazało się, że ktoś zamordował panią Jadzię. Byliśmy świadkami morderstwa.

Już, już szykowałam się, żeby podnieść rękę, gdy stojący obok mnie Gieniu mruknął:

- Zostaw. Nie widzisz, że to ten nowy?! Musimy pogadać po szkole.

Zostawiłam. On zniknął na ponad trzydzieści lat, a teraz siedział naprzeciwko mnie i opowiadał, co potem się działo.

To prawda, powinniśmy wtedy zgłosić się na posterunek i powiedzieć, co widzieliśmy. Nigdy nie odkryto, kto zamordował szkolną kucharkę. Ale swoje wiedzieliśmy. Gorzej być nie mogło. Umierałam ze strachu, że facet mnie rozpozna, ale w grubych jak denka butelek po piwie okularach wyglądałam koszmarnie i byłam do siebie niepodobna. Na szczęście nie skojarzył. Lata mijały.

Z czasem zapomniałam o całym zdarzeniu, gdyż jak to w życiu, byłam zajęta innymi sprawami. Miesiąc po śmierci kucharki skończyłam podstawówkę i zesłam z oczu mordercy. Paradowanie w tych okropnych okularach było bardzo uciążliwe. Wciąż się pilnowałam, żeby ich choć na moment nie zdjąć. Potem skończyłam liceum i poszłam na studia. Obraz tamtego wieczoru z biegiem lat stracił na ostrości i stał się czymś w rodzaju wspomnienia filmu, ulotnego wrażenia. Nawet nie byłam pewna, czy naprawdę byliśmy świadkami morderstwa. Dzisiaj tamta chwila wróciła i wiedziałam, że zostanie ze mną na długo.

Zamyśliłam się. Nie to było najważniejsze. Wszystko, o czym do tej pory opowiadał Gieniu, było mi znane, chociaż – przyznaję – nieco zapomniane. Dla mnie najistotniejsze było to, dlaczego wyjechali! Dlaczego nie dał znaku, że żyje, i to przez tyle lat!

- Właśnie, dlaczego?! - warknęłam.

Popatrzył na mnie zdziwiony. Oczęta mu zniebieszczały i wyglądał jak wcielenie niewinności. Kiwnął się kilka razy na rozeschniętym krześle kuchennym i powiedział:

- Prawda jest taka, że jakoś mi tak zleciało i dopiero niedawno pomyślałam, że powinienem to naprawić. Latka lecą, życie ucieka... - westchnął filozoficznie i podrapał się po zmarszczonym czole. - Widzisz, wtedy gdy tak żeśmy siedzieli i puszczali dyma, miałem ci powiedzieć, że całą rodziną będziemy się zwijać. Ale nie zdążyłem. A potem nie było okazji.

Wiesz, jaki był mój stary... Kobiety, wino i śpiew, urok osobisty i wdzięk. Na tym uroku długo jechał. Tak długo, że o mało nie zjechał do kicia. W ostatniej chwili wyhamował, ale musiał zniknąć, a my razem z nim.

- Ale co się stało? Dziecko zrobił obcej babie, jakiemuś mężowi się naraził?

- Gorzej.

- Jeszcze gorzej?

- Długów narobił. Kobiety, wino i śpiew to nie jest tanie hobby, a tatuś miał zawsze gest. Po ludziach pożyczął i najpierw od jednego wziął, żeby drugiemu oddać, a potem nie oddawał. I od tych babek też pożyczął. W końcu wyszło na jaw. Musieliśmy dom sprzedać i kierunek Bełchatów, nowe miejsca pracy, mieszkania dla pracowników. I tak zostało. Starzy nadal mieszkają w Bełchatowie, a ja ponieważ się po świecie. - Gieniu westchnął z uczuciem, a ja popatrzyłam na niego podejrzliwie. Być może mówił prawdę, ale głowy bym nie dała. Mógł zmyślać.

Tylko dlaczego miałyby to robić?

- To co teraz z tym fantem z końca ulicy? - zapytałam wprost. Wstałam z krzesła, musiałam się przez chwilę poruszać. Skorzystałam z okazji, by podejść do okna w pokoju. Wydawało mi się, że słyszę głosy z zewnątrz. Zapewne znowu sąsiadki spotkały się przy klapie zamykającej dostęp do kanału. Głos niesie się przez cały dzień, a już pod wieczór słyhać jak przez radio.

Przy płocie stała jakaś kobieta i gorączkowo wymachiwała rękami, wołając. Otworzyłam okno i wychyliłam się.

- A pani w jakiej sprawie?

- Ty żyjesz?

- Jasne, że żyję - odkrzyknęłam, rozpoznając Marylkę. Uprzedzając jej dalsze działania, zaproponowałam pełną

piersią, że za chwilę podejść do bramy. Słyszałam, jak Gieniu wstaje z krzesła i rusza w kierunku pokoju, dudniąc traperami. Szybko zamknęłam okno. Na razie wołałam, żeby Serwerownia wiedziała jak najmniej.

- Znowu wrzeszczy! - Pan Kot niechętnie otworzył jedno oko i szybko je z powrotem zamknął. Stała w oknie i prowadziła pełną piersią konwersację, nie myśląc, że pół ulicy słucha. W kuchni hałasował facet, którego Pan Kot postanowił mieć na oku. Niby wszystko było z nim w porządku, no oprócz manii do przebieranek, ale zachowywał się tak niewyraźnie. Poza tym jak ktoś przychodzi w gości, a ściślej mówiąc, wprasza się, to wypadałoby zachować się odpowiednio i przywitać z gospodarzem. A ten ani be, ani me, ani kukuryku. Już nie wspominając o kici, kici.

Pan Kot wprawdzie nie zamierzał się spoufalać ze wszystkimi jak leci, ale obojętność powinna zostać ukarana.

Ciekawe, gdzie młodsza pańcia ukryła wierzchnie ciuchy tego faceta. A gdyby tak... rozkoszna myśl mignęła Panu Kotu w głowie i spowodowała jego dość zdecydowaną reakcję. Otworzył oczy, usiadł na kanapie i jeszcze mało przytomnie zahaczył wzrokiem o niecierpliwie się faceta. Siedzi jak u siebie, bębni w drzwi i nadal nie zwraca uwagi na nikogo poza sobą. Pan Kot zeskoczył z kanapy i dyskretnie przeszedł do przedpokoju, z radością widząc przed sobą otwarte drzwi.

To teraz lu! Cały świat do mnie należy! Poczul przyjemne podekscytowanie na widok wpółotwartych drzwi do szafy. Zemsta jest słodka, a jaka ulga w pęcherzu...

Jak okiem sięgnąć, łąki i ugory, a wśród nich dwa domy. Jeden jakiś nowobogacki, kolumienki na wejściu i wieżyczka jak z bajki o Królewnie Śnieżce. Drugi dom, ten właściwy,

wybudowany blisko torów kolejowych, był oddalony od reszty zabudowań. Brudzio skulił się w sobie. Znowu ubrał się zbyt lekko. Jakoś nie umiał się przyzwyczaić do polskiego klimatu, chociaż mieszkał tu prawie całe życie, jedynie z kilkuletnią przerwą. Właśnie ta przerwa zaważyła na wszystkim. Marzył, bo chodził ubrany jak fircyk, zbyt lekko, lekceważąc uroki związane ze zmiennością polskiego klimatu należącego do raczej umiarkowanych. Na razie na temperatury powyżej dwudziestu stopni nie było szans. Powinien poważnie wziąć pod uwagę powtórna wieloletnią emigrację, bo inaczej zamarznie kiedyś na śmierć. Teraz jednak powinien się skoncentrować, gdyż miał zadanie do wykonania, takie, od którego zależały dalsze decyzje. Musiał sprawdzić, czy fanty zgromadzone w domu braci Gibkich nie uległy zniszczeniu. Z przechowywanymi w stodole już zdążyli się pożegnać. Wszystko spłonęło, zanim przyjechała straż pożarna. Tyle nieodżałowanego dobra... I tak powinni pomyśleć o zmianie miejsca. Najbliższy sąsiad braci robił się podobno coraz bardziej upierdliwy. Ale to już nie jego problem. Byle przeczekać te zmiany.

Historie o upierdliwym sąsiedzie Brudzio znał z opowieści współników działających na rodzimym terenie. To już gruba przesada, by się kamuflować, aby dostać się w obręb gospodarstwa. I jeszcze ten pożar! Tego im tylko brakowało.

Już niezłym szokiem była wiadomość o śmierci dziadka Trackiego, jakże przydatnego w wielu okolicznościach. To właśnie on miał stały dostęp do domu braci, którzy dwa lata temu wyprowadzili się z Miasteczka. Szef podobno odpalał im kasę i wszyscy byli zadowoleni. Do niedawna.

Brudzio zastanawiał się, w jaki sposób przeniknąć na teren gospodarstwa, żeby nie wpaść w oko sąsiadowi. Podobno był gorszy niż ta gangrena z różowego domu. Wspólnicy mówili, że jest zaopatrzony w lornetkę z noktowizorem i dubeltówkę. Nie wiadomo, czy na śrut, czy na prawdziwe naboje. Skaranie



boskie! Brudzio przywarł do rozlatujących się sztachet pozorujących ogrodzenie. Wydawało mu się, że widzi jakiś błysk w oddali, więc nie zastanawiając się, padł na kępę badyli zarastających resztki dróżki przy płocie. Miał wrażenie, że leży całą wieczność, nim odważył się rozejrzeć. Wokół gospodarstwa panowała cisza przerywana posuwistym szuraniem, jakby ktoś szedł zwirowaną drogą. Problem w tym, że Brudzio nie miał pojęcia, jak wygląda dalsza część drogi. Nie chciał panikować. Z wolna zaczął się podnosić, ale jakaś przeszkoda przyblokowała go od pasa w dół. Z przerażeniem poczuł, że coś wpija mu się między żebra i dyszy. Przygnieciony usiłował odwrócić głowę i zlokalizować zagrożenie. Półleżąc, zobaczył po lewej stronie czarne, utyłane w błocie gumiaki, rozmiar minimum czterdzieści sześć. Brudzio delikatnie przekręcił głowę i łypnął do góry. To, co ujrzał, przeraziło go! Z gumiaków wystawały dwie potężne nogi odziane w spodnie o typowo wojskowym, kamuflującym wzorze. Powinien odetchnąć z ulgą, gdyż lepiej spotkać w biały dzień człowieka niż na przykład dzika. Jednak ów widok go nie uspokoił. Serce Brudzia ścisnęło złe przeczucie i zadrżał. Ten wielki potwór to na pewno budzący grozę sąsiad, o którym opowiadał dziadek Tracki.

Zresztą nie musiał długo czekać na wyjaśnienia.

- Leż, pókim dobry! - warknął potwór, a Brudzio postanowił, że jeżeli wyjdzie z tego cało, to rzuci wszystko w pigułę i wyjedzie z kraju. Już! Natychmiast! Przemknęło mu przez myśl, że powinien negocjować, choć to diabelnie trudne, gdy się ma dubeltówkę wbitą w plecy.

- Przepraszam bardzo, ale o co panu chodzi? Niech się pan nie denerwuje.

- Na przespiewki przyszedłeś?

- Ależ skąd taki pomysł? Jakie przespiewki? Pan chyba żartuje? - Starał się, by słowa zabrzmiały beztrąsko. - Na spacer poszedłem. Te zgliszcza mnie zainteresowały, to i

przystanąłem. Coś się panu pomyliło. Czy ja wyglądam na szpiega? – Brudzio heroicznie usiłował powstać z badyli. Z ulgą stwierdził, że facet już nie wbija w niego dubeltówki. Teraz wisiła mu luźno na ramieniu. Tak był zdenerwowany, że nawet nie zauważył, kiedy minęło bezpośrednie zagrożenie.

Pozorując spokój, stał przed facetem i strzepywał resztki trawy oraz połamane badyle z kolan i spodów rękawów. Znowu będzie musiał wyprać spodnie. Też mu się fucha nadarzyła. Na razie należało pozbyć się natręta. Wytrenowany mózg Brudzia pracował na zwiększonych obrotach.

– Tutaj podobno jest dom do sprzedania. Pan wie coś o tym?  
– zapytał z głupia frant.

– Do sprzedania? – Facet wyraźnie się ożywił. – Z tego, co wiem, jest tu kilka domów do sprzedania. A o który konkretnie chodzi?

– Otóż właśnie nie jestem pewien – zacukał się Brudzio na chwilę. – Myślałem, że może ten. – Machnął prawą ręką, wskazując na dom braci Gibkich.

– Nie wie i się pęta – burknął zniechęcony mężczyzna.

Dopiero teraz Brudzio mógł mu się dokładniej przyjrzeć. Musiał wykuć na pamięć rysy namolnego sąsiada, by w razie czego umknąć przed kolejnym spotkaniem z nim. Wrażenie, że ma do czynienia z wielkoludem, ustępowało. Mężczyzna miał około siedemdziesiątki, był wysoki i trzymał się prosto jak były wojskowy. Spodnie moro uzupełniała kurtka o takim samym wzorze. Wysoki, ponad metr dziewięćdziesiąt, ogorzały od słońca. Na głowie miał czarną czapkę z włóczki, która Brudziowi od razu skojarzyła się z czapkami maskującymi komandosów albo złoczyńców napadających na bank. Aż miał ochotę sprawdzić, czy w widocznym podwinięciu kryją się otwory na oczy, nos i usta. Brudzio miał podobną czapkę, ale wykonaną własnoręcznie. Mężczyzna gapił się na niego badawczo. Widać ogłędziny potwierdziły, że ze strony tak

mikrego faceta jak ten oto intruz nie ma się czego obawiać, bo komandos odstał na dwa kroki i machając ręką, puścił go wolno.

Brudzio, spocony jak szczur, z bijącym sercem oddalał się od domu braci Gibkich w tempie zbliżonym do kłusa. Czuł wbite w plecy spojrzenie lodowato szarych oczu komandosa i nie pragnął niczego innego, jak tylko szybko mu z tych oczu zejść. Za zakrętem odwrócił się powoli, chcąc sprawdzić, czy mężczyzna za nim nie idzie. Koniec ulicy świecił pustkami. Brudzio wyhamował i pozorując absolutny spokój, podszedł do własnego samochodu. Pyknął pilotem. Immobiliser zadziałał. Mógł wsiadać i wreszcie poczuć się bezpiecznie. Przy bramie tej nieodpowiedzialnej kobiety toczyła się głośna dyskusja. Brudzio dyskretnie symulował kłopoty z otwarciem auta, nie chcąc uронić ani słowa. Był człowiekiem zorientowanym na węszenie i podsłuchiwanie.

Wysłałam z domu, zastanawiając się, w jaki sposób mogę się skutecznie pozbyć Serwerowni, żeby jej nie obrazić. Ciężki orzech do zgryzienia. Co jej mogę powiedzieć? Że Cyganka karty rozkłada? Jeszcze mnie opieprzy, że obcą osobę w domu zostawiłam. A może powiedzieć, że znajoma przyszła. Kiedyś mi często wróżyła i tak po znajomości...

A co zrobić, jeśli moja sąsiadka się uprze i też będzie chciała, żeby jej powróżyć? Już byłam blisko bramki, a jeszcze nie miałam pojęcia, co i jak rozegrać. A może powiedzieć jej prawdę? Prawda jednak brzmiała tak dziwnie, że Marylka gotowa pomyśleć, iż zmyślam albo co gorsza, że mi się coś z głową porobiło od tego pisania i mordowania.

Tak źle i tak niedobrze, kurka wodna! Z tego zamyślenia potknęłam się o wystającą płytkę chodnikową i omal nie grzmotnęłam o nawierzchnię. Zdolna jestem, nie ma co.

Serwerownia stała przy bramce. Widziałam, że się niecierpliwi. Gdy już dowlokłam się na miejsce, zamiast serdecznego powitania, usłyszałam zgryźliwe:

- Mogłabyś patrzeć pod nogi! Jak ci się coś stanie, to kto mi pomoże znaleźć mordercę?!

Zatkało mnie.

Do tej pory byłam święcie przekonana, że to Marylka mnie pomaga, a nie ja Marylce. Widać się myliłam.

- Nie martw się, ja mam szczęście. Nawet jeśli się potknę, to nogi nie złamię. Proszę, wejdz do środka. - Podjęłam decyzję, widząc obcego faceta pałającego się przy samochodzie. - Kto to? - zapytałam ściszym głosem i nieznacznie kiwnęłam głową w kierunku delikwenta.

- Obcy, ale nie martw się, zapisałam numery.

Przyjrzałam mu się jeszcze raz, zamykając bramkę tak długo, że zdążyłabym klucze dorobić. Znałam tego faceta, to pewne. Przypomniiał mi się kolorowy ptak z przystanku autobusowego. Teraz nie był już tak kolorowy. Wyglądał na przygaszonego, chociaż zielony szaliczek nadal opłatywał jego szyję. Facecik przyciskał do piersi kłapy śliwkowego kusego płaszczyka i na moje oko trząsał się z zimna.

Co on tutaj robił? Dobrze, że Marylka spisała numery samochodu. Czego jak czego, ale operatywności nie mogłam jej odmówić.

- Chodźże już i nie gap się tak. - Marylka pociągnęła mnie za rękaw swetra. - Kogo ty przyjmujesz? Wróżenia ci się zachciało? Od kiedy? - zasypywała mnie pytaniami.

Odeszliśmy kawałek od bramki. Facet w końcu wsiadł do nissana. Jakiś mało gramotny był. Zdziwiłam się, że jeszcze jakiś czas temu wpadł mi w oko. Pomyślałam, że raz kozie śmierć, i postanowiłam wtajemniczyć Marylkę w nasze problemy. Co trzy głowy, to nie jedna. Ona mogła mieć świeższe spojrzenie na sytuację. Poza tym takich ludzi lepiej mieć w

swoich szeregach niż kombinować, jak się przed nimi tajniaczyć. Musiałyśmy omówić znalezisko z domu dziadka Trackiego. Nadal nie mogłam się nadziwić, że policja niczego nie znalazła. Jednak oni szukali tego, kto zabił dziadka i może coś zrabował. Nie przyszło im do głowy sprawdzać, ile dobra zadołował na strychu. Wątpię, czy na ten strych weszli. Jeżeli ktoś nie wiedział jak, to mógł nie znaleźć wejścia.

Na razie sprawa gacha naszej kucharki szkolnej miała priorytet. Należało sprawdzić, czy to na pewno on. Ja bym go po tylu latach na pewno nie poznała, zwłaszcza że nazwisko nauczyciela fizyki, które zapamiętałam, brzmiało nieco inaczej. Zmienił czy po prostu mój kolega miał omamy i obawiał się nie tego człowieka, co trzeba? Moim zdaniem nowy mieszkaniec naszej ulicy z morderstwem pani Jadzi nie miał nic wspólnego. Musieliśmy to wyjaśnić.

Problem leżał w tym, że nie wiedziałam, jakie informacje zataił przede mną Gieniu. To należało sprawdzić.

Zbliżając się do salonu, doszłam do wniosku, że kawa z Marylką była ze wszech miar pożądana.

Już z daleka widziałam, że Gieniu miał wątpliwości. Jeszcze nie powiedziałam zbyt dużo, a już widziałam, że cała sytuacja niezbyt mu pasuje. Wprawdzie Marylce dobrze patrzyło z oczu, ale on przez całe życie kierował się zasadą ograniczonego zaufania. Innymi słowy, był mocno nieufny i ostrożny w zawieraniu nowych znajomości. Nie mógł się nadziwić, dlaczego nie spławiłam obcej kobiety. Do czego to już doszło, że człowiek we własnym domu nie może robić tego, na co ma ochotę. A gdyby tak był dochodzącym gachem? Ciekawe, czy też bym tę jakąś sąsiadkę wpuściła? I jeszcze przedstawiała: Eugeniusz Słodki, moja szkolna miłość. Niech to gęś kopnie! Wyrzucał mi wszystko półgębkiem, kiedy poszliśmy do kuchni zaparzyć świeżej kawy.

Jakoś sobie nie przypominał, że bym się kiedykolwiek w nim podkochiwała. Już raczej on we mnie. Ale to było dawno i nieprawda, a teraz – w jego przekonaniu – w obliczu zagrożenia ja informuję dodatkową osobę o sprawie. Też coś...

Gieniu zasiadł przy stole z ponurą miną i nie odzywał się zbyt wiele. Słuchał, jak pokrótce relacjonuję zdarzenia sprzed lat: nasze spotkanie i popalanie zefirów, zabójstwo szkolnej kucharki i aktualne podejrzenie Gienia, że morderca nadal chodzi na wolności i do tego jest naszym nowym sąsiadem. Wszystko to brzmiało niedorzecznie. Tak niedorzecznie, że aż prawdziwie.

Najlepszy kolega z czasów szkolnych nie podzielał mojej otwartości wobec Marylki. Widziałam, jak marszczył czoło z dezaprobatą, przymykał powieki i wyczyniał inne cuda. W końcu oświadczył, że było miło, ale się skończyło i on ma jeszcze furę rzeczy do załatwienia. Odział się z powrotem w kapę i powłóczęstą spódnicę i wyszedł, pozostawiając mi wolną rękę. Zamykając za nim bramkę, oddychałam z ulgą. To był ciężki dzień. Czułam się, jakbym przerzuciła trzy tony węgla i jeszcze ktoś wymagał ode mnie konstruktywnego myślenia. W moim wypadku nie do zrobienia. Pan Kot wrócił z ogrodu – nawet nie zauważyłam, kiedy wyszedł – i po zjedzeniu całej puszki pasztetu z kurczaka pracowicie wylizywał swoje futerko. Ślinił łapki i czyścił sobie pyszczek oraz uszy, pozornie nie zwracając uwagi na to, co się wokół dzieje. A działa się dużo. Psy czekały, ludzie wracali z pracy, a niektórzy wyjeżdżali do pracy. Stałam przy oknie, obserwując zachowanie mojego kota, i jednocześnie patrzyłam na ulicę. Ruch jak w centrum Rzymu. Zastanawiałam się, kogo znam, a kto umknął mojej rzeczywiście ostatnimi czasy rozproszonej uwadze.

Facecik w śliwkowym płaszczyku już dawno odjechał. Postanowiłam, że spróbuję sprawdzić, do kogo należy

samochód. Po nitce do kłębka, jak to mówią. Nasza ulica jest mała i zgodnie z nazwą, brzegowa. Następnej bocznej ulicy już nie ma. Postanowiłam rozrysować sobie mapę okolicy, przyporządkować sąsiadów i zastanowić się, co ja o nich wiem. Gieniu był pewny swego, ale ja miałam potężne wątpliwości. Nigdy nie udałoby mi się rozpoznać mordercy pani Jadzi z tego prostego względu, że nigdy go tak naprawdę z przodu nie widziałam, a to, co widziałam od tyłu - i to bez okularów - nie liczyło się. Co innego, gdybym zobaczyła go w takich samych okolicznościach i to z bliska, wtedy być może coś by mi zaskoczyło w pamięci. Od trzydziestu pięciu lat polegałam na twierdzeniu Gienia, że zabił ten, a nie inny człowiek. Taka półślepa nie byłam wiarygodnym świadkiem. Eugeniusz Słodki wiedział i widział swoje. Ja nie.

Agnieszka zastanawiała się, co ma zrobić. Powinna zadzwonić do Lenki i skonsultować sprawę, ale ostatnio miała wrażenie, że przyjaciółka jej unika. Podobno była zajęta pisaniem książki. Ale ileż można pisać książkę?! Przecież to chyba szybko idzie. Jest pomysł, więc raz dwa i po krzyku, a ona już cztery miesiące pisze i jeszcze ostatnio narzekała, że coś jej z nieboszczykiem nie wychodzi. Przyszły Denat bardzo umiejętnie wymykał się przeznaczeniu przewidzianemu przez Lenkę i nadal żył, a podobno dobijała już do połowy książki. To nieprzyzwoite, że było nie było, autor nie może postawić na swoim i po prostu zabić. Ciągłe jakieś przeszkody się piętrzą. I żeby to na miejscu, gdzieś tu w okolicy, ale cała ta akcja rozgrywała się w dalekim świecie, w Hiszpanii. Agnieszka nie zamierzała tak tego zostawić. Postanowiła pomóc przyjaciółce w pozbyciu się problemu i przywrócić ją normalnemu funkcjonowaniu. Potrzebowała pogadać z kimś, kto zobaczy sprawy z dystansu, udzieli dobrej rady. Po raz kolejny w życiu doszła do wniosku, że nie ma zaufania do nikogo innego.

Trudno, narazi się przyjaciółce, ale koniecznie musi z nią porozmawiać. Ten jakiś tam Przyszły Denat musi zaczekać. Morderca sobie poradzi.

Agnieszka pchała mi przed oczy prezent otrzymany od męża, wygrażając nieobecnemu niewybrednymi słowami. Kompletnie nie rozumiałam, o co mojej przyjaciółce chodzi. Zadzwoiła i nakazała natychmiastowe przyjście, odłożenie pisania, bo rozum musi mi odpocząć, a ona ma mi coś ważnego do powiedzenia. Przez telefon nie mogła. Musiałam zobaczyć „to” sama.

- Czy ty rozumiesz, że się martwię?

- Nie przesadzaj, wziął chłop, zrobił ci prezent, a ty robisz z tego aferę. Każda inna łącznie ze mną cieszyłaby się, że po tylu latach małżeństwa mąż jeszcze o mnie myśli. - Z przyjemnością gładziłam jedwabistą skórę torebki opatrzonej logo światowego projektanta. - Piękna jest. Też bym sobie taką kupiła... Ale chyba bardzo droga jest, co? - Nie mogłam oderwać wzroku od miodowej skóry, delikatnych zatrząsków, jedwabnej podszewki. Cudo!

Agnieszka przyglądała mi się uważnie.

- Właśnie w tym rzecz.

- Jak to? W tym, że dostałaś na urodziny piękny, drogi prezent? Zlituj się i nie wynajduj sobie problemów. Inni naprawdę mają większe i dużo bardziej realne - urwałam, bo we wzroku przyjaciółki zobaczyłam politowanie. - W czym rzecz? Bądź tak miła i oświeć mnie.

Agnieszka odebrała mi torebkę i zawinęła ją w kawałek prześcieradła. Widząc moje zdziwienie, wyjaśniła:

- Boję się, żeby jej nie uszkodzić. Gdy tylko wróci z pracy, to każę mu ją zwrócić.

- Czyś ty oszalała?



- A wiesz, ile to kosztuje?

Pokręciłam głową przecząco. Skąd u licha mam wiedzieć, ile kosztuje takie чудо. Nigdy mnie aż tak nie kręciły drogie ciuchy i gadzety. Nie ten charakter.

Moja przyjaciółka wstała i podeszła do sterty zalegających na lodówce gazet. Wyjęła z nich grubą, drukowaną na lśniącym papierze. Otworzyła, jak zauważyłam, zaznaczoną żółtą karteczką stronicę i podetknęła mi pod nos.

- Przypatrz się.

Na zdjęciu widniała identyczna torebka, a cena powalała z nóg. Rzeczywiście, skąd Wojtek wziął taką kasę?

- Dwanaście koła?

- Przecież widzisz. Nie wymyśliłam sobie.

Zbaraniałym wzrokiem wpatrywałam się w wystający spod prześcieradła skrawek miodowej skóry. Coś mi świtało.

- A sprawdziłaś certyfikat?

- Jaki certyfikat?

- Normalny. Te drogie torebki je mają. Są numerowane i mają takie jakby dowody osobiste, żeby uniknąć podróbek, a po kradzieży dotrzeć do prawowitego właściciela.

- Myślisz?

- Sprawdź, co ci zależy.

Agnieszka sięgnęła po torebkę. Wspólnie rozpoczęłyśmy poszukiwanie czegokolwiek, co świadczyłoby o pochodzeniu torebki. Nie znalazłyśmy niczego, ale wnikliwie oględziny wykryły minimalnie nierówne szwy wewnątrz. Torebka miała swoje tajemnice.

- Ja go zaraz wymaguję. Dobrze, że przyszedł. Tak będzie lepiej. Albo ktoś go oszukał i Wojtek przepłacił kupę kasy, albo świadomie kupił podróbkę. Jedno z dwóch - piekliła się.

Nawet nam do głów nie przyszło, że mogło być jeszcze trzecie wytłumaczenie.

- Czego wy ode mnie chcecie, kobiety?! - Wojtek obruszył się na wieść o zarzutach żony. - Przecież to replika.

- Że jak? - wykrzyknęłyśmy oburzone.

- No replika. Nie oryginał i nie podróbka, tylko replika - tłumaczył łagodnie. - Jeżeli już musicie wiedzieć, to dałem za to pięć stów. Niewiele jak na replikę.

- Nie, to się w głowie nie mieści! - wykrzyknęła moja przyjaciółka i zaczęła się szamotać w poszukiwaniu komputera. - Ja ci zaraz powiem, co to znaczy replika.

- Ta torebka nawet nie leżała obok oryginału. Ktoś cię nabił w butelkę!

- O, już! Mam! - Agnieszka wodziła palcem po ekranie laptopa. Czytała: - Replika to powtórne wykonanie dzieła sztuki czy samochodu z możliwie wiernym odtworzeniem oryginału. Inaczej duplikat, często wykonywany przez twórcę oryginału. - Oderwała wzrok od ekranu i dodała: - Nie ma tu mowy o produkcji na masową skalę. Nie wmówisz mi, że ktoś za zgodą światowych projektantów produkuje tysiące egzemplarzy. To rozbój w biały dzień!

- Wiedziałem, że tak będzie. Mogłem niczego ci nie kupować. Miałbym święty spokój. Nie chcesz, to nie, bez łaski. Janek weźmie dla swojej żony bez gadania.

- Moment, moment, od kogo to masz? - zapytałam podejrzliwie. Wojtek się zmieszał.

- A taki jeden się u nas kręcił i sprzedawał.

- To znaczy kto?

- Nie wiem. No co się tak patrzycie? Przyszedł, sprzedał, wyszedł i tyle go widzieli. Replika to replika. Głodny jestem, a wam to nikt nie dogodzi!

Zostawiłam ich zajętych roztrząsaniem własnych spraw i nieco rozkojarzona wróciłam do domu. Podróbka pozostanie podróbką niezależnie od tego, jaką będzie miała piękną nazwę.

Współczułam Agnieszce dylematu: zostawić torebkę i nosić ją czy odsprzedać koleździe Wojtkowi. I tak źle, i tak niedobrze. Czuję ulgę, że to nie ja muszę podjąć decyzję.

Pierwszy dom na naszej ulicy w moim rzędzie to dom dziadka Trackiego, teraz pusty i popadający w ruinę. Dziadek Tracki nie miał dzieci, a o żadnych bliższych krewnych też nigdy nie było mowy. Ciekawe, kto po nim dziedziczy. Prawdę mówiąc, nigdy mnie nie interesował stan rodzinny sąsiadów. Zaraz naprzeciw dziadka mieszka Marylka Morska z mężem, dorosłe dzieci czasami do nich przyjeżdżają, ale coraz rzadziej. Obok dziadka Trackiego mieszkam ja z mamusią i Panem Kotem. Mamusia chwilowo jest nieobecna.

Obok nas wybudował swój dom Józef Kowalski, zwany przez wszystkich Józeczkiem. Mieszka w nim z żoną i teściową. Teraz mamy trochę spokoju, bo teściowa jest w sanatorium, ale gdy wróci, to się będzie działo! Józeczek pracuje jako instalator wodno-kanalizacyjny i jest bardzo uczynnym sąsiadem. Jego żona prowadzi sklep z ciuchami dla dzieci. Właściciele sklepu mieszkają w Niemczech i tylko od czasu do czasu zaglądają do Miasteczka, żeby się przekonać, czy wszystko jest w porządku.

Obok Marylki w parterowym domku mieszkają państwo Mazurkowie, niczym niewyróżniający się ludzie w średnim wieku. Oboje pracują poza Miasteczkiem, więc wracają późno. W soboty lubią przebywać w ogrodzie, dopieszczając okalające dom trawniki. Posesji Mazurków strzeże szczekliwy piesek, na którego już nikt nie zwraca uwagi.

Obok nich mieszkają ludzie spoza Miasteczka. Wprowadzili się jakiś czas temu. Przyjechali nie wiadomo skąd, ale wiadomo, że mają kasę. Kupili dom babci Zarychtowej, odnowili go, ocieplili, na dach strzelili dachówkę ceramiczną, a ściany wymalowali na wściekły pomarańczowy. Można sobie wyobrazić, jak wygląda wściekły pomarańczowy przy

delikatnym różu domu państwa Morskich. Wprost bije po oczach.

Zaraz za nimi mieszka młode małżeństwo, żebym ja to chociaż pamiętała, jak się nazywają ci nowi. Muszę zapytać Serwerownię. Jedna działka jest pusta, a obok mieszka trzypokoleniowa rodzina Kowalików. Ci to mają zdrowie do awantur. Podobno te wieczorne odgłosy, co idą po kanałach, to od nich. Współczuję babci Kowalikowej. Zawsze mi się wydawało, że spokojna z niej staruszka, taka z gatunku kościółkowych.

Za Kowalikami mieszkają Wolscy. Podobno córka Wolskich, Irenka, niedługo wychodzi za mąż. Mają rodzinę w Stanach Zjednoczonych czy może w Kanadzie i powodzi im się doskonale. Między Wolskimi a następnym domem po ich stronie jest kolejna pusta działka. Tylko patrzeć, jak ktoś kupi. Marylka mówiła, że spadkobiercy Lusickich chcą na gwałt sprzedać.

Za pustą działką głęboko w polu stoi dom tego nowego. Cudaczna budowla, jak z bajek o krasnoludkach. Wieżyczka, mnóstwo okien i ogrodzenie na dwa i pół metra wysokości. Forteca. I to tam podobno... Mówi się trudno, będziemy musieli sprawdzić faceta. Obok jego posiadłości, na pewno ponad trzydzieści arów, rozciąga się szmat pola. Emerytowany gospodarz kosi ugór co jakiś czas, twierdząc, że jakakolwiek normalna uprawa już się nie opłaca. Marylka uważa, że to lenistwo, ja, że starość. Nikt nie powiedział, że przez całe życie człowiek ma mieć taki sam zapal do roboty. A dzieci, jak to zwykle bywa, wykształciły się i poszły w swoją stronę. Kiedy tylko tatko przeniesie się na lepszy ze światów, podzieli działki, przekształca je na budowlane, spieniężą i wydadzą na nowy samochód, który w ciągu trzech lat straci połowę wartości. Ot, taka mentalność.

Po mojej stronie ulicy ogrody były szersze, a sąsiadów niewiele. Za domem Józeczka stał pusty trzypiętrowy,

wybudowany w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Stary Janowski uważał, że jak już buduje, to tak, żeby wszystkie dzieci miały dach nad głową. Jak na ironię syn Janowskich wyjechał na saksy do Francji i już tam został, a córka kilka lat temu zginęła w wypadku samochodowym. Potem zdarzenia nabrały rozpędu i młody Janowski przyjechał tylko po to, żeby zrobić potrójny pogrzeb. Podobno serce ojca nie wytrzymało, a żona, jak się to ładnie mówi, poszła za nim. Taka była wersja oficjalna. Nieoficjalnie Janowski się powiesił, żona zaś na jego widok dostała wylewu i zanim przyszła jakakolwiek pomoc, zmarła. Fakt, że na pomoc musiała długo czekać, bo dopiero syn po przyjeździe odkrył, co się stało. Od tamtego czasu dom stoi pusty, a młody Janowski, który już nie jest taki młody, nie może go sprzedać. Ludzie się boją, że dom jest przeklęty.

Zaraz obok swój dom stawia ktoś nowy. „Stawia dom” jest określeniem na wyrost. Trzy lata temu zostały wylane fundamenty i na tym prace stanęły. Podobno właściciel zbankrutował czy coś w tym rodzaju.

Obok mieszka kuzyn Serwerowni, ten, który miał nadzieję na ukrycie zdrady. Pilnuje się teraz, żeby nie podpaść. Jeżeli coś kombinuje, to z daleka od Miasteczka i zasięgu wzroku kuzynki. Za nim dwa kawałki pola stoją puste. Kiedyś były dzierzawione przez rodziców Marylki.

Na samym końcu, blisko przejazdu kolejowego, stoi gospodarstwo braci Gibkich. Dom jest pusty. Coś dużo pustostanów na naszej ulicy, skonstatowałam. Wymieramy?

Wracając do nowego... Marylka знаła jego nazwisko. Kiedyś wyciągnęła od listonosza, jak to miała w zwyczaju. Jerzy Wiecha-Wiechejski, emeryt. Cóż to za moda na podwójne nazwisko u mężczyzn? Ciekawe.

Tamten morderca kucharki musiał mieć wtedy ponad trzydzieści lat, a przecież od tamtego czasu upłynęło sporo czasu. To by się zgadzało.

Zasłoniłam firankę. Tknięta przecuciem, odpaliłam internet. Zawsze mi się wydawało, że morderstwo przedawnia się po dwudziestu pięciu latach. To jak z zasiedzeniem, też podobno następuje po dwudziestu pięciu latach. Gdyby tak faktycznie było, to jakim zagrożeniem moglibyśmy być dla tego faceta? Muszę to wszystko sprawdzić. Wrzuciłam do wyszukiwarki kilka haseł i zgłupiałam. Informacje wskazywały, że przedawnienie w wypadku zbrodni zabójstwa następuje po trzydziestu latach. Znalazłam jeszcze coś o dodanych pięciu. Czyli byłoby trzydzieści pięć lat. To jest dokładnie tyle, ile upłynęło od tamtego dnia. Zaraz, zaraz... złapałam się za głowę. Uruchomiłam wyszukiwarke jeszcze raz i doczytałam, że te pięć lat można dodać, jeżeli sprawa została wznowiona w okresie tych trzydziestu przepisowych lat. Wszystko wskazywało, że morderca może spać spokojnie, bo nie jesteśmy już dla niego żadnym zagrożeniem. Przynajmniej tak rozumiałam te wszystkie paragrafy.

Czytałam i wszystko, co było do tej pory proste, stawało się coraz bardziej skomplikowane.

A może jednak Eugeniusz Słodki cierpiał na manię prześladowczą?

To by do niego nawet pasowało. Musiałam pomyśleć, ale najpierw postanowiłam coś zjeść. Nie umiem myśleć, gdy jestem głodna. Nie chciało mi się gotować, więc wyjęłam z szafki ostatnią puszkę fasolki w sosie pomidorowym. Otworzyłam ją nożem, a zawartość przełożyłam do rondelka. Dokroiłam kiełbasy i wszystko wymieszałam. Postawiłam mój obiad na najmniejszym palniku, żeby nie przypalić. Stałam przy kuchence i mieszałam fasolkę, co chwilę próbując, czy już doszła.

Posmarowałam masłem dwie ocalone przed Gieniem kromki. Zrobiłam sobie duży kubek gorącej herbaty. Tak zaopatrzona

usiadłam do komputera, by się dalej doksztalać. Chciałam też jeszcze napisać ze dwie, może trzy strony. Zawsze to do przodu.

Parapet w kuchni to miejsce strategiczne dla Pana Kota, zwłaszcza w porze robienia kolacji. Prawdę mówiąc, coraz częściej tęsknił za starszą panią, która w odróżnieniu od młodszej umiała i lubiła gotować, ale postanowił, że jeszcze trochę wytrzyma.

Budził się powoli, otwierając ciężkie od snu powieki. Młodsza pani kroїła kielbasę i wrzucała ją całymi garściami do garnka. Jeszcze czego!

- Ej, ej, tu jestem - mruknął podekscytowany. Szynkowa z fasolką to było coś nowego, a on nigdy nie przepuścił okazji, żeby się załapać na upojnie pachnące plastry. - No, nie bądź liczykrupa, tylko daj - zażądał, przeciągnął się i odważnie wszedł na blat, delikatnie obchodząc zbyt szeroki jego zdaniem zlew. Od garnka buchało mieszaniną zapachów, spośród których wyłowił aromat kielbasy.

Prowokująco schylił pyszczek nad garnkiem. Jeżeli teraz nie da, to popamięta i będzie zbierać fasolę z podłogi, zdecydował w myślach.

- Pospiesz się, kobieto, bo głodny jestem! No dobrze, dobrze, o co tyle rabanu, że niby wasy wpadły do gara?

Pan Kot z gracją cofnął się i trącił ogonem papierowy ręcznik w rolce, wymacał łapkami nawierzchnię i zachowując absolutny spokój, zeskoczył na podłogę, gdzie już na niego czekał spodeczek pełen ulubionej wędliny umazianej w fasolowym sosie.

*Jerzy Rosół instynktownie czuł, że coś jest nie w porządku. Zamierzał jak najszybciej nawiać z tego pechowego Zaułka, nie zważając na umówione*

*spotkanie z potencjalnym informatorem. Jakże słusznie przewidywał, że ta gra nie jest warta świeczki!*

*Po szamotaninie z młodzikami posiedział chwilę na trawniku położonym blisko drzwi wejściowych prowadzących do zabytkowej kamienicy. Musiał odpocząć. Wciąż miał wrażenie, że ktoś jeszcze jest obecny na tej oddzielonej od ulicy prywatnej strefie, ale łudził się, że może mu się tylko wydawało. Może to po prostu szum ulicy, rozmowy za murem, dobiegające z oddali klaksony samochodów. Zwyczaj, miejski ruch. Podniósł się z wysiłkiem i podszedł do klombu, to tam upadł jego plecak. Pochylił się i namacał ręką znajomy kształt. Prawie przykucnął. Drugą ręką się podparł, by nie stracić równowagi. W tym momencie poczuł, że z całą pewnością nie jest sam. Usłyszał ciężki oddech mężczyzny i poczuł znajomy zapach Hugo Bossa. Jakiś elegancik się przyplątał, pomyślał z kpinką. Nagle poczuł, jak coś napiera na jego plecy, ale zanim zdążył zareagować, tuż za nim rozległ się przerażający huk, a w sekundę wcześniej o chodnik uderzył szklany przedmiot.*

*Światło lampy zalśniło w drobinach kryształu. Intruz oderwał się od dziennikarza, który z nieznanym sobie przyczyn nadal trwał we w półzgiętej pozycji. W chwilę potem zrozumiał, że znowu odezwała się rwa kulszowa zwana inaczej postrzałem, co doskonale korelowało z sytuacją. Za jego plecami, na chodniku przed kamienicą, leżał martwy człowiek. W kamienicy nadal było ciemno. Tylko na piętrze ktoś miał uchylone okno. Dziennikarz upewnił się, że leżący na trawie mężczyzna jest faktycznie martwy. Rana na plecach rozlewała się krwistą czerwienią, ciężką do zauważenia na tkaninie czarnego golfu. Dziennikarz nie mógł pojąć, w jaki*



sposób ktoś zastrzelił tego człowieka, ale czuł wdzięczność do nieznanego wybawcy. Obok ciała leżał krótki sztylet, kordzik, ostry jak brzytwa. Dziennikarz pamiętał, by niczego nie brać do rąk i nigdzie nie zostawiać śladów swoich linii papilarnych. Jedno go zastanowiło. Otóż mężczyzna miał na twarzy maskę z czarnej pończochy. Rosół czuł, że nie ma czasu. Musiał jak najszybciej się dowiedzieć, kim był zabity człowiek. Pozostając w pozycji plasującej się między głębokim ukłonem a przykucem, przyklęknął przy zwłokach i wyętzając wszystkie siły, odwrócił je na bok, trzymając mocno pod łopatkami. Musiał sprawdzić, kto kryje się pod czarną lycrą. Manewrując tak, by jej nie dotknąć, a tylko podważyć bez udziału wewnętrznej części dłoni i palców, Rosół wierzchem dłoni ściągnął tę niby-maskę z twarzy zabitego.

- Ożeż ty! Kurwa jego mać! Biednemu to zawsze wiatr w oczy! - klął szpetnie.

Na trawie leżał właściciel korporacji Anex, facet, którego rozpracowywał w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Teraz to dopiero zacznie się jazda bez trzymanki! Wrobią go w morderstwo jak nic.

Spanikowany szybko naciągnął denatowi pończochę na twarz. Ponownie ułożył go na brzuchu. Zarzucił plecak na ramiona i nie oglądając się za siebie, nadal przykurczony i z lekka powłócząc nogami, oddalił się od przeklętego Zaułka. W mordę kopany! Informator jak z koziej dupy trąba.

Okoliczności wskazywały, że sam wielki prezes zamierzał go zamordować, tylko mu nie wyszło.

Nie słyszał, jak doña Izabella Maria Luiza de Garcia de domo Alvarez z trzaskiem zamyka półotwarte okno. Była mile zaskoczona, że mimo dziewięćdziesiątki na

*karku trafia do celu. I to w ciemnościach! O wynik śledztwa była spokojna. Miała tak wysoką pozycję, że nie przypuszczała, by komuś wpadło do głowy przesłuchiwanie jej. A jeżeli wpadnie, to odegra spektakl w rodzaju „księżna pani jest oburzona, że komuś przyszło do głowy posądzanie jej o morderstwo”, chwyci za słuchawkę i zadzwoni do wieloletniego przyjaciela męża, byłego już, ale nadal wpływowego ministra sprawiedliwości. Zapowiadała się świetna zabawa. Doña Izabella nudziła się śmiertelnie i aż żał było nie skorzystać z nadarzającej się okazji do rozrywki.*

Stara doña... gdzie mi to do głowy przyszło? I co ja teraz zrobię z tym nieszczęsnym Rosołem? To on jest do odstrzału. Przecież zbyt dużo wie! A może więcej mu się wydaje. Czy strzelba doñii Izabelli wypaliła we właściwym momencie? Muszę to przemyśleć.

Ta arcyarystokratyczna dama... Przypomniałam sobie pewne przedpołudnie sprzed lat. Do Torremolinos jechałyśmy z koleżanką trzy dni, z przerwą na spanie we Francji. Byłam młoda, a moja kość ogonowa nie miała za sobą tylu niespodziewanych kontaktów z ziemią, asfaltem i górą kamieni. Siedziałam przy autobusowym oknie i podziwiałam widoki. To była moja pierwsza podróż do Hiszpanii, do dalekiej Andaluzji.

Ale nie o tym miałam pisać. Też mi się na wspominki zebrało!

W niedzielę postanowiłyśmy pójść do kościoła. W okolicy był jeden, pod wezwaniem św. Michała. Przed wejściem do świątyni stał ksiądz, zbierając pieniądze do wiklinowego koszyka. Spodobało mi się to. Duchowny, jak widać, był obrotny i załatwiał kwestie finansowe wcześniej. Wysupłałyśmy z Kasią po parę peset i jak większość wchodzących wrzuciłyśmy dole do koszyka. W środku było tłoczno i duszno. Ciszę zakłócał

szelest wachlarzy używanych przez dostojne mieszkanki Andaluzji, które od czasu do czasu przekazywały je mężom, by też mogli się ochłodzić. Turyści nieco zdezorientowani przyglądali się towarzystwu, nie chcąc wyjść na wieśniaków. Ksiądz żywo gestykulował. Wydawało mi się, że odprawiał nabożeństwo po łacinie. Miłe to było dla ucha i brzmiało tajemniczo, a w czasie przekazywania sobie znaku pokoju wszyscy ze wszystkimi zaczęli się witać i składać sobie osobiste życzenia oraz pozdrowienia. Wśród tej ciżby na zabytkowym tapicerowanym fotelu siedziała niska kobieta. Z pewnością miała ponad siedemdziesiąt lat. Ubrana była elegancko, włosy ułożone na lata trzydzieste dwudziestego wieku, czyli w charakterystyczne fale. Na jej palcu pysznił się ogromny pierścień z rubinem. Byłam przekonana, że rubin jest prawdziwy. Stałam obok niej. Podczas przekazywania znaku pokoju wstała majestatycznie i zrobiła taki gest, jakby chciała mnie objąć. Skończyło się na eleganckim podaniu dłoni. Podobno była to jakaś wpływowa osoba. Zaraz potem siostra zakonna z koszykiem w ręku wyruszyła między tłum, by zebrać datki. Ksiądz stojący w drzwiach kościoła okazał się fałszywy.

Jakże człowiek musi na wszystko uważać!

Gieniu przez całe życie miał farta, ale wiadomo, że nawet największemu szczęściarzowi dobra passa może wymknąć się z rąk. Przyjazd do Miasteczka nie był chyba najlepszym pomysłem, a już spotkanie z Marlenką – kompletnym niewypałem. Gieniu nigdy nie umiał udawać i naprawdę ucieszył go jej widok. Trzymała się kobieta całkiem dobrze i gdyby nie wiedział, ile naprawdę ma lat, dałby jej minimum dziesięć mniej. On też na swoje nie wyglądał.

Od Lenki wyszedł z ulgą i pełnym żołądkiem. Chciało mu się pić i zapalić papierosa. Wprawdzie jakiś czas temu rzucił nałogi, ale musiał spokojnie pomyśleć, a najlepiej myślało mu

się przy paleniu. Zanim wyszedł, umówił się, że będą w kontakcie. Wiedział jednak, że tego kontaktu powinien unikać jak diabeł wody święconej. Lenka nie powinna tak na prawo i lewo kłapać o zdarzeniach sprzed lat. Niepotrzebnie wmieszała w nie tę w gruncie rzeczy sympatyczną, ale obcą osobę. Czy Jerzy Wiecha-Wiechejski był sprawcą morderstwa sprzed lat? Cóż, on wiedział swoje, ale coś musiał kobiecie powiedzieć, zwłaszcza że powód jego powrotu faktycznie leżał przy końcu Brzegowej. Na tyle, na ile umiał, zebrał o nim wiadomości i wszystko, czego się dowiedział, uzyskiwało potwierdzenie.

Gieniu tak się zamyślił, że nawet nie wiedział, kiedy doszedł w pobliże Pinezki. Było zimno, a on nie pomyślał, że przebranie za Cygankę uniemożliwi mu normalny powrót. Miał ochotę na piwo i na własną tożsamość. Dobrze, że chociaż zrezygnował z pełnej charakteryzacji i nie pomazał powiek żadnym z dostępnych u Lenki cieniem. Musiał znaleźć spokojny kąt, by zrzucić z siebie te śmierdzące ciuchy i wrócić do normalnej postaci. Nie rozumiał, dlaczego do woni naftaliny przeniknął ostry zapach jakby kociego moczu. Czyżby nieopatrznie gdzieś wdepnął i utyłał brzeg sutej spódnicy? Zdezorientowany przystanął na chwilę i nie zwracając uwagi na przyglądających się mu przechodniów, zdecydowanym gestem podciągnął fałdy sukna do góry. Rzeczywiście, materiał był mokry w kilku miejscach. Przyspieszył kroku, żeby jak najszybciej zrzucić z siebie cuchnące odzienie i w końcu poczuć się jak człowiek. Może piwo nie jest najlepszym napojem na zimne dni, ale postanowił nie wybrzydzać. Chciał usiąść w jakimś ciemnym, dalekim od baru kącie i spokojnie pomyśleć. Po tym, co dziś się wydarzyło, czekał go jeszcze długi i ciężki wieczór. Zawsze miał pecha do ludzi.

W domu panował trudny do zniesienia i nietypowy u mnie chłód, a to oznaczało, że coś jest nie w porządku. Wprawdzie

wieczorem nie przepaliłam w piecu, ale litości! Nie miało prawa być aż tak lodowato. Zdrętwiałą z zimna ręką pomacałam policzki i nos. Były sztywne. Cud, że nie zamarzłam. I jak ja miałam wygrzebać się spod kołdry? To było ponad moje siły! Owinięta nakryciem powoli usiadłam na łóżku, delikatnie, żeby nie zbudzić śpiącego jak kamień Pana Kota, który zamotany w mój szlafrok nawet się nie poruszył. Kręciło mi się w głowie tak, jakbym miała za sobą rozrywkowy wieczór. Pewnie znowu ciśnienie pikowało w dół.

Co tu na siebie włożyć? Bohatersko usiadłam i postawiłam zimne stopy na lodowatych papuciach, unikając kontaktu z podłogą. Wsunęłam je na bose nogi i rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś do włożenia. Spojrzenie napotkało kurtkę z polaru niedbale rzuconą na oparcie krzesła. Odetchnęłam z ulgą. Podreptałam skulona w kierunku krzesła i najszybciej jak mogłam, włożyłam na siebie polar. Drżąc, otuliłam się nim szczelnie. Na zimne nogi naciągnęłam spodnie od dresu i ruszyłam na poszukiwanie przyczyny lodowni w domu.

Po chwili wszystko było jasne!

Drzwi z przedpokoju do sieni były na oścież otwarte, a ciągnęło od okna, które na pewno samo się nie otworzyło. Nie miałam zwyczaju tak drastycznego wietrzenia na noc. Wszystko wskazywało na to, że ktoś się do mnie włamał. Stałam jak ogłupiała, zastanawiając się, co mogę zrobić. Zamknąć okno i zapomnieć o sprawie, a potem ze spokojem rozpalić w piecu? Zawiadomić policję i zanim przyjadą, rozpalić w piecu? Rozważałam sprawę na zimno. Jeżeli mam czekać na policję, to po pierwsze najpierw muszę się umyć i ubrać. Okno nadal powinno być otwarte, żeby funkcjonariusze zobaczyli stan dokładnie taki, jaki ja zastałam. Z pewnością zamarznę do ich przyjazdu. Wcale mi się nie uśmiechało takie rozwiązanie. Z kolei niezawiadomienie policji o włamaniu niesie za sobą ryzyko, że ktoś znowu to robi i jeszcze mnie skrzywdzi. Na cóż

zda się tłumaczenie, że nie jestem tak bogata, jak się niektórym wydaje, że pieniądze są na koncie, a nie w materacu, limit zaś na kartach ustawiony jest dość nisko, gdyż wysoki wydawał mi się zbędny?

Jednak zamknę to okno, postanowiłam. Nie mogłam znieść wszechogarniającego zimna. Początek października nadal emanował chłodem, choć prezydentury pogody przebąkiwali o powrocie złotej jesieni i temperaturach powyżej dwudziestu pięciu stopni. Zamknęłam okno w taki sposób, by dotknąć jak najmniejszej liczby elementów i zapamiętać, gdzie przyłożyłam dłoń. Zamknęłam także drzwi do sieni, zachodząc w głowę, dlaczego ten ktoś zachował się w tak dziwaczny sposób. Bo zrozumiałe było, że musiał jakoś wejść. Trudno przypuszczać, żeby ktoś usiłował się włamać do domu przez okno od strony ulicy, skoro istniały inne rozwiązania. Mało kto miał szansę zauważyć, co się dzieje z tyłu domu. Ale litości, dlaczego nie przymknął tego okna, wychodząc? Dlaczego nie wyszedł przez drzwi? Byłam tak roztargniona, że co najwyżej zmartwiłabym się, że zapomniałam zamknąć. Chyba że... oblewając plecy gorącym strumieniem wody z prysznica, omal nie krzyknęłam z wrażenia. Ktoś chciał mnie zastraszyć! Sprawdziłam. Nic nie było ruszone i nie zginęło. Bizuteria, i tak w większości srebrna, była na swoim miejscu. Pieniądze też. W dokumentach nawet ja się gubię, a ktoś obcy nie byłby w stanie zorientować się zupełnie. Odpada.

Nałożyłam na siebie jeszcze bluzę od dresu, na bluzę narzuciłam polar i poszłam zapalić w piecu. Nie zamierzałam zamarznąć na kość. Postanowiłam, że jak już rozpale, to poszukam wizytówki tego podkomisarza, co przekopywał grządki u dziadka Trackiego, i zgłoszę mu całe zdarzenie, tak na wpół oficjalnie. Ktoś zaczynał węszyć. Powodu węszenia na razie nie znałam, ale postanowiłam, że nie popuszczę i dorwę drania. Nikt nie będzie mnie bezkarnie straszył.

Pociągi do Miasteczka kursowały rzadko i kto mógł, przerzucał się na dojazdy busami albo samochodami. Na krakowskim dworcu wrzało jak w ulu, tumult, zgietk, ludzie biegający bez celu albo – co nierzadkie – goniący odjeżdżający autobus. Głos kobiety zapowiadającej kolejne odjazdy dochodził jak zza mgły, był stłumiony i nieco niewyraźny. Na miejscu przeznaczonym dla miasteczkowych busów stała już spora gromadka, mimo że najbliższy pojazd miał być dopiero za dwadzieścia minut. Starsza kobieta z wysiłkiem ciągnęła walizkę na kółkach, w drugiej ręce niosła przyciężką torbę podróżną, a przez wątłe ramię przewiesiła wściekle różową torebkę w rozmiarze iksiksel. Wyglądała na turystkę zdezorientowaną ruchem panującym na dworcu. Trudno się temu dziwić. Starzy bywalcy już wiedzieli, z których torów odjeżdżają ich busy czy autobusy, czy trzeba się ustawić na płycie dolnej, czy na górnej. Nowicjusze zazwyczaj wpadali w popłoch, nie mogąc doszukać się potrzebnych informacji. Nikt nie interesował się starszą panią. Nie takich przyjezdnych tu widzieli.

Kobieta z wysiłkiem dociągnęła walizkę do stanowiska odjazdu i wzdychając z ulgą, postawiła ją na chodniku. Obok umieściła torbę podróżną, a na niej ułożyła podręczną.

Rozejrzała się po hali i zawahała przez moment. Była głodna i najchętniej oddaliłaby się od stanowiska, by kupić sobie coś do zjedzenia, ale nie miała ochoty pchać się z powrotem z walizkami, zwłaszcza że kolejka do busa rosła. Zauważyła, że od strony wjazdu jedzie ku nim duży biały pojazd z napisem „Miasteczko”. Jeszcze tylko dwie godziny i już będzie na miejscu. Zawsze lubiła sprawiać niespodzianki.

Wystukałam na komórce numer z wizytówki i czekałam, aż podkomisarz odbierze. Jeszcze do niedawna, mimo że pisałam kryminały, nie miałam zbyt ożywionych kontaktów z policją. Ani

ja im nie wchodziłam w drogę, ani oni mnie. Może tylko dwa razy w jakichś błahych sprawach, ale to tyle, co nic.

Pierwszy raz zdarzył się dawno, jeszcze w czasach panięskich. Ktoś, do dzisiaj nie zidentyfikowano kto, wjechał mi w tył samochodu. Samochód stał na parkingu, śnieg sypał jak opętany, wokół było pusto. Tak, tak, na parkingu stał tylko jeden samochód, na nieszczęście mój. Ktoś wjechał mu w tyłek i nie pozostało nic innego, jak zgłosić zajście policji. Niech szukają winowajcy.

Miły młody policjant pisał protokół przez dwie godziny na ręczkowej maszynie do pisania, myśląc się raz po raz i przeinaczając kolejność oraz sens zdarzenia. Sprawców oczywiście nie odnaleziono. Szczerze wątpię, czy sprawa wyszła poza pokój, w którym spisano protokół. Umorzono i po krzyku.

Drugie spotkanie z policją było jeszcze mniej miłe, ale szwanku żadna ze stron nie poniosła. Otóż jechałam fiatem 126 p, był wieczór, światła lamp padały na ośnieżony asfalt. Ogólnie rzecz biorąc, było jasno. Za mną jechała policja. Ja jadę prosto, oni też prosto, ja skręcam w lewo, oni w lewo. Jeśli chcą, mają prawo. Trochę się zaniepokoiłam, jak zaczęli migać i wyc, ale nadal nie brałam tego typu zachowania do siebie, bo i o cóż mogłoby chodzić?

Otóż mogło!

Świateł nie włączyłam. Beztrósko jechałam na postojowych, nie widząc różnicy, ponieważ wokół było jasno jak w dzień. Skręciliśmy kulturalnie na parking. Wysiadłam, wylegitymowali mnie, zaproponowali mandat i punkty karne. Zgodziłam się na wszystko, zaznaczając, że płacę od ręki i niech szybko piszą, bo ja się spieszę. Zdziwili się bardzo i stwierdzili, że jeśli tak, to mandat ze stowy schodzi na pięć dych. I dobrze, pomyślałam. W końcu jestem klientem nieawanturującym się. Przyjęłam,



zapłaciłam, punktów nie sprawdziłam, i to był mój ostatni na wiele lat kontakt z policją.

Prywatnym kontaktem był kolega ze szkoły, którego poniosło do służb, ale to już inna sprawa.

I teraz to włamanie. Po drugiej stronie połączenia nikt nie raczył się odezwać, tak jakby czekał, kiedy się rozłączę i dam spokój, co też uczyniłam.

Nie czekałam długo na odzew.

Podkomisarz nie miał zamiaru się tłumaczyć z nieodbierania nieznanymi numerów. Zrelacjonowałam mu dość zwięźle całe zdarzenie, dodając od siebie jego domniemany przebieg. Coś tam mruczał, potakiwał, a potem w formie zaprzeczenia fukał. Ciekawy człowiek. Zgodził się ze mną, że trzymanie otwartych na oścież okien nie miało sensu i dobrze zrobiłam, że je zamknęłam.

Kamień z hurgotem stoczył się z mojego serca i spadł na posadzkę ganku, bo właśnie byłam na ganku, gdy podkomisarz oddzwonił.

- Będę w ciągu godziny - zapowiedział i rozłączył się, nie czekając na moją reakcję. A wyglądał na lepiej wychowanego.

Ogarnęłam ganek. Nigdy nie mam czasu na dokładne sprzątnięcie, poza tym po co sprzątać, skoro i tak większości tych rzeczy używam na co dzień i trudno, żebym je chowała tylko dlatego, że ktoś może przyjść. Miotła na przykład albo szufelka. Nie mówiąc o ogrodowych rękawicach. Tak wrzesień, jak i początek października był zimny, ale ogród wymagał wykonania pewnych prac niezależnie od pogody. Odkładanie ich w nieskończoność nie miało sensu.

Włożyłam zbędne obuwie do specjalnej szafki, zamiotłam przy wejściu, upięłam włosy w rozwichrzony kok i tak przygotowana, czekałam. Miałam ochotę na kawę, ale pomyślałam, że może lepiej wypiję ją w towarzystwie podkomisarza.

Wspólne picie kawy zbliża.

Pytania zadane służbowym tonem nie zapowiadały miłej współpracy.

- Pani Marleno, czy ma pani jakieś podejrzenia? Czy ktoś ma uraz do pani? A może ma pani wrogów? Co zginęło? Wszystko pani sprawdziła? A może sama zostawiła pani otwarte okno na noc?

Już się rozpędziłam!

Podkomisarz od początku zarzucił mnie standardowymi pytaniami, niewyjaśniającymi niczego.

- Wrogów nie mam, a przynajmniej nic na ten temat nie wiem. Nie mam pojęcia, o co chodzi. Jedynie... - zawiesiłam głos, by sprowokować pytanie.

- Co jedynie?

- Czy wyjaśniliście już, kto zabił dziadka Trackiego?

Jak pytać, to z grubej rury.

Podkomisarz milczał, kręcąc się na kuchennym krześle. Wyglądało to tak, jakby go komary w tyłek gryzły.

- Romuald Tracki nie ma tu nic do rzeczy - burknął i od razu sięgnął po kubek z kawą. Zablokował się.

Wypiłam parę łyków już wystygłej neski i wbiłam wzrok w przeciwny kraniec stołu. Trzeba przyznać, że mój poranny gość był w miarę przystojnym mężczyzną. Na pewno nieco młodszy ode mnie. No dobrze, ładne parę lat młodszy. Był trochę niedogolony, ale w sumie nie najgorszy. Niestety, nie chodziło o urok osobisty lub jego brak, a o wydojenie z niego drogą dyplomatyczną jak największej liczby informacji. Bez wahania ponowiłam próbę.

- Ale komu mógł przeszkadzać taki starszy samotny człowiek? Z tego, co wiem, to nie miał wielu znajomych. Rzadko kto go odwiedzał i zawsze był sam. Coś zginęło? Może trzymał w domu pieniądze?

- Pieniądze nie. - Podkomisarz zaprzeczył automatycznie i ocknął się z odrętwienia. - A dlaczego panią tak interesuje Romuald Tracki? Był pani bliski?

- Jaki bliski? - zirytowałam się głupią uwagą. - Żaden bliski. Sąsiad z domu obok. Trudno, żebym się nie interesowała, zwłaszcza że, przypominam, ktoś się do mnie włamał. Tak bez powodu. I do dziadka też się włamał - palnęłam bez zastanowienia.

- Kiedy? - Podkomisarz okazał zainteresowanie.

- Już jakiś czas temu - przyznałam niechętnie. - To było zaraz po odkryciu, że dziadek nie żyje. Poszłam tam i zanim zdążyłam wejść, nieznany osobnik mnie poturbował i uciekł.

Zobaczyłam, jak podkomisarz zaczyna nabierać kolorów zdrowego pomidora. Od wybuchu dzieliły go tylko sekundy.

- Niechże się pan tak nie denerwuje, bo jeszcze panu zaszkodzi. - Usiłowałam opanować sytuację. Było myśleć, a nie kłapać pyskiem, co ślina na język przyniosła. Jak chłop dostanie zawału, to będę do końca życia funkcjonowała z poczuciem winy.

- Droga pani, to nie jest zabawa. Nie było żadnego powodu, żeby chodzić do sąsiada - wycedził przez zaciśnięte zęby i wstał od stołu, pozostawiając na talerzu niedojedzoną drożdżówkę. - Najlepiej będzie, jeżeli załatwimy sprawę formalnie. Zapraszam do mnie do komendy. Musi pani złożyć zeznania i wyjaśnić powody obecności na cudzym terenie.

- Bez przesady! - Nie zamierzałam siedzieć, gdy on wstał, więc też się poderwałam. - Poszłam z ciekawości. Nic nie wiem i nikomu nie zaszkodziłam. Nie ma szans, żebym rozpoznała tego kogoś. Kominiarka na twarzy wyklucza potwierdzenie tożsamości napastnika. Poza tym może ktoś się dowiedział, że właściciel domu nie żyje, i włamał się, żeby wynieść, co się da? Też możliwe - powiedziałam w miarę pewnym głosem.

Jak on jest taki, to w życiu nie powiem mu, co wraz z Marylką znalazłyśmy na strychu. Łaski nie robi. Jeśli się sprężymy, to same złapiemy mordercę dziadka Trackiego. Powód być może leżał na strychu, tylko mało kto wiedział, jak tam wejść.

Podkomisarz postanowił, że w razie czego, a tak naprawdę gdyby się okazało, że zabójstwo dziadka jest jakimś cudem powiązane z włamaniem do mnie, zdejmną odciski palców do porównania z tymi, które zdjęli u dziadka. Gotowa byłam się założyć, że nic im to nie da, ale okazałam dużą radość, żeby go broń Boże nie zrażać.

Wrogo nastawiony policjant nie nadaje się do użytku, a ja zamierzałam nieco dłużej z nim współpracować. Tylko żeby był trochę bardziej rozmowny. Takiego milczka dawno już nie spotkałam.

Obiecałam solennie, że jutro stawię się w progach komendy i sama siebie zapytałam o sens zgłoszenia zdarzenia.

Trzeba było się wstrzymać z powiadamianiem, nawet pośrednim, organów.

Pozostało nam samodzielne wyjaśnienie wielu kwestii. Żegnaliśmy się z ledwie tajnym skrępowaniem.

Do jutra.

Poszedł sobie, a ja odetchnęłam z ulgą. Co też mi do łba przyszło, żeby policjanta do domu wołać. Włamanie było, ale nic nie ukradli, niczego nie zniszczyli, a nawet, co rzadkie, włamywaczom udało się mnie nie obudzić. Właśnie, nie obudzić. Jak on czy też oni tego dokonali? I Pan Kot spał jak zabity! Mieli dużo szczęścia, gdyż zwykle więcej w nocy kołatałam się po domu, niż spałam. Gdybym chociaż nocami mogła pisać, to wychodziłabym na zero. Drzemka w dzień przez

dwie, trzy godziny i książka za książką by się pisały. Same z siebie.

A gdzie ten pot, krew i łzy kapiące ciurkiem na pokreślone przez redaktorów strony? Wysilek poparty wenań twórczą? Proces twórczy czy jak to się nazywa...

Zebrałam filiżanki ze stołu i wstawiłam do zlewu, by od razu umyć. Wzięłam jedną do ręki i podstawiłam pod strumień wody. Przetarłam w środku i odstawiłam na suszarkę. Powtórzyłam czynności przy drugiej filiżance. Umyłam jeszcze łyżeczki i wstawiłam do osączarki. Swoją drogą, jakie ładne teraz te drobiazgi do kuchni robią. Fioletowe, bordowe, kremowe, zielone i w każdym innym kolorze, jaki można sobie wymarzyć. Ja nie szalałam. Do zielonej kuchni kupiłam kremowe dodatki, przeżywając wahania i zerkając z pożądaniem w stronę lawendowego fioletu. Uznałam jednak, że ten dość zdecydowany kolor może zakłócić kruchą równowagę kolorystyczną mojego otoczenia, więc odpuściłam. Z suszarki wzięłam szklankę i nalałam sobie mleka z kartonu. Schowałam je do lodówki. I tak już za długo stało na wierzchu. Potem ze szklanką w rękę poszłam do salonu. W domu było ciepło, wizytę podkomisarza miałam za sobą i nic nie stało na przeszkodzie, by kontynuować pisanie kryminału. Zwłaszcza że termin oddania materiału zbliżał się w zabójczym tempie. Musiałam przyspieszyć.

Przyszły Morderca przeistoczył się w Niespodziewanego Denata i sytuacja stała się patowa. Mój konspekt przedstawiony w wydawnictwie przewidywał całkiem inne rozwiązanie. Automatycznie pogryzałam paluszki z sezamem, szukając sensownego wyjścia. Skoro został zamordowany facet, na którego haki zbierał mój dziennikarz, to mogło oznaczać, że mnie i moich bohaterów prześladował pech albo że nie przemyślałam do końca rozwoju wszystkich wariantów i

zepsułam fabułę, co oznaczałoby, że powinnam zmienić hobby albo, co też musiałam brać pod uwagę, moi bohaterowie wiedzieli lepiej ode mnie, co jest dobre, i samodzielnie dokonali przetasowań. Teraz tylko wypadało poukładać wszystkie klocki fabuły i pozbierać wątki w jedną całość. Bo co trzeba przyznać, w końcu nastąpiło spotkanie Przyszłego Mordercy z Przyszłym Denatem. Że efekt był inny od zamierzonego? To się zdarza i to częściej, niż ludzie sobie wyobrażają. Odstawiłam szklanek z paluszkami poza zasięg ręki. Powinnam w końcu zacząć się trochę odchudzać, a konsumowanie paluszków mi w tym nie pomoże. Poza tym jakiś dźwięk przypominający darcie papieru powtarzał się od kilku minut i postanowiłam jednak wstać od komputera, by sprawdzić, co się dzieje. Jeżeli moje podejrzenia były słuszne, to z tapety w przedpokoju zostały już smętne resztki. Pan Kot nie lubi, gdy piszę, i daje mi to na swój sposób odczuć.

Jak można tak spokojnie siedzieć i klepać w klawisze komputera, gdy wokół tyle się dzieje! Pan Kot tracił powoli cierpliwość do młodszej pani. Gorzej niż źle! Nie dość, że naiwna jak dziecko w przedszkolu, to jeszcze ślepa. Jak można tak przyjmować wszystkich w domu, tak częstować! Dobrze, że chociaż trochę się odpłacił... Pan Kot jeszcze miał żal do Eugeniusza Słodkiego. I ten mężczyzna, który ją odwiedził z samego rana. Podobno policjant. Pan Kot wiedział, że policja zajmuje się wyjaśnianiem różnych spraw ze szczególnym wskazaniem na morderstwa. Na ulicy ciągle huczało od sprzecznych informacji, ale każdy swoje wiedział. I ta noc, taka inna niż zwykle. Pan Kot nie był w stanie przypomnieć sobie, o której wrócił do domu i kiedy zasnął. Nic kompletnie, czarna dziura. A potem to dojmujące zimno, jakby spał na dworze przy minus dziesięciu. No już, w końcu ruszyła swój tłusty tyłek od komputera! Z zadowoleniem spojrzął na strzępki tapety. Nie

lubił zielonego koloru, jeżeli się postara, to jest szansa, że młodsza jeszcze w tym roku położy nowe tapety.

Jesień i zimę Pan Kot spędza w domu, a dokładniej rzecz ujmując, te pory roku przesypia. Natomiast pierwsze wiosenne drgnienia słońca, ćwirlenia ptaków i kiełkujące spod śniegu rośliny sprawiają, że przeistacza się w kota polnego. Trwa to mniej więcej do kwietnia. Potem nabiera niemiłego zwyczaju niepoznawania mnie, gdy mijamy się w ogrodzie. Jest wtedy stale zapracowany. Polowanie, nasłuchiwanie i dogłądanie, czy wszystko idzie w dobrym kierunku, to jest ku latu i ku miłemu ciepłemu potrzebemu starym kościom, zajmuje całą jego uwagę. Pan Kot swoje lata ma i związane z nimi doświadczenie również.

W zimnym jak na nasze normy wrześnieju jeszcze zdarza mu się wychodzić na dłużej, nie tylko w celu zaspokojenia potrzeb fizjologicznych. Czas pobytu w domu z pięciu minut w lecie rośnie do kilku godzin, ile wytrzyma jego pęcherz. Darcie tapety w przedpokoju wskazywało na to, że siusianie jest najważniejszą z jego potrzeb. Starając się nie patrzeć na smętnie zwisające zielone strzępki, otworzyłam drzwi na ganek i po dwóch krokach – wyjściowe. Pan Kot wystrzelił z domu jak Zbyszek Bródka z bloków startowych, w sekundę przyspieszając do setki.

Owionęło mnie wilgotne powietrze, termometr wskazywał plus osiem stopni, a w telewizji Jarosław Kret zapowiadał powrót lata. Gdzie i kiedy?

Załatwiwszy najważniejszą sprawę, wróciłam do pisania.

Jerzy Rosół pozbierał manatki z klombu, sprawdził tożsamość nieboszczyka i wziął nogi za pas. W każdej chwili na miejscu przestępstwa mogła się pojawić hiszpańska policja i zwinąć go

do hiszpańskiego więzienia, a tego ani on, ani ja nie chcieliśmy. Następną komplikacją była zbędna, a dociekanie, jakie procedury są potrzebne, by wyciągnąć z hiszpańskiego kicia podejrzanego o morderstwo Polaka, pochłonęłyby resztki kurczącego się czasu.

Musiałam znaleźć inne, satysfakcjonujące obie strony wyjście z sytuacji. Szemranego biznesmena zastrzeliła przypadkowa osoba. Ona miała uciechę, Jerzy Rosół miał kłopot. Komu taka sytuacja mogła być na rękę? Wiadomość o nagłej śmierci znanego biznesmena być może spowoduje spadek wartości aktywów jego firmy. Stracą udziałowcy, kontrahenci i przede wszystkim rodzina. Kto zyska? Ci, którzy chcieli odkupić firmy należące do denata. Po jego śmierci kupią je za dużo mniejsze pieniądze, a rodzina odetchnie z ulgą, że co nieco zostało uratowane i będzie kontynuować życie celebrycko-rentierskie. Ale jaki z tego kryminał?

Otworzyłam plik z konspektem i pogrążyłam się w czytaniu. Jerzy Rosół, symulując luz i brak zobowiązań, kuśtykając, oddalał się od miejsca przestępstwa.

- Przypomnij mi, dziecko, jak dojechać na te wasze peryferia. Taksówek jak na lekarstwo i chyba będę musiała skorzystać z autobusu.

Matko jedyna! Ciotka Lukrecja! Ostatnia osoba, której mogłabym się spodziewać! A gdzie w takim razie jest mama? Znowu dziewczyny coś wykombinowały?

- Ciociu, a gdzie wy jesteście?

- Jakie jesteście? Sama przyjechałam! Do ostatniego przystanku jechałam, a potem kierowca kazał mi wysiąść, bo podobno dalej już nie jedzie. Taksówek tu nie ma, nic tu nie ma. Frytki sobie kupiłam. Bardzo smaczne macie te frytki, to zjem chociaż, bo głodna jestem. Straszne zadupie tu u was.



Podjęłam szybką decyzję:

- Niech się ciocia nigdzie nie rusza i w nic nie wsiada. Najdalej za pół godziny przyjadę.

No to będzie bal, usiadłam zrezygnowana. Ciocia Lukrecja w domu to istny kataklizm. Ponad pół roku temu zmarł wujek Jędrak, święty człowiek. Wytrzymał z ciotką czterdzieści lat i któregoś dnia nerwy mu puściły, pierwszy zawał serca był dla niego jednocześnie ostatnim. Bardzo lubiłam wujka, gdyż miał sympatyczne poczucie humoru i zawsze potrafił sobie poradzić z nastrojami cioci, która urodziła się chyba tylko po to, żeby innym zatruwać życie. Zwykle intencje miała dobre, ale to nie chroniło przed skutkami działań. Ciocia Lukrecja była rodzoną siostrą mamy, kłóciły się i godziły przez całe życie, ochoczo pomagając sobie w tych gorszych momentach. To ciotka opanowała sytuację po śmierci mojego ojca, gdy nie wiedziałyśmy, co zrobić i do kogo się udać, by załatwić tak prozaiczne sprawy, jak zamówienie pogrzebu, opłacenie wszystkiego, trumnę i te wszystkie okropności, o których pogrążona w żałobie najbliższa rodzina nie ma siły i ochoty myśleć. Wszystko za nas zrobiła ciocia. To było wiele lat temu, ale nigdy ani jednym słowem nie wróciła do tego koszmarnego dla nas czasu. Gdy zmarł wujek Jędrak, starałyśmy się jej w miarę możliwości pomóc i podtrzymać na duchu.

Wszystko wskazywało na to, że ciocia po śmierci wujka doszła dość szybko do pionu. Wprawdzie jej komentarzom i przekazywanym mamie plotkom brakowało zwykłej zgryźliwości podlanej sosem ironii, ale zgodnie myślałyśmy, że ten stan nie potrwa zbyt długo. Nic podobnego. Z każdym miesiącem było coraz gorzej. Postanowiłyśmy więc działać, czego wynikiem było zaproszenie cioci do nas. Mama obstawiała kilka tygodni pobytu, ja raczej myślałam o kilku dniach.

Ciocia odmówiła grzecznie, acz stanowczo, a my uświadomiłyśmy sobie, że nie był to dobry pomysł.

Dziewczyny dogadały się, że to mama pojedzie do siostry i zamieszka z nią na jakiś czas. Czekałam niecierpliwie na powrót mamy. Po tygodniu rodzicielka przyjechała, ale tylko po to, by spakować jeszcze dwie walizki i ponownie wyjechać. Zgodnie ustaliłyśmy, że w miarę możliwości zajmę się ogrodem. Cóż, stan cioci stanowił dobro wyższe. Jednak nie przypuszczałam, że mama tak długo wytrzyma bez sadzenia, pielienia i koszenia. Mijały już prawie trzy miesiące, więc moim zdaniem powinna była wrócić w domowe pielesze i zająć się z powrotem prowadzeniem domu, żebym mogła w spokoju dokończyć pisanie książki.

Jak na razie o spokoju nie było mowy.

- Mówiłam ci, Alicjo, że lepszy będzie pociąg! - Mamusia powitała nas w drzwiach z typową dla siebie bezpośredniością. - A ty nic, tylko bus i bus. Z walizką. I widzisz, Lenka musiała po ciebie jechać, biedne dziecko. - Mama złośliwie ulitowała się nade mną, a ja zrozumiałam, że chyba już nigdy nie wyjaśnię, dlaczego Niedoszły Morderca został Niespodziewanym Denatem. Nie przy nich!

Mama stała w uchylonych drzwiach wejściowych, Pan Kot skorzystał z okazji i wśliznął się do domu, a my z ciotką Lukrecją robiłyśmy tłumek na schodach przed drzwiami, potykając się o pękatą walizę ciotki.

- Co się tak kotłujecie? Wejdźcie w końcu. - Mama otworzyła szerzej drzwi i ciocia wturlała się z walizką do środka. Ja za nimi.

Znowu w kuchni czuć było domem. Cztery fajerki piecyka zajmowały garnki, a w nich bulgotało i parowało. Kiedy mama

zdążyła to wszystko zrobić? Przecież nie było mnie najwyżej godzinę.

- Rozbierajcie się, bo za chwilę będzie obiad - oświadczyła śpiewnie.

- Mamuś, jak się cieszę, że wróciłaś! - Rzuciłam się w jej ramiona, ucieszona, że wracamy do standardów żywienia zakłóconych wyjazdem. - Ale... dlaczego nie przyjechałyście wspólnie? Już cioci dam świeży ręcznik, już, moment.

Ciocia nadal naburmuszona zmierzała do łazienki. Wcisnęłam jej po drodze ręcznik i zabrałam się za nakrywanie do stołu. Jeśli je znałam, wszelkie wyjaśnienia będę musiała wrywać obcęgami, a jak to nie pomoże, to podstępem.

Wieczór upłynął w przyjemnej atmosferze. Ciocia, zmęczona podróżną tułaczką, odpuściła złośliwości i tylko od czasu do czasu wtrącała do rozmowy zdanie świadczące o jej bystrości i wyczuleniu na porządek. Że znowu jak w chlewie i od jutra ona pokaże mi, jak się sprząta, bo biedna Tereska, to było o mamie, gotowa zarobić się na śmierć. Że zostawić cokolwiek na mojej głowie strach, bo zapuszczę do granic możliwości. Że kwiatki niepodlane, a jak człowiek ma cokolwiek, to powinien o to dbać. Że Pan Kot marudzi przy jedzeniu, kto to widział tak rozpuścić zwierzaka! Pan Kot, odkąd pamiętam, po kociemu marudził przy jedzeniu, czyniąc z tego rytuał pełen premedytacji. To, czego nie zjadł, szło dla jego kolegi Kota Dochodzącego. Dochodzący był bardzo dobrze wychowany i zjadał na pniu wszystko, co dałam. Nic się nie marnowało, a przecież o to chodziło. Z rozmowy wyszło, że flejtuch nieporadny i cud, że chałupa nadal stoi tam, gdzie stała, a ciocia nie dziwi się mojemu byłemu mężowi, że się rozwiódł. Tu omal nie zareagowałam, ale przypomniałam sobie, że to stara śpiewka cioci, która lubiła mojego męża i nie mogła przeboleć, że się rozwiedliśmy.

*Jerzy Rosół spokojnym, acz nieco przykurczonym krokiem oddalił się z miejsca nie swojego przestępstwa. Na razie działał automatycznie, nie włączając myślenia. Barcelońskie ulice roily się tak od turystów, jak i od stałych mieszkańców. Ludzie tańczyli na ulicach, przytulone do siebie pary okupowały ławki i kawiarniane krzesła. Powietrze przesyccone było aromatem kawy z ekspresu i przyrządzanych w małych restauracyjkach potraw. Paella, pizza, frutti di mare. Jerzy Rosół poczuł, że jest bardzo głodny. Tak głodny, że za chwilę burczenie z jego żołądka zagłuszy ulicznych muzykantów. Przystanął w pobliżu pomnika Kolumba, blisko wyjścia z La Rambli, i zaczął przetrząsać kieszenie spodni w poszukiwaniu drobnych. Było mu niewygodnie. Plecak osuwał się z ramion, a kieszenie spodni miał napchane jakimiś niepotrzebnymi karteluszkami. Wyjął je, wyszarpnął, bo papierek z resztką gumy do żucia przyblokował mu kieszeń. Garść euro posypała się na chodnik. Nie zdążył się schylić, gdy jakiś malec wybierał drobne monety rozsypane u jego stóp, artykułując głośne gracias...*

- A grabie gdzie masz?

Z trudem otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą ciocię w roboczym ubraniu.

- Przecież ci mówiłam, że poszukamy, może są w komórce. - Mama przybywała z akcją ratunkową. - Nie budź jej, niech sobie pośpi.

- Ile można spać? Życie prześpisz! No już, wstawaj!

Zaraz, zaraz, miałam wrażenie, że jest jeszcze środek nocy. I gdzie się podział Jerzy Rosół?

- Grabie? Przecież były. A zaglądałyście do szklarni?

- Nie ma, a wszystko powywracane, jakby pijane króliki tam tańczyły. To się w głowie nie mieści! Kilka tygodni mnie nie było i już niczego nie można znaleźć. Ogród zapuszczony.

- Kilka jak kilka... Lało, mamuś, zimno było. Chyba nie chciałaś, żebym się grypy przy pielenu nabawiła.

- Zaraz grypy! Dla ciebie każda wymówka jest dobra - sarknęła ciotka.

- Ciociu, litości, ja pracuję! Książka się sama nie napisze!

- A ogród sam się nie wypieł! - odparowała. - Przynajmniej ja nie znam takiego przypadku.

- No już, raz dwa, zbieraj się. Jest ósma! - ponagliła mama.

- Matko i córko! Toż to błądy świt, a wy już do pracy?

Ciocia stała nade mną jak kat nad dobrą duszą. Mama wyszła i krzątała się przy kuchence. One już na pewno były po śniadaniu.

- A kot gdzie? - Rozejrzałam się. Jedynym śladem na pościeli po Panu Kocie było miłe zagłębienie w kołdrze.

- Jak to gdzie? Poszedł do ogrodu!

Biedny Pan Kot. Czulałam, że po tygodniu będziemy się modlić, by ciocia przeniosła swoją energię w inne rejony kraju. Na razie nie pozostawało mi nic innego, jak tylko skapitulować i czasowo się podporządkować.

Grabie rzeczywiście gdzieś się zapodziały, a nieporządek panujący w szklarni na pewno nie był moim dziełem. To mała szklarenka, która służy do przechowywania narzędzi i uprawy pomidorów, które udają się w niej całkiem nieźle. Nie w tym roku. Resztki zaniedbanych przeze mnie krzaczków obwisały smętnie. W narzędziach panował taki nieporządek, że nawet ja, mimo najszczerzych chęci, nie byłabym w stanie do niego doprowadzić. Innymi słowy, ktoś musiał buszować na naszym terenie.

Tylko po co?

Na razie nic nie mówiłam o włamaniu, przyjmując pomstowania cioci na mój brak skrupulatności i ogólny brak dyscypliny. Ciocia lubiła sobie pogadać.

Mama zaglądała do każdego kąta, marszcząc czoło. Znała mnie lepiej niż ciocia i na pewno zastanawiała się, co jest powodem aż takich zaniedbań.

Grabie, łopatę i widły szwedzkie utyłane niemiłosiernie znalazłyśmy oparte o płot należący do posesji dziadka Trackiego.

Przepowiednia telewizyjnego Kreta sprawdziła się tylko w połowie. O powrocie lata jesienią nie było mowy, ale w powietrzu czuć było ciepłe prądy z południa i jesienną melancholię babiego lata. Zapowiadał się bardzo przyjemny dzień i w sumie byłam wdzięczna cioci, że mnie obudziła. Zazwyczaj wstawałam jeszcze wcześniej, ale mój organizm reagował na stres pobieraniem większej ilości snu. Przespać tak piękny dzień to byłby grzech, i to nie tylko ogrodnika, ale także w sumie zadowolonego z życia człowieka. Poza tym powinnam się stawić w komendzie. Najlepiej tak koło południa. Czyli teraz roboty ogrodowe, bo rzeczywiście przez pogodę i pisanie doprowadziłam ogród do stanu maksymalnego zapuszczenia. Kosiarka w ruch, pielenie, gracowanie i przycinanie. Po tygodniu ogród będzie jak nowy. Zabrałyśmy narzędzia spod płotu dziadka Trackiego i zaniósłszy je z powrotem do szklarni. Na razie nie były nam potrzebne.

Zrobiłyśmy obchód i postanowiłyśmy, od czego rozpoczynamy prace. Mama rwała się do koszenia. To był jej ulubiony sposób odreagowywania stresów. Ciocia Lukrecja zamierzała pielnić grządki i wyrwać resztki uchowanych warzyw. O ile cokolwiek się zachowało, bo już niejedną raz okazywało się, że natka nad ziemią pozwala mieć nadzieję, a korzeń

dawno został zjedzony albo zadołowany przez zapobiegliwe gryzonie jako zapasy na zimę. Mnie przypadło w udziale wyrwanie wysokich traw zaścielających połacie ogrodu. Miałam nadzieję, że ciocia mi trochę pomoże. Tych traw było naprawdę dużo.

Po godzinie ręce mnie bolały. Dobrze, że poszłam po rozum do głowy i włożyłam rękawice robocze. Dzięki temu skóra na rękach była cała.

Wokół mnie piętrzyły się stosy suchych wiechci. Pomyślałam, że od razu wywożę je na dolinę. Niech zobaczę, ile zrobiłam. Zawsze to dobrze działa na psychikę. Wyciągnęłam taczki ze szklarni, włożyłam do nich widły oraz grabie i tak uzbrojona zaczęłam oczyszczać teren. Po kilku minutach rzeczywiście widać było ogrom wykonanej pracy.

Klucza do bramki oczywiście nie wzięłam, więc musiałam dygać całe sto dwadzieścia metrów do domu, żeby sobie w końcu otworzyć. Szybko wróciłam, ciągnąc ze sobą worki na szyszki. Tak dużo ich spadło, że żal było nie wybierać. Poza tym i tak musiałam wyczyścić teren pod drzewami, zanim mama wjedzie z kosiarką. Miałyśmy pecha do kosiarek i co kilka lat kupowałyśmy następną, mając nadzieję, że tym razem trafił nam się bezawaryjny egzemplarz. Nic z tego! Nawet jeżeli kosiarki były dobrej jakości, to nie było szans, by wytrzymały wjeżdżanie na grabie, bliskie kontakty z drutem zrzuconym z gniazda przez sroki, koszenie worka foliowego i tym podobne atrakcje.

Lekko przekręciłam klucz w zamku i bramka stanęła otworem.

Dziwne. Zamek w tylnej bramce zawsze przekręcałyśmy dwa razy. Czyżbym miała początki sklerozy? Pan Kot plątał mi się pod nogami, gotowy do wyjścia na dolinę. Ujęłam rączki taczki i wytoczyłam ją poza ogrodzenie. Teren doliny i wzgórek za ogrodzeniem jest jeszcze bardziej zaniedbany niż nasz ogród,

ale ma to swoje dobre strony. Ptaki czują się tu bezpiecznie, swoją przystań mają sarny, bażanty i zajęce. Tym razem jednak nie chodziło o dzikość otoczenia, a o to, że ktoś skopał teren za płotem. Ziemia była przekopana, nierówno uklepana, tak jakby zakopano skarb, pomyślałam. Tym kimś na pewno nie byłam ja. Teren był tu trudny, nieciekawym i zazwyczaj ograniczałyśmy się do wrywania pokrzyw i pobieżnego koszenia bezpośrednio za naszym ogrodzeniem. Poszłam zawołać dziewczyny na oględziny terenu, zostawiając Pana Kota na straży. Jemu też to nie pasowało.

Mama z cicią gnały pędzone ciekawością, aż nie mogłam za nimi nadążyć. To byłby pierwszy taki przypadek, żeby ktoś nam pomógł za friko.

Błąd. W życiu nie ma nic za darmo.

W osłupieniu wpatrywałyśmy się w skrawek śliwkowo-czarnego umazanego ziemią materiału, który wзираł spod niewprawnie uklepanej warstwy ziemi. Warstwa była zbyt cienka, by zakryć cokolwiek na dłużej. Zwierzęta, działanie czynników atmosferycznych, ciekawość właścicieli posesji, to wszystko sprawiło, że cokolwiek zostało zakopane, szans na długie pozostawanie w ziemi nie miało. Pierwsza otrząsnęła się ciocia Lukrecja.

- Szmaty się wyrzuca do kubła, a nie zakopuje! - Ta uwaga była skierowana do mnie.

- Ależ Alicjo! - zachnęła się mama. - Jakie szmaty? Przecież wiesz, że my niczego nie wyrzucamy!

- Trzeba zobaczyć, co to jest, bo coś mi się wydaje... - wzięłam do ręki leżące na stercie trawy grabie i ostrożnie zaczęłam odsuwać pierwszą warstwę ziemi. Wydawało mi się, że postępuję prawidłowo. Ziemię zagarniałam delikatnie, tak by nie naruszyć spodniej warstwy. Niestety okazało się, że moje domysły były słuszne. Facecik w śliwkowym paltociku leżał zagrzebany w naszej ziemi. Zielony szalik otulał jego szyję, a na



chuderlawej piersi rozlewała się zaschnięta plama krwi. Ktoś go zabił, to było jedyne, co przyszło mi do głowy. Ciocia i mama, przykucnąwszy nad nieboszczykiem, pracowicie odgarniały następną warstwę ziemi okalającej zwłoki. Pan Kot, mrużąc z zadowoleniem, spacerował i udeptywał rosnącą hałdę ziemi.

- Zostawcie! - krzyknęłam, jak na ich gust zbyt głośno i niegrzecznie.

- Dlaczego? Przecież nie będzie tak leżał, biedaczek - ulitowała się ciocia.

- A co z nim zrobimy? Pochowamy w rodzinnym grobowcu? - zapytałam zgryźliwie.

- Zaraz pochowamy... Trzeba go gdzieś przenieść, żeby go policja znalazła. Przecież nie będzie u nas tak leżał. I w ogóle skąd on się tutaj wziął? Wiedziałam, że z tego twojego pisania nic dobrego nie wyniknie!

- Ciociu, z jakiego pisania? Ja zabijam na niby, nie w rzeczywistości. Nie chciałabym być niegrzeczna, ale jeśli to cioci umknęło, tu leży prawdziwy nieboszczyk! - obruszyłam się i żeby nie być gorsza, dłonią w rękawiczce przejechałam po denacie, chcąc strzepnąć z niego resztki gliniastej ziemi.

- A kto cię tam wie - mruknęła ciocia i stęknęła z wysiłku, zmieniając pozycję z przykucnięcia na przyklęknięcie, by wrócić do odgrzebywania śliwkowego.

- Zostawże go. - Mama wstała, przeszła dwa kroki i przykucnęła przy cioci. Zanim zdążyłam zareagować, przechyliła się i namacała kieszeń kusego palta, w którym śliwkowy wydawał się jeszcze mniejszy i drobniejszy, niż go zapamiętałam. Wsunęła dłoń i pogmerała w środku.

- O! Coś tu jest! - ucieszyła się, wyjmując okładkę podobną do tych na dokumenty. Sztynna, granatowa, z zatartym nieco logo firmy ubezpieczeniowej.

- Ludu złoty, co wy robicie! Zostaw to! Przecież tam będą twoje odciski palców - pouczyłam mamę.

- Jakie odciski? - Rzeczywiście, dopiero teraz zobaczyłam, że mama ma na dłoniach ulubione rękawiczki z silikonu. Zero dyskusji.

- Zobacz, kto to, a potem dzwonię po policję. Niech go odkopią do końca i zabierają stąd. Może to ma coś wspólnego ze śmiercią dziadka Trackiego.

- Dziadek nie żyje? Dlaczego my nic nie wiemy

- Ano nie żyje. Ktoś go zabił - powiedziałam ponuro.

Czułam, że teraz dopiero zaczną się szopki z mrukliwym podkomisarzem. Przecież ten człowiek mi nie uwierzy, że nie miałam nic wspólnego ze śmiercią śliwkowego, który notabene nazywał się Czesław Brudziński i był zameldowany w jednej z pobliskich wsi. Lat trzydzieści cztery. Rzeczywiście młody. Ze zdjęcia patrzył na nas brunet o wyrazistych rysach twarzy, charakterystyczny nos z garbkiem i szaro-niebieskie oczy. Przystojny typ. Tylko dlaczego taki kurdupel, pożałowałam go.

- Ale co się stało, opowiadaj. - Obie wpatrywały się we mnie jak sęp w padlinę, więc opowiedziałam im pokrótce rozwój wydarzeń i nie czekając na zalew pytań, wybrałam numer do podkomisarza Zakrzewskiego. Gbur mrukowaty, ale chociaż znajomy gbur, którego nie muszę krok po kroku wprowadzać w przebieg zdarzeń.

Przypomniałam sobie, że ostatni raz widziałam Czesława Brudzińskiego dwa dni temu, gdy przyszedł do mnie Gieniu w charakterze Cyganki. To właśnie śliwkowy w zielonym szaliku pałętał się przy białym nissanie, którego numery zapisała - na wszelki wypadek - Marylka.

Właśnie, Marylka, muszę z nią koniecznie uzgodnić, co powiemy podkomisarzowi. Ukryjemy przed nim wizytę śliwkowego na ulicy czy wręcz przeciwnie, powiemy mu wszystko, a on niech się męczy? Ale zaraz, jakie wszystko?

Wizytę Gienia powinnam ukryć przed podkomisarzem. To do sprawy nie należy.

Cyknęłam dla pamięci kilka zdjęć, w tym jedno dowodu osobistego należącego do denata, a dwa denata nadal w pozycji leżącej, jeszcze częściowo zagrzebanego w ziemi. Pamięć jest zawodna. Za chwilę zapomnę, jak się nazywał. Przez moment zastanowiłam się, czy nie przysypać go z powrotem, ale resztki instynktu samozachowawczego nie pozwoliły mi się tą myślą podzielić z dziewczynami.

Przypomniałam im, że wszystko, co robiłyśmy, należy do kategorii „ściśle tajne łamane przez poufne” i zostawiłam w towarzystwie nieboszczyka oraz wężącego obok Pana Kota, który zachowywał się, jakby za chwilę miał podjąć trop. Ciekawe, czy Pan Kot byłby w stanie złapać ślad i doprowadzić nas do sprawcy, pomyślałam mimochodem. Podkomisarz obiecał, że przyjadą najszybciej, jak się da, więc uspokojona, że zrobiłam, co do mnie należało, poszłam do domu, by na spokojnie zadzwonić do Marylki. Im mniej mama z ciotką wiedzą, tym większe prawdopodobieństwo, że nie podzielą się swoją wiedzą z policją. Nawet przez przypadek.

Pan Kot nie miał wątpliwości, że należało się tego spodziewać. Następne morderstwo w jego rejonie. Tym razem ten obcy, chociaż może nie całkiem... Pan Kot rytmicznie udeptywał gliniastą ziemię zmieszaną z kawałkami pokrzyw i innego badziewia. Musiał uważać na opuszki, żeby się przez przypadek nie zranić.

Te kobiety znowu robiły zamieszanie. Na zdrowy rozum powinny tego obcego zakopać i czekać, aż kto inny go odkryje. Teraz znowu przyjadą obcy, zapachów pozostawiają i jeszcze większy bałagan niż zazwyczaj. Nie ma to tamto, tylko swoją robotę trzeba wykonać. Pan Kot porzucił udeptywanie całkiem sporego kopczyka i podszedł najbliżej, jak mógł. Wypiął się,

żeby zaznaczyć teren. Uważał, że w każdym wypadku należy dbać o własne interesy.

Tak jak się spodziewałam, oberwałyśmy za odkopanie denata. Trzeba było go zostawić już na etapie śliwkowego materiału przezierającego przez ciekłą warstwę gleby. Ciekawe, co byśmy usłyszały, gdyby się okazało, że pod ziemią leży sam płaszcz, bez wkładu.

Jakoś zniosłam narzekania podkomisarza. Mama z ciocią, symulując zasłabnięcie z nadmiaru wrażeń, ewakuowały się poza zasięg wściekłości policjanta. Oczywiście tak się ustawiły, że nadal wszystko widziały i słyszały, wymieniając się uwagami z technikiem kryminalistyki i fotografem, którzy łypali wściekle na ciocię, ale ich aktywność sprowadzała się tylko do typania.

Towarzyszyła im Marylka, malowniczo podtrzymująca wachlującą się chusteczką ciocię. Mama radziła sobie sama. Siedziała na murku przy ogrodzeniu i w zamyśleniu patrzyła na policjantów odkopujących ciało. Machnęłam ręką na biadolącego podkomisarza i postanowiłam podtrzymać na duchu rodzicielkę. Z patrzenia na nieboszczyka nic by mi nie przyszło, a w ramach służbowych działań zdążyłam już wycygnąć od jednego ze śledczych numer prywatnej komórki. Nigdy nie wiadomo, czy nie będę potrzebowała konsultacji przy pisaniu, a nie wiedziałam, jak się nam ułoży dalsza współpraca z nieco zamkniętym w sobie podkomisarzem Markiem Zakrzewskim. Za mną podążyła Marylka. Ciocia również nie zamierzała niczego tracić z oczu.

- Mamuś, nie martw się - pocieszyłam ją. - Zaraz go wyciągną i zabiorą. Przecież my nie mamy z nim nic wspólnego. To obcy człowiek. Wprawdzie, co zastanawiające, ostatnio dość często go tutaj widywałam, ale całe szczęście, że nie ja jedna. Taki zbieg okoliczności.

Mama poprawiła się na murku. Siedzenie na kawałku betonu nie należy do luksusów. Obciągnęła na kolanach wełnianą spódnicę, w której wykonywała prace ogrodowe, i powiedziała z namysłem:

- Ja go już widziałam przed samym wyjazdem do Alicji. Przemieszczał się po sąsiedniej ulicy, wpatrywał w domy. Taki trochę zdezorientowany był. Miałam wrażenie, że kogoś szuka.

- Co?!

- No tak, widziałam go na Prostej. Tam przy szkole. Łaził tam i z powrotem. Albo na kogoś czekał, albo kogoś szukał. Bo logicznie rzecz ujmując, nie widzę innego powodu, by obcy człowiek tak zwracał na siebie uwagę. Mówić mu czy nie mówić o tym? - Mama pokazała w stronę miotającego się po skraju naszego pola podkomisarza.

- A jeśli wyciągnie błędne wnioski? - zacukała się Marylka i przysiadła na murku obok mamy. - Pani Alicjo, niech pani tak nie stoi. Proszę usiąść - zachęciła ciocię przytuloną do siatki odgradzającej naszą posesję od ogrodu dziadka Trackiego.

Ciotka Alicja vel Lukrecja nie dała się prosić. Oderwała od ogrodzenia ścierpnięte od zaciskania palce i sztywno podążyła w naszym kierunku. Przystanęła przy murku, lecz zamiast spokojnie usiąść skierowała w moją stronę oskarżycielskie spojrzenie.

- Wszystko przez to twoje pisanie. Jak ktoś tak zabija jednego po drugim w książkach, to mu się potem fikcja z rzeczywistością miesza i skutki są takie, jak tu widzimy. To się może da wyleczyć - skonkludowała i w końcu usiadła, fundując nam zbiorowe osłupienie.

- Ciociu, ależ ja nikogo nie zabiłam! - wyskandowałam dobitnie. - Ja zabijam na papierze, a to co innego. Nie byłabym w stanie nikogo zabić. Naprawdę. Przecież ja nawet myszy bym nie uśmierciła, nie mówiąc o innych żyjących stworzeniach.

Łagodna jestem od urodzenia. I dlatego, z jakiego powodu, bo niech ciocia pamięta, że powód zawsze musi być.

- Nie wiem, dziecko. - Ciocia westchnęła. - Jakiś powód zawsze się znajdzie. W końcu jesteś pisarką, a takie zawsze wymyślą tak, żeby wyszło na ich. - Ciocia machnęła ręką, jakby się od natrętnej muchy oganiała, i spojrzała na mnie z irytacją, wzruszając ramionami.

Rzeczywiście, miałam u cioci przechłapanie.

Chwilę siedziałyśmy w ciszy przerywanej odgłosami wydawanymi przez policyjną ekipę krzątającą się koło domniemanego miejsca zbrodni.

- Ale niech ci będzie. Skoro mówisz, że nie zabiłaś, to ja ci wierzę - dodała ciocia łaskawie.

Dobre i to.

Pogrążone w myślach nie zauważyłyśmy, że śliwkowy został już całkiem odkopany i włożony do czarnego worka, jakie pokazują na filmach. Ruszyłyśmy się z murku, żeby zobaczyć, co się będzie dalej działo. Mama podeszła do rogu ogrodu, z którego miała widok na wejście do doliny. Okazało się, że zgromadził się tam tłumek obserwatorów żądnych sensacji. Podkomisarz Marek Zakrzewski podszedł do nas zdyszany, zaaferowany sytuacją, która jak przypuszczałam zdarzała mu się nie po raz pierwszy.

- Czy panie znają denata? - zapytał, nie bawiąc się w podchody.

Popatrzyłyśmy po sobie. Z tego wszystkiego nie zdążyłyśmy uzgodnić wspólnej wersji.

- I tak, i nie - powiedziała Marylka dyplomatycznie.

- Co pani ma na myśli?

- Znamy go niejako z widzenia, nie osobiście - wyjaśniła.

Postanowiłam ani słowem nie wspominać o pierwszym spotkaniu śliwkowego na przystanku autobusowym. Przecież

mogłam go wtedy nie zauważyć.

- Pani sprecyzuje.

Marylka wyjaśniła, a mamusia dodała informację o przypadkowym spotkaniu i domniemaniu, że śliwkowy na kogoś czekał koło szkoły. Wprawdzie jakiś czas temu, ale zawsze. Marylka dyplomatycznie nie wspomniała o wizycie Gienia, wychodząc ze wspólnego nam założenia, że im mniej policja wie, tym mamy większe szanse na wyjaśnienie zagadki morderstwa dziadka Trackiego.

- Dzwonię i dzwonię, i dodzwonić się nie mogę! - Gieniu ział nieuzasadnionymi pretensjami.

- Telefon mi padł. Ładował się - wyjaśniłam zwięźle, zeźlona jego wybuchem. - Poza tym mamy aferę.

Streściłam mu przebieg akcji z odkopywaniem znajomego z widzenia denata.

- To rzeczywiście macie aferę - skomentował odkrywczy i zapytał: - A o mnie powiedziałaś?

- Wiesz, że jakoś się nie zbiegło. A co, mam powiedzieć? W słuchawce zapadła cisza. Prawie słyszałam, jak Gieniu kalkuluje, co mu się bardziej opłaca. Ludzie się nie zmieniają, a Słodki, od kiedy pamiętam, zawsze kalkulował za i przeciw.

- Jeżeli nie musisz, to nie mów - rzucił lekko, jakby mu nie zależało, co powiem. Oznaczało to coś wręcz przeciwnego.

- Musimy się spotkać i ustalić, co dalej - zaproponowałam. Trochę dużo tych niezwykłych zdarzeń jak na tak małą uliczkę.

- Zdzwonimy się.

- Jakie zdzwonimy? Znów tak mówisz, a potem znikniesz na amen i niczego nie wyjaśnimy do końca. Niech ja mam chociaż jedną sprawę załatwioną jak należy! - zbuntowałam się do głuchej już słuchawki. Coś nas rozłączyło. Spróbowałam wybrać numer, który pokazał mi się na wyświetlaczu, ale

jedynie automat odpowiadał, że abonent znajduje się poza zasięgiem.

Nie powiem, żeby mi się to podobało. Znając upodobanie mojego kolegi do zniknąć, mogłam znowu znaleźć się w punkcie wyjścia. Nie dość, że bez ABBY, to jeszcze z zawieszonym wyjaśnieniem sprawy zabójstwa dokonanego najprawdopodobniej przez sąsiada z końca ulicy. I jak tu żyć w takiej niepewności?

Dziewczyny wróciły do domu w towarzystwie Marylki, podniecone możliwością wyjaśnienia, kto i dlaczego zamordował śliwkowego. Matko i córko! Co ona im namieszała w głowie Nie wiedziała, na jak podatną glebę rzuca swoje aluzje? Jeszcze mama została w to wmieszana... Serwerownia знаła mamę od lat i wiedziała, że ta lubi spokój, kawę, Pana Kota i dobre książki oraz ogród na dokładkę. Charakteru ciotki Alicji zwanej za plecami Lukrecją nie miała szansy poznać.

Ciocia Alicja należała do tych osób, które są przekonane o własnej nieomyślności i próbują innym urządzać życie. Nie każdemu się to podoba, a tłumaczenie, że inni członkowie rodziny nie są poszkodowani na umyśle i jakoś sobie radzą, nie trafiało kochanej cioci do przekonania. Na jej pomysły należało patrzeć przez palce, nie denerwować się i brać na przeczekanie. Innej metody nie było. Ciocia nie miała własnych dzieci, więc z przyjemnością brała udział w układaniu przyszłości innych, mniej niż ja odpornych członków rodziny. Ja byłam zahartowana długoletnimi bojami i po prostu starałam się nie brać wszystkiego, co ciocia mówiła, na serio. Gdyby było inaczej, już dawno skończyłabym jako stała lokatorka oddziału psychiatrycznego. Ciocia nie mogła przeboleć mojego rozwodu z Michałem, który miał u niej wyjątkowe fory. Wiadomość o naszym rozstaniu była dla cioci ciosem, zwłaszcza że uważała, iż powinnam wziąć na przeczekanie i jak gdyby nigdy nic



kontynuować nasze małżeństwo. Z trudem zaakceptowała, że to Michał wystąpił o rozwód. Ja po prostu wyraziłam zgodę.

Przydomek „Lukrecja” ukuł lata temu wujek Jędrrek. Dziś już nikt nie pamiętał powodu, dla którego padło wtedy: „Kochanie, jesteś słodka jak lukrecja”. Lata temu w czasie pobytu w Hiszpanii kupiłam pasek czarnej lukrecji, chcąc się przekonać, co wujek miał na myśli.

Do tej pory mdli mnie na wspomnienie tamtego smaku.

Ciocia obruszała się za każdym razem, gdy słyszała, że ktoś tak o niej mówi, a my w imię spokoju nazywałyśmy ją tak tylko za jej plecami. Marylka nie miała pojęcia o drugim imieniu cioci i lepiej, by tak zostało. Im mniej człowiek wie, tym mniejsza szansa, że się ze swoją wiedzą wyrwie nie tam, gdzie trzeba.

Jedyne, co dobre z tego całego zamieszania, to że nie musiałam jechać do komendy w celu złożenia zeznań. Komenda w postaci podkomisarza Marka Zakrzewskiego umówiła się z nami na następny dzień. Nieco zirytowany naszą ingerencją medyk planował przeprowadzenie sekcji i ustalenie czasu zgonu Czesława Brudzińskiego, a policjanci zabierali się za przepytywanie ludności na okoliczność znajomości z nieboszczykiem.

My zamierzałyśmy zrobić to samo, oczywiście wszystko poza sekcją. Jej wyniki trzeba było jak najszybciej wyciągnąć od podkomisarza.

Tak nam zeszło do obiadu, który mamusia przygotowała naprędce z produktów zamrożonych na wszelki wypadek. Akurat się przydały. Marylka oddaliła się do własnej chałupy, męża miała przyzwyczajonego do trzydaniowych posiłków, więc dobrą godzinę musiała spędzić przy kuchence. Ostatecznie umówiłyśmy się na wieczór, by uzgodnić zeznania i w miarę możliwości zreasumować, co wiemy, a czego się domyślamy.

Pielenie i koszenie poszło w odstawkę przynajmniej na jeden dzień, a ciocia Lukrecja została tak wytrącona z równowagi, że nawet darowała mi aluzje do wczorajszego włamania.

Pogoda się stabilizowała i obiecane przez Kreta słońce zamierzało dotrzymać nam towarzystwa.

*Gracias, mucias gracias...* czy jak oni tam mówią... Muszę sprawdzić w słowniku hiszpańsko-polskim.

*Rezolutny dziesięciolatek już dawno zdążył dać nogę z garścią wyzbieranych z chodnika monet, a Jerzy Rosół nadal tkwił obok Krzysztofa Kolumba zakłętogo dłutem rzeźbiarza w monumentalny posąg. Głód skręcał mu kiszki, zapachy nęciły, słabość ogarniała go wielka, a jeszcze do tego zwiął z miejsca przestępstwa. Jerzy Rosół miał wrażenie, że za chwilę podejdzie do niego policjant, taki w mundurze albo jeszcze lepiej – tajniak bez munduru – i go zaaresztuje za zamordowanie właściciela korporacji Anex. Jerzy Rosół całe życie narzekał na brak zdecydowania i teraz też zastanawiał się, czy wrócić po pozostawione na kwaterze rzeczy, czy brać nogi za pas i wyjeżdżać, jeżeli już nie z Hiszpanii, to chociaż z Barcelony. Choćby nie wiadomo, co się miało stać, musiał natychmiast coś zjeść i napić się piwa. Zamierzał, choć było to trudne, przez chwilę zachować chociaż pozorny spokój: usiąść i pomyśleć.*

*Znalezienie wolnego miejsca około północy na Rambli graniczyło z cudem. Najdłuższa ulica Barcelony przyciągała do siebie turystów, artystów, nocnych marków i różnego sortu obiboków ze złodziejami kieszonkowymi włącznie. W końcu, po ponad kilometrowym spacerze, w jednej z małych kawiarenek dziennikarz wypatrzył wolne miejsce i odrobinę przestrzeni. Szczęście w tym całym nieszczęściu, że w*

prawym bucie pod wkładką miał zadekowane pięćdziesiąt euro na czarną godzinę, która - wszystko na to wskazywało - właśnie nadeszła. Rozsiadł się wygodnie na rattanowym krześle i symulując poprawianie sznurowadła - jak to dobrze, że nie włożył sandałów - wysupłał zapasową kasę. Rozprostował poskładany w kosteczkę banknot, położył go na stoliku i przejechał po nim ręką, żeby wygładzić nieestetyczne zagięcia. Siedział chwilę, odpoczywając, aż zorientował się, że z siedzenia nic mu nie przyjdzie i musi się udać do baru. Rozejrzył się, czy czasem ktoś nie poluje na miejsce. Wstał. Bał się zostawić plecak, a nuż ktoś go podwędzi. Opuszczając krzesło, ryzykował, że z piwem w ręku postoi przy barze.

Na kwaterze panował spokój. Dzieci gospodyni, u której wynajmował pokój, jeszcze imprezowały, natomiast ona, kobieta po pięćdziesiątce, siedziała w swojej części domu zatopiona w oglądaniu serialu o jakżeby inaczej, wielkiej, niezrealizowanej miłości. Przekradł się do swojego pokoju, namacał klamkę u drzwi i nacisnął. Było otwarte. W ciemności odnalazł kontakt i zapalił światło. Niejako machinalnie przeleciało mu przez myśl, że przecież zamykał drzwi, a klucz ma przy sobie. Zwątpił. Nie o takich rzeczach zapominał. Poblask mdłej żarówki, a właściwie świetlówki, zalał pomieszczenie. Drzwi szczipłej szafy były otwarte na oścież, a podłogę przy niej zaścielały ciuchy dziennikarza. Mieszały się ze sobą bawełniane gatki i dwie pary dżinsów, T-shirty i ulubiona koszula w zielono-czerwoną kratę, którą zostawił w pokoju, uważając, że zbyt rzuca się w oczy. Torbę ktoś wysunął spod łóżka i rozgrzebał zawartość. Łóżko i okolice nie przedstawiały lepszego widoku.

*Jerzy Rosół się zdziwił. Nie przypuszczał, że przywiózł ze sobą aż tyle rzeczy. Na diabła ktoś mu grzebał w starych gatkach? Przecież nikt nie mógł przypuszczać, że szef Anexu zostanie zamordowany, skoro to on miał być zamordowany. Chyba że... Jerzy Rosół poczuł, jak mu łydki miękną, a serce telepiące się jak ptak zamknięty w garści zaczynało niebezpiecznie podchodzić do gardła. Ktoś wiedział, że zostanie zamordowany, i nie bawiąc się w kurtuazję, przeszukał jego rzeczy, żeby zdążyć przed policją. A może po to, by policja myślała, że to jakieś porachunki między gangami z Europy Wschodniej (zawsze mu wmawiano, że Polska leży w Europie Środkowej). Tylko co teraz, skoro on żyje?*

*To znaczy, on nie żyje na niby, a szef Anexu naprawdę. To się porobiło... Dziennikarz usiadł ciężko na zdezelowanym przez setki wynajmujących łóżku i stęknął bezradnie. Nie miał w bagażach niczego, co mogłoby budzić czyjeś zainteresowanie. Prawdę mówiąc, miał już dość tego zakichanego śledztwa, afer i grożącego mu zewsząd niebezpieczeństwa.*

*Zamierzał po powrocie do kraju zapomnieć o wszystkim i wrócić do tropienia i wywoływania skandali w świecie show-biznesu. Miło, bezpiecznie i za dobrą kasę. Dziennikarstwem śledczym niech się inni zajmują.*

O, nie ma! Jacy inni? Chłopu się ze strachu w głowie przewracało i zaczynał tchórzyć, ale ja nie takiego bohatera sobie planowałam i zapisywałam w konspekcie. Wydawca obśmieje mnie, gdy przeczyta te wątpliwe majaczenia. Dziennikarstwo śledcze to powołanie. Trzeba mieć jaja, żeby wykonywać ten zawód, i Jerzy Rosół musi udowodnić, że ma je odpowiednio duże. Trudno, nie ma to tamto. Trzeba zabierać

się do roboty. Zmusić bohatera, by pakował manatki i wynosił się z kwatery. Ktokolwiek tu był, na pewno wróci.

Stop!

Jakie pakować się?! Dziennikarz zza ekranu popatrzył na mnie wzrokiem, w którym malował się popłoch pomieszany z dezorientacją.

- Czyś ty, kobieto, oszalała? O co ci w końcu chodzi? Mam się pakować i spadać czy mogę się kimnąć na parę godzin?

Ocknęłam się przy wygaszonym ekranie komputera. W pokoju panowała całkowita ciemność. Wszyscy już spali.

Podkomisarz Marek Zakrzewski starał się, jak mógł, by dokonać niemożliwego, a mianowicie od rana okiełznać dwie spragnione wrażeń starsze panie. Siedziałam przy stole i obserwowałam jego zmagania z takim zaciekawieniem, z jakim patrzyłabym na mysz krążącą wokół pułapki wypełnionej serem.

- To mówi pan, że jeszcze nie wiecie, kto zabił naszego sąsiada?

- Śledztwo jest w toku. Już pani tłumaczyłem. - W głosie podkomisarza Zakrzewskiego malowało się zmęczenie.

- Rozumiem, że w toku, ale coś już ustaliliście. Pan mi nie powie, młody człowieku, że po miesiącu od morderstwa dalej drepczecie w miejscu. Czytam kryminały, zresztą siostrzenica pisze - tu kochana ciocia wskazała na mnie - więc wiem, że musicie coś już mieć. Ślady, jakieś tropy, DNA... - Ciocia popisywała się wiedzą kryminalistyczną.

- Pani pisze kryminały?

- Niech się pan nie przejmuj. - Machnęłam lekceważąco. - To, że ja piszę, nie ma najmniejszego znaczenia. Nie zamierzam wam pomagać w prowadzeniu śledztwa - uspokoiłam go.

- Jak to nie? A my?

- Wy też nie będziecie prowadzić śledztwa. Żadnego - powiedziałam z naciskiem, chcąc odsunąć od naszej trójki, a w zasadzie czwórki, podejrzania. Jeszcze nam nieprzyjemności z policją brakowało.

- Ciekawe, dlaczego ja jeszcze żadnej pani książki nie przeczytałem.

- Przymusu nie ma - odmruknęłam.

- Niby nie ma, ale ja lubię kryminały. Mogę się pośmiać przy czytaniu. Takie tam bzdury ci autorzy wypisują... Kompletnie się nie znają na robocie operacyjnej, a mimo to piszą.

Obruszyłam się. To, że piszę kryminały, nie oznacza, że można ze mnie pić. Niewychowany się znalazł.

- Czytanie niech pan zostawi na później, gdyż teraz trzeba rozwiązać sprawę podwójnej śmierci. Moim zdaniem oba morderstwa się łączą - zasugerowała ciotka Lukrecja.

Mama milczała. Widziałam, że kalkuluje. Czyżby zastanawiała się nad ujawnieniem kawałka własnej wiedzy?

Na razie ciocia Lukrecja przejęła komisarza we władanie. Czekaliśmy na Marylkę, która musiała jeszcze coś tam dogotować czy dosmażyć, tak się jąkała przez telefon, że nie zrozumiałam, o co konkretnie chodzi. Postanowiłam osłodzić komisarzowi przesłuchanie i bez ceremonii wbiłam się w narzekania cioci na opieszałość policji. Jakbym słyszała tych z telewizora.

- Ciociu, to na pewno tajemnica - powiedziałam zdecydowanie. - Pan podkomisarz i tak niczego nam nie powie. A tak przy okazji, czego się pan napije? Kawy, herbaty, może wody mineralnej?

- A może piwo? - wyrwała się ciocia.

- Pan jest na służbie.

Komisarz uśmiechnął się półgębkiem.

- Piwo chętnie, ale w innych okolicznościach. Dzisiaj poproszę o kawę.

No proszę, jaki grzeczny! Nie bawiąc się w ceremonie, nalałam wody do garnka elektrycznego i włączyłam go. Z kuchennej szafki wyjęłam pięć różnych kubków i wsypałam po dwie łyżeczki kawy do każdego z nich.

Miałam ochotę na prawdziwego szatana.

Dzwonek zasygnalizował nadejście Serwerowni. Stała przy bramce.

Komisarz mógł zaczynać przesłuchanie. Nie zazdrościłam mu.

- Nigdy w życiu bym się tego po Romualdzie Trackim nie spodziewała. Taka cicha woda, a tu takie świństwa miał na strychu!

- Moja współpracownica w śledztwie sapnęła ze świętym oburzeniem, a ja miałam ochotę kopnąć ją w tyłek. Była tak zaaferowana opowiadaniem komisarzowi o naszej wyprawie do domku dziadka Trackiego, że nawet by nie poczuła, że jest jedna.

- I pan sobie wyobrazi, panie komisarzu, sterty tego świństwa leżały na strychu! Na pewno na handel to miał. Same gołe baby cyckami świeciły. Przecież gdyby kupował to dla siebie, to przecież nie aż tyle! Jedna, dwie gazetki jakieś tam, wiadomo jak to chłop, ale nie tyle! Zboreźnik jeden, tfu! - Spluła z rozmachem, trafiając do kawy podkomisarza.

- Weźże przestań moralizować i nie pluj! Zaraz zrobię nową kawę. - Wstałam z miejsca zadowolona, że mogę rozprostować kości. Ta najważniejsza - ogonowa - znowu dawała o sobie znać.

- Aj tam, aj tam, przesadzasz, Marylko. Chłop potrzebuje sobie popatrzeć, nie żałuj mu. I tak już nie żyje - mitygowała

ciocia.

Mama nieznacznie się poruszyła, namacała kubek z kawą i jednym haustem dopiła zimne resztki.

- Z mlekiem czy bez? - zapytałam, zalewając nową kawę dla nadal oszołomionego podkomisarza. - Ktoś jeszcze chce? Kawę, herbatę, wodę z kranu? - zażartowałam.

- Pani Marleno, czy to wszystko prawda?

- Z grubsza tak - potwierdziłam, bo co miałam robić.

- Z grubsza... A z cieńsza? - Komisarz wysilił się na dowcip.

- A z cieńsza to nie wiem, może i miał dla siebie, może miał na handel, nie grzebałyśmy się w tym. Jeszcze nie zgłupiałam na tyle, żebym miała czyjeś gołe cycki dobrowolnie oglądać. Sami musicie zobaczyć - mruknęłam, obiecując sobie, że pogadam z Marylką. Miałyśmy trzymać w tajemnicy nasze spostrzeżenia i znaleziska.

- Wiecie co, baby babami, ale nie wydaje mi się, żeby one były powodem śmierci dziadka Trackiego. Za taką drobnicę nikt nie zabija.

- A może to nie drobnica, tylko hurt? I to nie taki, jaki mamy na myśli? Może handel narkotykami, a może przerzucanie kobiet do burdeli? - Ciocia zaczynała się rozkręcać.

- Daj spokój - mruknęła mama. - Tak myślę i myślę... coś mi się tłucze z tyłu głowy. Kiedyś rozmawiałam z Romualdem. Wspominaliśmy lata osiemdziesiąte i on powiedział tak dziwnie, że jego lata osiemdziesiąte leżą na strychu. Najlepiej sprawdzić, z jakich lat są te gazety, bo może rzeczywiście to jakieś przestarzałe „Playboye” sprzed dwudziestu albo i trzydziestu lat. Ramoty.

- Może faktycznie.... Prawdę mówiąc, przez to pojawienie się samochodu męża Marylki nie dopełniłyśmy oględzin. Tytuł czasopisma i zalew trochę zakurzonej nagości zrobiły swoje. Trzeba było się pochylić, przejrzeć wszystko. Teraz nie



świeciłybyśmy oczami. - Spojrzałam z potępieniem na przygryzającą wargi Serwerownię, która uparcie milczała. Nikt nie lubi przyznawać się do błędów.

- Nie przejmuj się, bo kto nic nie robi, ten nie popełnia błędów - pocieszyła mnie ciocia i energicznie skierowała swoją uwagę na naszego gościa, który zdawał się dobrze bawić całą sytuacją. - A tak ogólnie, to co robimy? - zapytała bezpośrednio. Siedziała naprzeciw podkomisarza i nie spuszczała z niego oczu.

- Panie nie robią nic - zaproponował grzecznie. - Na razie przejdźmy do dalszej części naszej rozmowy.

- Ale na strych pójdziemy?

- Wątpię - mruknęłam pod nosem i wbiłam wzrok w Marylkę, która już doszła do siebie i nie okazując najmniejszej skruchy, pogryzała słonego paluszka.

Wszystko zbiegało się naraz. Nikt nie chciał przyznać się do znajomości z Czesławem „Brudziem” Brudzińskim. Taka ksywa figurowała w aktach.

- Panie komisarzu, przecież to niemożliwe, żeby nikt go nie znał. Tutaj w okolicy ludzie są wścibscy. Nawet pan sobie nie wyobraża jak bardzo - powiedziała Marylka i wstała od stołu. - Przez to wszystko zapomniałam o cieście - dodała, wyjaśniając, i tyle ją widzieliśmy.

- Też coś - prychnęła ciocia. - Ludzie wszędzie są ciekawi, nie tylko tutaj! Marylka też nie lepsza. Jeżeli ona czegoś nie wie, to kto ma wiedzieć?

- Ale coś jest na rzeczy - bąknął podkomisarz. - Rzeczywiście ani słowa. To samo było przy Romualdzie Trackim. W większości osobiście rozmawiałem z sąsiadami i nic z tych rozmów nie wynikało. Zupełnie jakby nikt niczego nie zauważył. - Policjant wstał z krzesła i podszedł do okna. - Ładny ogród - powiedział. - Ile tu ptaków! Jak na wsi.

- Żeby pan wiedział. A takie dziady rozbisurmanione! Siostrzenica je dokarmia, to nawet im się nie chce szukać jedzenia - powiedziała ciocia i też wstała, by zerknąć na sielski obrazek za oknem. - O, widzi pan! Woda, ziarna, a kot obok. Mają nerwy jak ze stali.

- Nie przesadzaj, Alicjo. Pan Kot nie tknąłby ptaka. Nawet na myszy nie poluje, huncwot jeden - poskarżyła się mama.

- Co was tak ugryzło, żeby z donosami latać. Pan Kot niczego nie musi robić, a myszy są inteligentne. Gdy go widzą, to idą do sąsiadów. Mnie to wystarcza..

- Sąsiadom niekoniecznie - odparowała ciocia.

- Ale myszy zostają całe - odparłam, po chwili dodając: - Ciociu, ja naprawdę nie mam morderczych skłonności. Wyżywam się tylko na laptopie. A Pan Kot po prostu ma autorytet na dzielnicy i tyle.

Z oddali dobiegło do nas trzaśnięcie bramki. Marylka wracała.

- Otworzyć ci?

- Nie, nie trzeba. Poradzę sobie - odparła, zgrabnie pokonując schody.

Po chwili w kuchni zapachniało kremem i wanilią. Marylka postawiła talerz na środku stołu i uniosła serwetkę nakrywającą ciasto.

Jej popisowe kremówki!

- Marylka, jesteś wielka! - powiedziałam z uczuciem i wzięłam się za ustawianie talerzyków. Tym razem postanowiłam zrobić kawę z ekspresu. Do kremówek taka pasowała bardziej. Nawet autorki kryminałów stać na odrobinę wyrefinowania.

Podkomisarz Marek Zakrzewski okazał się typowym mężczyzną.

- Smakuje? Jeszcze kawałeczek panu dołożę. Mężczyzna musi sobie pojeść. - Ciocia zatroszczyła się o żołądek komisarza. Dodała domyślnie: - Pewnie żona pracuje i nie piecze. Nie każdy ma takie szczęście jak mąż Marylki.

Podkomisarz skinął głową, z trudem przełykając większy kawałek francuskiego ciasta nadzianego masą budyniową.

- Skąd pani wie?

- Że żona nie piecze? Przecież to widać.

- Oj, aż tak?

- Ale my pańskiej żonie nic nie powiemy - pocieszyłam go. - Poza tym na ciasta Marylki wszyscy się rzucają, prezentując karygodny brak opanowania. Ze mną włącznie. Też nie piekę. Marylko, jesteś mistrzynią kuchni - podlizywałam się. - A teraz, skoro pojedliśmy i popiliśmy, to czas brać się do roboty.

- Proponuję, żebyśmy jednak poszli na ten strych i wyjaśnili przynajmniej jedną sprawę. Jeżeli te gazety pochodzą z minionego stulecia, możemy uznać, że to wspomnień czar i nic więcej się za tym nie kryje. Jeżeli są współczesne, zastanowimy się, w czym rzecz.

- W życiu. Sam pójde - zaprotestował podkomisarz. - Procedury nie zezwalają. Może tam są jakieś ślady?

- Procedury! Gdyby nie Lenka i Marylka, to nie wiedziałby pan, że ten strych istnieje. Trzeba było pomyśleć: jest parter, dach dwuspadowy i co, strychu nie ma? - pouczyła go ciocia.

- Ale tam nie ma wejścia na strych!

- Jak to nie ma, skoro one weszły? - zapytała mamusia, dotąd dość milcząca. - Po prostu ustalmy, że jeżeli pan z nami nie wejdzie, to my sobie poradzimy, a wam trochę czasu zejdzie na odnalezienie wjazdu. Poza tym będzie pan miał zasługi - dodała chytrze. - O nas przecież nikt nie musi wiedzieć.

Podkomisarz Marek Zakrzewski miał minę Adama kuszzonego jabłkiem przez Ewę. I chciałby, i bał się.

- Co panu zależy? My naprawdę nikomu nie powiemy. U nas jak w studnię - rzekła Marylka i z zadowoloną miną ruszyła ku wyjściu.

- Chyba nie w jedną - mruknął policjant pod nosem i głosem pełnym rezygnacji wyraził niechętną zgodę na wyprawę.

Zbliżał się październikowy wieczór, więc postanowiliśmy przełożyć wycieczkę na strych na następny dzień, nie zważając, że będzie nim sobota. Dziadkowi Trackiemu już i tak było słodko obojętnie, a podkomisarz wyglądał, jakby go ktoś walcem przejechał. Postanowiłyśmy potraktować go humanitarnie i zawlec na strych z samego rana. Zgodził się bez wahania. Wyszedł z dobrze zapakowaną porcją kremówek, by chwilę pomieszkać we własnym domu.

Myślę, że największe znaczenie miał lęk, jak się sprawy potoczą bez niego, a tak, przynajmniej teoretycznie, miał wszystko pod kontrolą.

Te cztery baby znowu węszyły i jeszcze udało się im skaptować tego małego gramotnego policjanta. Zobaczył, jak wychodzą z bramki domu Zawilskich, robiąc okolicznościowy tłumek, by potem ustawić się parami i rozprawiając o czymś, przemieścić się do domu Romualda Trackiego. Wścibski i zachłanny staruch nie dawał im spokoju i trzeba było znaleźć ostateczne rozwiązanie. Policja powinna szybko umorzyć postępowanie z powodu braku sprawców. Kto powiedział, że dziadek sam sobie nie mógł wbić noża w plecy i ostatnim wysiłkiem ów nóż wyjąć, a następnie go wyrzucić? Albo ten kurier! Mógł podnieść nóż i przywiązać się do niego, bo na przykład zawsze marzył o własnym nożu do otwierania kopert. Mógł? Oczywiście że mógł.

Mężczyzna potrząsnął głową z ubolewaniem nad niedostatkami wyobraźni u funkcjonariuszy policji i zasunął szybę w samochodzie. Najwyższy czas, by zmienić lokalizację.

Józeczek z przerażeniem myślał o powrocie teściowej z sanatorium. Dwa miesiące spokoju. Za drugi turnus zapłacił z własnej kieszeni i jeszcze dołożył na atrakcje specjalne. Owe dwa wydarte niebiosom miesiące upłynęły jak z bicia strzelił i dzisiaj musiał jechać do Ustronia po starszą panią. Wybierał się jak sójka za morze, chcąc oddalić od siebie godzinę spotkania. Całe szczęście, że żona zaraz po ósmej poszła do pracy. W soboty otwierała wcześniej. Wyobrażał sobie, co usłyszy. Teściowa już wczoraj spakowała walizki, żeby dziś mieć czas na pożegnanie ze wszystkimi. Podobno z niektórymi osobami żyła się bardziej, niż można było przypuszczać. Teściowa Józeczka miała siedemdziesiąt dziewięć lat i należała do tych, którzy lubią korzystać z przyjemności, stąd brak oporów z jej strony przed pozostaniem w sanatorium dłużej, niż pierwotnie zakładała. Skoro Józeczek płacił, a ona nie musiała niczego robić, to tylko korzystać.

Nie ma co zwlekać, tylko trzeba odpalić silnik i jechać, pomyślał znękany mężczyzna. I jeszcze ta niespodzianka... Teściowa niestety przebąkiwała, że szczęście się do niej w końcu uśmiechnęło. Czyżby wygrała w totka? W aż takie szczęście to jednak Józeczek nie wierzył. Coś jednak się musiało za słowami teściowej kryć. Bał się nawet pomyśleć co. Trudno, niech się dzieje wola nieba.

Józeczek pozamykał dom. Sprawdził wszystkie okna i szarpnął za klamkę w drzwiach. Te ostatnie morderstwa miały wpływ na jego przesadną ostrożność. Wsiadł do samochodu i by uniknąć rozterek, od razu nadepnął na gaz. Ledwo wyrobił na zakręcie. Jakiś osioł odjeżdżał spod domu sąsiadów i nawet się nie rozejrzył.

Był pewien, że to ktoś obcy. Po ostatnich awanturach nikt miejscowy nie zostawiał samochodu blisko zakrętu. Marylka była wyczulona na łamanie przepisów drogowych, a nikt o zdrowych zmysłach nie chciał się jej narazić.

Tyle nam z nieboszczyka na brzegu pola przyszło, że ekipa komisarza Zakrzewskiego przeczesła i przekopała cały brzeg w poszukiwaniu dowodów. Teraz wystarczyło powyrywać pleniące się po bokach pokrzywy, wygładzić przekopany teren, i gotowe. Pod wodzą ciotki Lukrecji kontynuowałyśmy porządkowanie ogrodu. Mama wywlokła ze szklarni kosiarkę i zajmowała się podłączaniem kabli. Ambitnie postanowiła, że rozpocznie koszenie od tylnej części ogrodu. Zazwyczaj wjazd wraz z ogródkiem przed domem był pierwszy, ale to się mściło i często pogoda nie pozwalała na kontynuację prac. Tył ogrodu zarastał. Teraz też był zapuszczony i dlatego postanowiłam, że zanim zajmę się wyrywaniem traw od strony Józeczków - ponoć Józeczek właśnie dzisiaj miał przywieźć upiorną teściową - powyrywam je z tyłu, żeby mamie było łatwiej kosić. Włożyłam moje ukochane rękawiczki ochronne i przystąpiłam do pracy. Z daleka dochodziły do mnie strzępki rozmowy mamy z ciotką, która oczywiście wiedziała lepiej, jak kosić nasz ogród. Miałam tylko nadzieję, że dziewczyny się jakoś dogadają.

Wizyta na strychu dziadka Trackiego zakończyła się fiaskiem. Ale miałyśmy odrobinę zabawy, co było nie do pogardzenia.

Wyrywałam badyle, rzucając je na rosnącą stertę, wokół której dreptał nieco zaaferowany Pan Kot. Przypuszczałam, że jest to wstępne dreptanie przed zabawą z myszami. Nigdy nie widziałam, by Pan Kot zniżył się do konsumpcji swoich towarzyszek zabawy, ale tak naprawdę pewności nie miałam. Ale skoro do tej pory towarzystwo się dogadywało, to nic mi do tego. Pan Kot znudzony samotnością powoli oddalił się w kierunku krzaków forsycji, a ja przypominałam sobie minę podkomisarza na widok wejścia na strych. Dziadek mieszkał w domu, który sam wybudował. Chyba to budowanie niezbyt dobrze mu szło, bo przez wiele lat na strych wchodziło się po schodach z kuchni. Tak, tak, pani Tracka zawsze przeżywała, że

staremu pomyliły się pomieszczenia i zamiast z sieni wejście na strych wyprowadził z kuchni. Aż tu któregoś dnia schody zniknęły. Dziadek był na etapie wybląganego przez żonę remontu. Postanowił coś zrobić ze schodami, które nie dodawały mu chwały. Zdemontował je, a w zamian skonstruował składaną drabinkę chowaną do środka. Od strony kuchni zamontował płyty gipsowe. Pomalował je na biało i w ten sposób zatarał ślady strychu. Żeby się haczyk do otwierania klapy nie marnował, żona dziadka Trackiego powiesiła na nim paprotkę. I tak już zostało. Jeżeli ktoś nie znał historii porażki budowlanej dziadka, to trudno byłoby mu trafić.

Myśmy wiedziały, więc miałyśmy łatwiej. Wiedza pochodziła jeszcze z czasów, gdy żona dziadka Trackiego żyła i utrzymywała dobre stosunki z prawie wszystkimi sąsiadami. Z Marylką była zaprzyjaźniona na bazie wspólnego zamięłowania do obserwacji życia sąsiadów i często wpadała do niej na kawę. Zdarzało się też, że zapraszała ją do siebie, nie przejmując się zbyt niechęcią męża. Dziadek Tracki zawsze miał cechy odludka.

Zdjęłyśmy z haka doniczkę z wyschniętą już paprotką. Odstawiłyśmy ją na stół. Marylka pogrzebaczem zahaczyła o hak, szarpnęła go, i policjant ze zdziwieniem ujrzał, że wejście na strych staje otworem.

Nic nie zmieniło się w środku od czasu, gdy wybrałyśmy się tam razem z Marylką. Kurz, brud i brak jakichkolwiek śladów. Dziadek Tracki chyba rzadko wchodził na swój strych, uznając, że tam jest miejsce na magazyn wspomnień. Pisemek dla spragnionych erotyki mężczyzn było rzeczywiście sporo. I to erotyki w wydaniu z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych minionego stulecia, gdy na widok takich obrazków każdy facet się ślinił i był gotów zapłacić za nie sporą gotówkę. Poza tym – o ile pamiętam – w tamtych latach posiadanie takich magazynów było nielegalne. Nie tak jak teraz, kiedy można iść i

kupić w pierwszym lepszym kiosku wszystko, czego dusza zapagnie

- Miałaś, mamuś, rację - powiedziałam, przeglądając zawartość strychu. - Rzeczywiście tu leży młodość dziadka Trackiego. Popatrz, w ogóle nie zwróciliśmy na to uwagi, a przecież gołe cycki kiedyś a teraz to różnica.

- Ale znowu nie taka wielka. Nie skojarzyłyście po prostu - usprawiedliwiła nas mama i oddaliła się na przeciwległą stronę strychu, by sprawdzić, czy nie znajdzie tam czegoś interesującego.

- Panie Marku, ile Romuald Tracki tak naprawdę miał lat? - zapytałam wpatrzona w jedno z pisemek podkomisarza.

Ciocia Lukrecja podeszła do niego i wyjęła mu je z ręki.

- No już, już. Wystarczy. Popatrz pan sobie potem, te baby są już stare.

- Jakie stare? - obruszył się.

- Przecież to było ponad trzydzieści lat temu, to teraz są stare - uzmysłowiła mu. - Stare i pomarszczone. Niech pan sobie wyobrazi tę babkę. - Ciocia stuknęła palcem w zdjęcie. - Taką starą i pomarszczoną. I co?

- I nic. - Podkomisarz z rezygnacją odłożył pisemko na bok. - Chyba rzeczywiście nic tu po nas. Za przeterminowany towar nikt nie zabija. Gdyby to było te trzydzieści lat temu, to rozumiem, ale teraz... - Wzruszył ramionami, dając tym samym wyraz swoim wątpliwościom. - Nic tu po nas. Widać, że od lat nikt tu nie wchodził.

- Ile dziadek miał lat? - powtórzyłam pytanie.

Podkomisarz Zakrzewski zachowywał się tak, jakby nie dosłyszał.

- Lat? Stary już był.

- Ale ile konkretnie? Stary to rzecz względna. Jeden jest stary, gdy ma trzydzieści, a drugiego po sześćdziesiątce można



wziąć za młodzieniaszka. Kwestia natury i temperamentu, a mnie chodzi o metrykę.

Marek Zakrzewski popatrzył na mnie bezradnie.

- Ja naprawdę nie pamiętam, ile on miał lat.

- Kogo rozliczacie? - Mamusia, bardzo zadowolona, wycierała ręce z kurzu w złachaną spódnicę. - Nic tam nie ma, tylko kurzu na pół metra - poinformowała nas.

- Nie rozliczamy, zastanawiam się, ile lat miał dziadek Tracki. Od zawsze był dziadkiem, ale tak liczę, że gdyby w chwili śmierci miał osiemdziesiątkę, to trzydzieści lat temu miałby pięćdziesiąt - zastanowiłam się. - Ale i tak niczego to nam nie daje. Żaden trop.

Mama z zastanowieniem pokręciła głową.

- Alu, ty lepiej będziesz wiedziała, bo o ile pamiętam, chodziliście do tej samej szkoły.

- I co z tego? - burknęła nagle zmarkotniała ciocia.

- A to z tego, że różnica była między wami niewielka. Ty byłaś starsza czy on?

Uśmiechnęłam się w duchu na takie postawienie pytania. Ciocia Lukrecja w życiu się nie przyzna, że była starsza od dziadka Trackiego.

- Już nie pamiętam, ale Romuald miał tak około siedemdziesięciu pięciu lat, może czterech.

- A nie sześciu?

- Nie przesadzaj! - zdenerwowała się ciocia.

- W porządku, komisarz sprawdzi. - Dolałam oliwy do ognia. Podkomisarz Zakrzewski starał się nawet nie oddychać, tak było słycać parującą z cioci Lukrecji wściekłość. Całe szczęście, że Marylka przyszła z odsieczą.

- W sumie nie ma tego złego. Przynajmniej jeden motyw możemy wykluczyć - podsumowała beztrwosko i skierowała się w stronę otworu prowadzącego w dół.

- Panie niczego nie będą wykluczać. - Podkomisarz wykazał się refleksem. - Ale - dodał - dziękuję za informacje. Rzeczywiście, jeden motyw śmierci możemy wykluczyć.

- To macie inne motywy? - zapytała ciocia, która już odzyskała rezon.

- W zasadzie...

- W zasadzie tak czy w zasadzie nie? - nie ustępowała.

- Ależ pani jest nieznośna - zdenerwował się policjant i ruszył za Marylką.

- Nie nieznośna, tylko dociekliwa - sprostowała mamusia i też się udała w stronę wyjścia. Ta warstwa kurzu działała na nią przytłaczająco. - Dociekliwość to zaleta, nie wada - pouczyła.

- To jak jest z tymi motywami? - dopytywała ciocia.

- W sumie to nie mamy zbyt wiele - westchnął podkomisarz i dodał ciszej: - Ale to tak między nami. Jakby się mnie ktoś pytał, to się wyprę, że cokolwiek mówiłem.

- Aj tam, aj tam, dorosły człowiek a się boi. Pomożemy panu - pocieszyła go Marylka tonem cioci Lukrecji i zniknęła w otworze wjazdu.

Mina podkomisarza - bezcenna. Nawet teraz chciało mi się śmiać na wspomnienie tamtej sytuacji. Biedny podkomisarz Zakrzewski. A swoją drogą, to całkiem przyjemny z niego człowiek, tylko taki mało odporny.

Mama podjechała kosiarką do samego tyłu i teraz wlokła za sobą taczkę na trawę i grabie. Zarzuciłam wrywanie i podeszłam po grabie, żeby zgarnąć to, co wyrwałam.

- Mogę wziąć na chwilę?

- Jasne, bierz, mnie to teraz nie jest potrzebne. O, dużo zrobiłaś - ucieszyła się mama.

- A jakoś tak poszło. Ziemia nawilgła, więc dobrze się wrywa - odpowiedziałam i wzięłam się za grabienie. Po chwili

mogłam już pakować wyrwaną trawę do taczki i wywieźć ją do doliny.

- A weź jeszcze stąd. - Mama wskazała na kupkę trawy osłoniętą krzewem róż.

- Rzeczywiście, tam zaczęłam wyrywać wtedy, gdy znalazłyśmy nieboszczyka. Kompletnie o tym zapomniałam. Zaraz załaduję.

Podjechałam taczką nieco bliżej i nadziałam kupkę trawy na grabie. Chciałam porządnie zebrać te smętne resztki. W promieniach bladego słońca coś mi błysnęło przed oczami.

- Czekaj, czekaj! - Błysnęło nie tylko mnie. Mama już schyliła się nad zielonymi resztkami trawnika, wśród których leżał nóż, a w zasadzie nożyk. Niewielki. Coś mi przypominał.

- To przecież jest niemożliwe - szepnęłam z rozpaczą. - Uszczypnij mnie albo zrób coś, bo wydaje mi się, że śnię - poprosiłam mamę.

- A wy tam co? Dlaczego nic nie robicie? - Ciocia dźwigała kosz wypełniony trawą.

- Alicjo, ile razy mam ci powtarzać? Zostaw tę trawę. Potem zwieziemy ją taczką - zdenerwowała się mama i jednym ciągiem dodała: - Lenka znalazła nóż.

- I co z tego, nie ona jedna.

- Ciocia też znalazła nóż? - zdziwiłam się.

- A nie, ja nie, ale ciągle ktoś coś znajduje. Nie ma nad czym wydziwiać.

- Nie ma, nie ma, łatwo ci mówić, a nie pomyślałaś, że to może być narzędzie zbrodni? - zirytowała się mama. - Dziecko, co ci jest? Przecież widzę, że coś nie gra - zwróciła się do mnie.

Otrząsnęłam się. Mój brak opanowania kiedyś mnie zgubi.

- Rzeczywiście, chyba znowu musimy zadzwonić do podkomisarza. Chyba mamy narzędzie zbrodni. - Starłam się mówić normalnie.

- Widziałaś już gdzieś ten nóż? - Mama trafiła w sedno.

Zawahałam się, ale co szkodziło powiedzieć?

- W sumie...

- No wyduś z siebie!

- Tak naprawdę to ten nóż, a w zasadzie to jest chyba kordzik, wygląda identycznie jak ten, którym Przyszły Morderca chciał zabić Przyszłego Denata, tylko mu nie wyszło.

*Identico!*

- To znaczy, że ty miałaś taki nóż i ktoś ci go ukradł? - dociekała ciocia.

- Nie, ciociu. Inaczej. Ja sobie taki nóż wymyśliłam - wyznałam odważnie, wiedząc, co mnie czeka. I nie pomyliłam się.

- Wiedziałam, że z tego twojego pisania nic dobrego nie wyniknie, ale żeby wymyślić nóż, którym kogoś naprawdę zabito! To już przekracza nawet moją wyobraźnię! - krzyknęła ciocia. Dodała jednak nieco łagodniej: - Dzwonń szybko do naszego policjanta. Niech zabiera to narzędzie zbrodni.

- Nie wiadomo, czy to jest narzędzie zbrodni - zaprotestowała mama słabo.

- A co to może być?

- No już dobrze, dzwoniemy. - Sięgnęłam do kieszeni i wydobyłam z niej telefon. - Ale o tym, że wymyśliłam takie narzędzie zbrodni, ani słowa - dodałam i spojrzałam na dziewczyny dość groźnie.

- Oczywiście, przecież to nie należy do tematu - oznajmiła mama. - Prawda, Alicjo? - zapytała.

- Ściśle tajne - przyświadczyła ciocia i dodała: - Ale musimy się zastanowić, dlaczego opisałaś akurat taki, a nie inny nóż. Czyżby zadziałała twoja podświadomość?

- Jaka podświadomość?

- Twoja podświadomość. Na zasadzie, że kiedyś gdzieś widziałaś taki nóż i teraz go opisałaś - wyjaśniła ciocia.

- Ale... - Miałam opory przed przyznaniem racji cioci.

- Ale, ale! Potem się zastanowisz, a teraz dzwoń - nakazała mama, a ja nie zwlekając, wyszukałam w spisie połączeń nazwisko podkomisarza, z którym rozstałyśmy się kilka godzin temu.

Chyba się nie ucieszył. Chociaż kto go tam wie.

Pan Kot dostojnie obszedł fragment nieco łysej ziemi. Było wiadomo, że pod stertą wyrwanych traw nic nie będzie rosło i teraz wystarczyło ten kawałek skopać i posadzić na nim kwiaty. Albo może jakiś krzaczek pożyteczny, który mógłby obsikiwać. Na przykład bukszpan. Pan Kot rozmarzył się, dryfując myślami w kierunku świeżo posadzonych krzaczków, wprawdzie nie bukszpanu, ale wrzosów. Tam, gdzie dopiero niedawno dziewczyny odnalazły tego mało świeżego nieboszczyka.

- No dalej, dzwoń. Czego ci się tak łapy trzęsą? - skomentował szarpaninę młodszej pani. - Weźże, kobieto, i skup się, niech się wreszcie skończą te zakłócenia i niespodziewane wizyty. I łażenie po cudzych ogrodach.

Pan Kot lubił ruch w interesie, ale co przesada, to przesada. Dzisiaj nawet nie zdążyły go wygłaskać. On się tak nie bawi. Przystanął koło kolan młodszej pani i okręcił się wokół jej łydek, nie doczekawszy się reakcji. No ileż można gadać do tego pułda! Wspiął się na tylne łapy, przednie wczepiwszy w materiał jej spodni. Nie można zaniedbywać jedyne go mężczyzny w rodzinie.

Jerzy Rosół niecierpliwił się. Za jakie grzechy trafiła mu się tak niezdecydowana autorka! Owszem, mógł zrozumieć jej konsternację, gdy wszystko zaczęło się rozjeżdżać i nastąpiła

podmiana ról, ale czas mijał i powinna się kobieta na coś zdecydować, a nie trzymać go w niepewności pomiędzy w miarę wygodną kwaterą a natychmiastowym zniknięciem z miejsca przestępstwa. Jeżeli ona czegoś nie wymyśli, to będzie musiał wkroczyć do akcji i sam postanowić, co będzie dalej.

*Dziennikarz pozbiierał rozsiane po całym pokoju gatki i inne części garderoby, rzucił wszystko na jedną stertę, z szafy wyjął grzałkę i rozejrzał się za garnczkiem do gotowania wody. Garnuszek stał jak byk na parapecie, więc wziął go i poszedł do łazienki. Musiał zacząć myśleć, a do tego kawa była mu niezbędna. Na nikogo już nie można liczyć!*

*Rozejrzał się za notebookiem. Powinien gdzieś leżeć. Po dłuższej chwili skojarzył, że nie musi szukać, gdyż notebook cały czas był w plecaku. Właśnie dlatego go kupił zamiast wypasionych laptopów za ciężkie pieniądze. Mały, lekki, zgrabny, jedenaście cali w przekroju, całkowicie mu wystarczał do robienia notatek w czasie podróży i korzystania z internetu wtedy, kiedy trzeba. Cały czas nosił go ze sobą. Szczęście w nieszczęściu. Nie byłoby dobrze, gdyby informacje, które posiadał, dostały się w niepowołane ręce. Zastanawiał się, dlaczego o włamywaczach myśli w liczbie mnogiej, skoro napastnik, prezes korporacji Anex, był jeden. Szczerze wątpił, czy ten człowiek dzielił się swoją wiedzą na jego temat z kimkolwiek. To była rozgrywka między nimi. Chociaż... Nadal miał w pamięci tamtą rozmowę, która sprowokowała go do działania. Dlaczego był tak głupi!? Co go podkusiło?!*

*Teraz, po śmierci szefa, ktoś będzie musiał w Anexie przejąć pałeczkę. Żona albo ktoś z zarządu. To się rozstrzygnie w kraju. Wiedza, którą zgromadził,*

*dotyczyła nie tylko właściciela firmy, ale także licznych działań związanych z firmą. Powinien nadal dążyć do wyjaśnienia ich i wyciągnięcia na światło dzienne całej prawdy.*

*Dziennikarz należał do tradycjonalistów. Aby poukładać te kawałki łamigłówki, w którą wdepnął, musiał sobie rozpisać zdarzenia i zastanowić się, co dalej.*

Autorka miała inne sprawy na głowie.

Komisarz zarekwirował kordzik, przyglądając się nam ze wzmożoną podejrzliwością. Jak to tak? Znaleziony? Tak sam z siebie? Nie, nie w trawie, a pod kopczykiem usypanym z wyrwanej darni. Musiał już wcześniej tam leżeć. To jest dość oddalone od domu miejsce z tyłu ogrodu, przy krzewach pnących róż anektujących każdą wolną przestrzeń. Gdybym teraz nie zabrała się za porządkowanie, to spokojnie mógł przeleżeć przez całą zimę, w zasadzie do wiosny.

- Ale skąd pomysł, że to narzędzie zbrodni? - Komisarz miał wątpliwości.

- A stąd, że to nie nasz nóż. W życiu niczego podobnego nie miałyśmy - oświadczyła mama stanowczo, a ciocia dołożyła swoje:

- Bierze go pan czy nie? Bo jeżeli nie, to znalezione niekradzione. Umyjemy go i włożymy do szuflady.

- Jak to umyjemy?! Najpierw trzeba zbadać materiał dowodowy! Może są tu plamy krwi. Porównamy... - Podkomisarz Marek Zakrzewski poczuł, że sobie z nami nie poradzi. Postanowiłam mu pomóc.

- Ciocia tak tylko straszy... Niech pan to zabiera z naszego ogrodu! Tylko jakieś pokwitowanie by się przydało - rzuciłam kąśliwie. - Zdążyliśmy już się nacieszyć tym znaleziskiem. Ale -

zastrzegłam – gdy tylko pan się czegoś dowie, to zapraszamy na kawę. Marylka upiecze sernik, a lepszego to pan jeszcze w życiu nie jadł! – kusiłam z premedytacją.

– I nie zje, jeśli będzie za mocno tajniaczył – dodała ciocia i familiarnie poklepała mężczyznę po plecach. – My tu mamy jeszcze dużo pracy. A pan musi przebadać potencjalne narzędzie zbrodni. Z wynikami zapraszamy do nas. – Pchnęła go lekko, nakierowując do wyjścia.

Był to pokaz kompletnego braku wychowania i ogłady. Podkomisarz na pewno jeszcze do nas zajrzy. Już to widzę!

W końcu nadeszła zapowiadana złota jesień. Ładna pogoda miała się utrzymać do końca października, a nawet do któregoś tam listopada. Była to całkiem miła rekompensata za deszczową i zimną końcówkę lata. Przymrozki swoje odpracowały pod koniec września, a czyste niebo zachęcało do wyjścia z domu i uprawiania sportów ogródkowych.

Tak naprawdę to ciocia Lukrecja nie potrzebowała nijakiej zachęty, by od samego rana doprowadzać do porządku nasz totalnie zaniedbany ogród. Pod jej energicznym nadzorem robota szła nam dwa razy szybciej i zaczynałam się zastanawiać, czy czasem podświadomie z mamusią nie działamy na zasadzie: im szybciej wypielimy ogród, tym szybciej ciocia dojdzie do wniosku, że jest potrzebna na innym froncie. Nic z tego. Na porządki czekał jeszcze strych i zaniedbana przez ostatnie trzydzieści lat piwnica, a ciocia twierdziła, że już od dawna tak dobrze się nie czuła, jak tu u nas.

Marylka przyniosła orzechy. Były duże, pękate, jeszcze wilgotne, z powleczonym cieniutką skórką miąższem. Odpracowawszy swoje, usiadłyśmy za kuchennym stołem, czekając, aż ciocia Lukrecja dokończy wieczorne ablucje. Ciocia należała do tych mile systematycznych osób, które nie



zaskakują wybrykami, choć pomysłowości nie można jej było odmówić. Prowadziła boleśnie nudny tryb życia. Według jej codziennego rozkładu dnia można ustawiać zegarki. Zupełnie jak przed wojną według rozkładu jazdy pociągów.

Z szuflady z narzędziami wyjęłam klucz francuski, który jest doskonałym narzędziem do rozłupywania orzechów, a obok niego ustawiłam kartonik po herbacie, nader przydatny do gromadzenia łupin. Mamusia rozwiązywała krzyżówkę, czekając na ciocię, a Serwerownia czyniła zapiski w swoim tajnym notesie. Przygotowywałam kanapki, dyskretnie podając Panu Kotu skrawki wędliny. Pan Kot już zdążył się przyzwyczać do obecności cioci i wrócił do dawnych zwyczajów. Stał na okiennym parapecie i zwieszał wąsy nad krojoną przeze mnie kiełbasą. Nikomu to nie przeszkadzało. I tak był czystszy od wielu znanych mi osób.

Usłyszałam, że ciocia zakręca już kurek z ciepłą wodą, więc delikatnie przestawiłam Pana Kota w odleglejsze miejsce, nie chcąc zaczynać naszego zebrania od awantury o kota w domu. Przyozdobiłam kanapki pomidorem i sałatą. Miały być tradycyjne, bez żadnych nowomodnych piprów za ciężkie pieniądze.

- To co, dziewczyny, zaczynamy? - zapytała ciocia, wchodząc do kuchni w momencie, gdy rozkładałam talerze na stole.

- O nie, nie. Najpierw kolacja, a dopiero potem przyjemności. Ciągle słyszę, że aby zdrowo spać i funkcjonować, trzeba zjeść kolację do osiemnastej, a już w pół do siódmej. Według mnie to zbyt wcześnie, ale dlaczego nie spróbować? Poza tym nie wiem jak wy, ale ja na głodniaka nie umiem myśleć - powiedziałam stanowczo.

Wiedziałam, że i tak około jedenastej w nocy rzucę się do lodówki, ale teraz byłam bardzo głodna i musiałam uzupełnić kalorie. Po kolacji miałyśmy łupać włoskie orzechy i analizować fakty, a potem wyciągać wnioski z przeprowadzonych rozmów.

- My o tej porze najczęściej dopiero jemy późny obiad - przyznała Marylka, odrywając się od notesika.

- Nie tylko wy. - Mama przytaknęła ucieszona. - Przecież w krajach południowych jada się jeszcze później. W dzisiejszych czasach ludzie są zapracowani. Dopiero wieczorem mają szansę spotkać się przy stole i zjeść wspólny posiłek.

- Właśnie. Kolację - zagrzmiała ciocia Lukrecja.

- Co ty opowiadasz, moja droga! Jaką kolację? Oni wieczorem jedzą późny obiad. To nie te czasy, że kończyło się pracę o piętnastej, a kto bardziej obrotny, to i po czternastej już zwiewał z biura i garnki na kuchence stawiał. A małżonek o pół do czwartej meldował się u drzwi i chciał świeżych ziemniaków z koperkiem. Albo i bez.

- Żebyś wiedziała! Jędrus mój, świętej pamięci nieboszczyk mąż, uwielbiał ziemniaczki z koperkiem. Najbardziej to takie młode, z masłem roztapiającym się na złoto. Nie nazbyt gorące. Ciepłe.

- À propos ciepłego - przerwałam tę arcyciekawą opowieść.  
- Kto ma chęć na herbatę?

- Zrób w termosie - poradziła Marylka, nie odrywając oczu od cioci Lukrecji.

Mama nałożyła sobie kanapkę na talerz. Ja również zaczęłam jeść. Tak było zawsze. Klasyczny przykład zderzenia tradycji z nowoczesnością. Jeżeli ciocia Lukrecja optowała za śniadaniem o siódmej rano, to mamusia twierdziła, że pierwszy posiłek powinno się jeść zdecydowanie później, i życzyła sobie jajecznicę z dwóch jaj na dziewiątą. Wprawdzie ostatnio panował rozejm z racji wspólnej walki na froncie ogródkowym, ale jak wiadomo, nic nie trwa wiecznie. Wyjęłam żółty termos z szafki, rozkręciłam go i wypłukałam. Rzeczy stojące w szafkach mają to do siebie, że lubią się kurzyć. Wrzuciłam do niego saszetkę herbaty, zalałam ją wrzątkiem i zakręciłam naczynie. Niech się zaparzy. Postawiłam termos na blacie przy kuchence

gazowej. Wiadomo było, że zaraz rozłożymy się z papierami i będziemy musiały wszystko zebrać ze stołu.

- To co, zaczynamy? - Mama spostrzegła, że szykuję blok w kratkę i długopis.

- Przecież widzisz. Już tak nie celebrujcie tej chwili. Przecież nie pierwszy raz musisz ustalić kolejność zdarzeń. - Ciozia zwróciła się do mnie.

Zastanowiłam się, co mogę jej odpowiedzieć. Wiedziałam, że wszystko, co powiem, może być użyte przeciwko mnie.

- Cóż... Teoretycznie tak, ale w praktyce robię to po raz pierwszy.

- Ale przecież już... - Marylka zaczęła się niebezpiecznie jękać.

- Co było, a nie jest... - ukróciłam jej naganną próbę przypomnienia, że niedawno usiłowałyśmy przelać na papier domniemaną kolejność zdarzeń. Po minie poznałam, że w porę się zorientowała i nie zamierza kontynuować.

- Gotowe do boju?

- Jak jeden mąż - odpowiedziała ciocia i wszystkie parsknęłyśmy pełnym ulgi śmiechem. Jak na komendę.

- Marylko, ty opowiadaj, a Lenka będzie notować. - Mama rozdysponowała zadania. - Może coś się nam z tego urodzi.

Marylka poprawiła się na krześle, wygodnie opierając łokcie na stole.

Otworzyłam brulion w kratkę i wzięłam do ręki ulubiony długopis. Jako że lubię porządek, wpisałam do pierwszej kratki cyfrę jeden i czekałam na to, co powie Marylka, choć doskonale znałam przebieg zdarzeń. Sąsiadka zaś milczała jak zaklęta.

- Powiedz coś - ponagliłam ją niedelikatnie.

- Bo wiecie... - Serwerownia wróciła do rzeczywistości. - Zastanawiam się, co było pierwsze i czy to się nie łączy.

- To znaczy? Sprecyzuj. - Mamusia wbiła w nią spojrzenie pełne znaków zapytania.

- Pamiętasz to morderstwo Jadzi, waszej kucharki, i sugestię twojego kolegi, że zamordował ją nasz nowy sąsiad Jerzy Wiecha-Wiechejski, ten emeryt od zameczku? - wyrzuciła jednym tchem. - Gdyby to się łączyło z tymi morderstwami, to ta Jadzia byłaby pierwszą ofiarą.

Niewtajemniczone domownicy siedziały jak skamieniałe. Pierwsza ocknęła się mamusia.

- A dlaczego ja nic o tym nie wiem? Jakiej kucharki? To jeszcze kogoś zamordowano?

- Kto teraz morduje kucharki? - zawtórowała ciocia.

- A kiedyś to zastępy kucharek padały trupem? Chyba na serce. Przy czytaniu tych ckliwych przedwojennych romansideł - odparłam zgryźliwie.

Serwerownia już wiedziała, że popełniła błąd, i rzucała mi pełne współczucia spojrzenie. Nie było innego wyjścia. Musiałam wtajemniczyć rodzinę w to, co zdarzyło się trzydzieści pięć lat temu na dziedzińcu szkoły.

- Do dziś nie wiem, kim był morderca pani Jadzi. Pamiętam jak dziś tamten moment, gdy ją ścisnął, i naszą pełną paniki ucieczkę. Ja jednak go nie widziałam! Bez okularów byłam ślepa jak kret, a on stał do nas tyłem. Wszystko działo się o zmierzchu. A w ogóle, jak to możliwe, że mogłam się spotykać z Gieniem o ósmej wieczór, wracać o dwudziestej trzeciej i nikt nie zawracał sobie tym głowy - zwróciłam się do mamusi z wyraźną pretensją. - Teraz to rodzice dużo bardziej się troszczą o dzieci.

- Nadopiekuńczy są, a poza tym mają komórki, więc wydzwaniamą - rzekła mama niewzruszenie i popatrzyła na mnie z politowaniem. - Chciałabyś, żebym tak cię śledziła i nadzorowała każdy twój krok? Przecież wyrosłaś na ludzi.

- A tego akurat to jeszcze nie wiemy. Bez zająknięcia bierze i morduje - mruknęła ciocia z dezaprobatą.

- Alicjo! Przecież nie morduje w rzeczywistości, a to oznacza, że wyrosła na ludzi. Jako matka mam coś do powiedzenia!

- A kto was tam wie.

Zniecierpliwiałam się i postanowiłam przywołać je do rzeczywistości.

- Wróćmy do meritum, potem będziecie się spierać o moje wychowanie. Pamiętam, że wtedy, przed apelem, na szkolnym korytarzu Gieniu pokazał mi jednego faceta. Podobno to on zamordował panią Jadzię. Potem się okazało, że to nowy nauczyciel. Pamiętasz, mamuś, jak pani od fizyki dostała ataku nerwowego po wybrykach Nowackiego? Tego przerośniętego. Biedaczka tuż przed końcem roku szkolnego znalazła się w szpitalu - zwróciłam się wprost do mamy. - Ten nowy fizyk nazywał się Pniewczyk, a nie żaden Wiechejski. Ukrywałam się przed nim i nawet się dziwiłam, że mnie nie rozpoznał. A teraz Gieniu twierdzi, że nasz sąsiad z końca ulicy to on. I do tego utrzymuje, że ów morderca aktualnie na niego poluje.

- A nie cierpi ten twój kolega na manię prześladowczą? - zapytała żartobliwie ciocia.

- Nie mam pojęcia. Słodki jest dziwny. Ale proponowałabym jednak zacząć od właściwego początku, czyli od morderstwa dziadka Trackiego. - Wpisałam odkrycie zwłok dziadka pod numerem pierwszym i kontynuowałam: - Marylko, zaraz potem był pożar stodoły braci Gibkich, tak?

- Tak, masz rację. Następnie mamy tego Czesława Brudzińskiego. Trzy różne niepowiązane ze sobą zdarzenia. I jeszcze - Marylka rzuciła mi krótkie spojrzenie - ta wizyta...

Machnęłam ręką, by ją uciszyć.

- A cóż ty się tak odganasz? Muchy już śpią. - Mamusia zachowała czujność.

- A tak mi coś przed nosem lata.

- Czyżby mole?

- A nie, nic z tych rzeczy. Pewnie mam brudne okulary - wymyślałam coś na poczekaniu. - Przecież sama mówiłaś, że już po molach, bo one urzędują od marca do lipca - przypomniałam asertywnie.

- Mówiłaś, mówiłaś, ale pewności nie ma. Zawsze się może znaleźć jakiś podróżnik, który po prostu zasnął. - Mama, nie dowierzając mi, rozglądała się po kuchni. Usiłowała zlokalizować nieszczęsnego mola, wytwór naszej wspólnej wyobraźni.

- O czym wy mówicie? Skupcie się na jednym! - Ciocia Lukrecja stanowczo przywołała nas do porządku. - Ciekawe, dlaczego nie widzicie związku.

- Między molami czy wydarzeniami? - Serwerownia była wyraźnie zdezorientowana.

- Przecież z tobą to się wszystko wiąże, Marlenko! - Ciocia wycelowała we mnie palec wskazujący.

Zdębiałam.

- Dlaczego ze mną?

- Bo tak mi pasuje!

Masz babo placek... Cioci pasuje i już.

- Ciociu, ale ja nie mogę być motywem! W ten sposób nigdy do niczego nie dojdziemy. Spróbujmy scharakteryzować trzy zdarzenia. Po pierwsze o dziadku Trackim w sumie wiemy mało. Po śmierci żony nie był zbyt towarzyski, przed śmiercią zresztą też. Większość czasu spędzał w domu. Rano wychodził po zakupy, potem odbierał pocztę. Czasami pokłócił się z którymś z sąsiadów. Jednym słowem, wiódł normalne życie zgryźliwego i samotnego staruszka. Tyle wiem - podsumowałam. Spojrzałam na zgromadzone przy stole kobiety.

Marylka poruszyła się niepewnie. – Wiesz o czymś jeszcze? Znasz tajne ploteczki? – dociekałam.

– No cóż... To wersja oficjalna dziadka Trackiego, ale... – Serwerownia zawahała się – ale tak naprawdę to dawał popalić. Był złośliwy i potrafił nieźle dokuczyć. A jak czasem coś powiedział... No, nie podam przykładu, chociaż nie mam nic do ukrycia. Więc jak czasem coś powiedział, to robiło mi się nieprzyjemnie. Tak jakby sugerował, że wie więcej niż inni, chociaż cóż mógł takiego o mnie wiedzieć. – Zirytowana Serwerownia spojrzała na mnie niepewnie. – Poza tym te świerszczyki sprzed lat. Może jednak wtedy zajmował się ich sprzedażą, dodajmy, że nielegalną. I te jego nocne wycieczki. Ciekawe, dokąd jeździł od strony doliny. Najwyraźniej nie chciał wzbudzać zainteresowania i miał swoje tajemnice. Może jedna z tych tajemnic była motywem morderstwa?

– Ale jakież zainteresowanie mógłby wzbudzić o jedenastej wieczorem, gdy ludzie już śpią? – zapytałam zniecierpliwiona.

– Jedni śpią, a inni nie. Ona ma rację. – Mamusia poparła Marylkę. – Przecież my też chodzimy spać dość późno. Czasem nawet po północy.

– Ale ja piszę, a ty czytasz. To co innego!

– Problem w tym, że nie tylko my siedzimy po nocach.

– Oczywiście! – zawtórowała Marylka. – Ja również zasypiam bardzo późno. Józeczek też tłucze się po nocach. Nie mówiąc o jego teściowej, która ponoć już wróciła.

– Nie zbaczajmy z tematu. Co jeszcze wiemy o dziadku Trackim?

– Że często łąził do gospodarstwa braci Gibkich. To akurat wiem na pewno! – powiedziała Marylka i wstała energicznie od stołu. – Muszę się napić, bo mi w gardle z emocji zasycha.

– A nalej i nam. – Mamusia ustawiła nasze kubki w rzędzie.

- Ale po co on tam łąził? Słyszałam, że nigdy się z braćmi zbyt nie lubili, więc nie było powodu, żeby się tam pokazywał. Chyba że zapuszczał się na przespīgi. - Myślałam głośno. - Gdy wszystko zbierzemy cuzamen do kupy, to wychodzi, że na ulicy mnóstwo się dzieje i nie sposób wiedzieć i widzieć wszystkiego. Nawet ty nie jesteś w stanie być ze wszystkim na bieżąco - rozpędziłam się w dociekaniach.

Marylka na moment zaniemówiła z wrażenia. Chwilę trwało, zanim ją odetkało.

- Jakby tak na to spojrzeć, to rzeczywiście nie mam szans być ze wszystkim na bieżąco. Ale się staram - zapewniła gorliwie i przeszła do rzeczy: - Nie mam pojęcia o wszystkim, ale mogę was zapewnić, że dziadek święty nie był. Wiem, że ten nowy go stamtąd przepędzał.

- A niby dlaczego? - zainteresowała się ciocia.

- O to już jego trzeba zapytać.

- Dobry pomysł! Pójdziemy z sąsiedzką wizytą i zapytamy, czy zabił panią Jadzię i przy okazji, dlaczego nie przepadał za Romualdem Trackim. Już to widzę, jak nam odpowie - rzuciłam z przekąsem.

- A ten Brudziński? Może jego przypadek da nam jakiś punkt zaczepienia? Co o nim wiemy? - Marylka przypomniwała nam o drugim denacie.

- Właśnie, przecież cyknęłyśmy zdjęcie jego dowodu osobistego. - Sięgnęłam po telefon i nieudolnie próbowałam odszukać fotkę.

- Ty to naprawdę jesteś zdolna inaczej - podsumowała mnie ciocia. - Daj mi to. Sama znajdę. - Wyciągnęła dłoń w moim kierunku, oczekując, że dam jej moją prehistoryczną komórkę. Obawiałam się jednak, że mój sprzęt mógłby tego nie przetrwać.

Pan Kot wyczuł moment zawieszenia rozmów i upomniał się o kolację. On jadał normalnie, o dwudziestej. Zrobiło się małe



zamieszanie, bo mamusia wstała, by nakarmić Pana Kota, który akurat miał dzień wybrzydzenia. Nic mu nie smakowało. Tymczasem zdążyłam znaleźć zdjęcia dowodu osobistego i jego właściciela. Przesłałam je na mój adres mailowy. Z wysiłkiem podniosłam się z krzesła i poszłam do swojego pokoju, by włączyć laptopa i otworzyć pocztę. Byłam zbyt ślepa, by cokolwiek zobaczyć na ekranie telefonu. Na tak modne i powszechne teraz smartfony nie miałam ani ochoty, ani cierpliwości. Pewnie ciągle dzwoniłabym do obcych ludzi.

- Popatrzcie. - Przytargałam ze sobą laptopa i postawiłam go na stole. Dziewczyny zrobiły tłumek i zetknęły się głowami przy ekranie. - Przeczytaj, Marylko - poprosiłam.

Jej nie trzeba było dwa razy powtarzać. Uwielbiała być w centrum zainteresowania.

- Czesław Brudziński. To już wiemy. Urodzony trzydziestego listopada siedemdziesiątego ósmego. Zamieszkały...

- Młody był. Co to jest te trzydzieści parę lat! - Ciocia ulitowała się nad Brudzińskim.

Nasz denat mieszkał w jednej z okolicznych wsi i zarówno na zdjęciu w dowodzie, jak i na tym pośmiertnym nie wyglądał interesująco.

- Gdy go pierwszy raz zobaczyłam, to bardzo mi się spodobał - zwierzyłam się dziewczynom, wdychając nad moim przyćmionym gustem.

- Czy to oznacza, że znałaś go lepiej, niż oficjalnie wiadomo?  
- Marylka spojrzała przenikliwie, a ciocia prychnęła ze złością. Całe szczęście, że chociaż mamusia na razie milczała.

Przepiłam tę ciszę zimną herbatą.

- Ależ paskudztwo! - Wstałam, żeby dorzucić jeszcze jedną torebkę herbaty i dolać wrzątku. - Nic z tych rzeczy - powiedziałam stanowczo. - Widziałam go przez kilka minut, gdy stał na przystanku autobusowym. Na tle miejscowych był taki ładny i kolorowy. Wyglądał zupełnie inaczej niż na zdjęciu.

A potem... Właśnie! Marylka! Pamiętasz ten dzień, gdy przyszła Cyganka?

- Jasne. Chodzi ci o tego nissana?

- Właśnie. Co on tu robił?

- Pętał się. Czekaj, sprawdzę godzinę. O, mam tutaj - wskazała na notesik. - Pojawił się około pierwszej. Przyjechał, wysiadł i pojechał do końca ulicy. Poszedł w stronę gospodarstwa braci Gibkich. Owszem, w pierwszych dniach po pożarze ulicą chodziły pielgrzymki ciekawskich, skuszonych wizją stert spalonych desek i wonią spalenizny unoszącą się nad pogorzeliem. Jednak po kilku dniach zainteresowanie spadło i mieliśmy spokój. A on był obcy.

- Musimy się dowiedzieć, kiedy Brudziński został zamordowany - rzekła mama. - Dzwoniłaś do komisarza?

- Nie, jeszcze nie. Bałam się, że się spłoszy, jeżeli tak będę dzwonić co pięć minut.

- To udaj, że ci wpadł w oko i żyć bez niego nie możesz - poradziła ciocia i sięgnęła po leżące odłogiem orzechy. Wybrała najdorodniejszy okaz, rozkręciła klucz francuski, by się zmieścić i powoli skręciła narzędzie. Rozległ się trzask pękającej skorupki i naszym oczom ukazał się miąższ. Wyjęła zawartość i pożądliwie włożyła ją sobie do ust. Chrupnęło przeraźliwie, a ja pomyślałam, że to kara za wyjątkowo głupie pomysły.

- A niech to! Złamałaś szczękę! - Mamusia nie bawiła się w dyplomację. - Pazerność kiedyś cię zgubi - dołożyła jej.

Ciocia łypnęła gniewnie i trzymając się za podbródek, pogalopowała do łazienki.

Czekając na ciocię, łupałam orzechy i dzieliłam je na kawałki. We wszystkim potrzebny jest umiar.

- To tylko ząb - oznajmiła ciocia, ściskając w rękę zawiniątko z chusteczki higienicznej.

- Jutro pójdziesz do protetyka. Takie rzeczy robią na poczekaniu.

- Może to i dobrze, że tak się stało. - Ciocia z zapalem chwyciła następną porcję.

- Dlaczego dobrze? - Marylka była zdumiona tą beztróską.

- Ano dlatego, że ten mostek jest już stary. Dawno powinnam go zmienić, tylko nie miałam ochoty na te miary, odciskania i całe zawracanie głowy. Teraz muszę, więc zrobię i po krzyku. Ale wracając do naszych spraw, jak myślisz, Marlenko, dobry mam pomysł?

- Ciocia zerknęła na mnie zaczepnie.

Jeszcze czego? Kto to widział, żebym obcych mężczyzn podrywała? A na domiar złego podkomisarza związanego z prowadzonym śledztwem! Przecież to ograny stereotyp! Pisarka rozwiązuje sprawy kryminalne, śledzi sprawców zbrodni i po drodze rzuca się w ramiona przystojnego komisarza, podkomisarza lub innego stróża prawa. Do wyboru, do koloru.

- Ciociu, zaprzyjaźnić się mogę, ale w znaczeniu koleżeńskich relacji. Nie wyobrażaj sobie niczego więcej - zastrzegłam kategorycznie.

- Dlaczego nie? Przecież jest przystojny i nawet do rzeczy - zdziwiła się Marylka.

- Kobieto, chociaż ty daj spokój - zezłościłam się. - Przecież wiesz, że jest żonaty. Nie zamierzam rozbijać rodziny. W życiu!

- Taki on żonaty, jak ze mnie królowa angielska - parsknęła ciocia drwiąco i spojrzała na mnie z politowaniem. - Ty się w ogóle nie znasz na mężczyznach. Ale skoro mąż z tobą nie wytrzymał, to coś jest na rzeczy.

- Ciociu, przecież Michał mnie zostawił dla tej smarkuli Elwiry. On mnie, a nie ja jego! A taka to była wielka miłość, że już od pięciu lat rozmawiają przez adwokatów. Dobrze, że mnie

posłuchał i trzymał ją z daleka od naszej firmy. Kurczę, powinnam tam zajrzeć i sprawdzić, co słyhać. – Postanowiłam, że gdy tylko skończę książkę i coś się wyjaśni w sprawie tych morderstw, skontroluję firmę. W końcu nadal byłam współwłaścicielką. Zmysły przytępione pisaniem podpowiadały mi nadchodzące kłopoty.

Mama ziewnęła przeciągle.

– Proponuję wybrać się do tej wsi, gdzie mieszkał Brudziński, i popytać. Niczego o nim nie wiemy. I ważne jest ustalenie czasu zgonu. Ciekawe, czy on został na naszej ulicy tego dnia, gdy go tu widziałyście, czy wrócił. A jeśli wrócił, to do kogo?

– Jeszcze jedno – ciocia wracała do formy – kto wiedział, że w szklarni są narzędzia i może je sobie bezkarnie wziąć, bo właścicielka zajęta jest czymś innym.

– Nóż. Pamiętajmy o nożu – dodała mamusia.

– Czyli wniosek z naszego zebrania jest taki, że dalej niczego nie wiemy, a żeby się dowiedzieć, musimy ruszyć tyłki i pojechać na przeszpiegi. Za podkomisarza zabierzesz się ty – zdecydowałam, wskazując na Marylkę, która już wstawiała od stołu, a teraz z wrażenia z powrotem usiadła.

– Dlaczego ja?!

Nie powiedziałam, że dlatego, by złamać stereotyp. Ciocia by mi tego nie wybaczyła. Odparłam:

– Marylko, po prostu zadzwoń i zaproś go na ciasto. Na pewno się skusi. A jak już przyjdzie, to weźmiemy go w krzyżowy ogień pytań. Najpierw jednak ja zadzwonię i wypytam o sekcję. Po moim telefonie zrobimy dzień przerwy, żeby nie poczuł się osaczony. Zaprosisz go tak zwyczajnie, bez wypytywania. Powiedz, że twój mąż chce go koniecznie poznać, bo do tej pory jakoś nie miał okazji. Poczuj ulgę, że jedna normalna się trafiła, i przyjedzie. Zresztą na pewno wymyślisz coś sensownego. A tak przy okazji... – z trudem wstałam od

stołu, przeciągając się. Kilka godzin siedzenia odcisnęło ślad na mojej kości ogonowej - co tam słyhać u Edwarda? Mam wrażenie, że on już w pracy mieszka - zażartowałam smętnie.

Marylka powoli wygładzała poły kurtki, ziewając dyskretnie.

- A myślisz, że jego cokolwiek obchodzi poza tymi cyferkami i sutym obiadem? Przecież my nawet nie mamy czasu porozmawiać. Przyjdzie do domu, zje i albo zaraz znowu jedzie do pracy, albo kanapa i pilot. Wszystko na mojej głowie - poskarżyła się żałośnie, a nam zrobiło się trochę głupio.

- Nie wiedziałam, że tak wygląda sytuacja - mruknęłam przeproszającym tonem.

- To już wiesz. Wiecie wszystkie - oznajmiła. - Ale żeby była pełna jasność, to nie jest zły człowiek, tylko po prostu bardziej kocha pracę niż mnie. Dzieci wyjechały, to nie mamy o czym rozmawiać, a o śledztwie przecież nie będę mu opowiadać. Jeszcze by sobie nie wiadomo co pomyślał. - Serwerownia, kiwając z powątpiewaniem głową, otworzyła drzwi na dwór i na chwilę przystanęła na schodach. - Ty się mną nie przejmuj. Ja sobie poradzę. A teraz chodź i otwórz mi bramkę. O, a ten znowu na dwór - dodała, widząc przemykającego Pana Kota.

Odprowadziłam ją do domu. Wiedziałam, że tej nocy szybko nie zasnę.

- Ten? Jaki znów ten? - Pan Kot nie wierzył własnym uszom. Do tej pory miał sentyment do Marylki, która od czasu do czasu wystawiała resztki jedzenia, ufna, że dokarmia potrzebujące koty. Pana Kota do takich nie zaliczała, ale on swoje wiedział i od czasu do czasu konsumował co lepsze kąski.

Fuj, już w czasie kolacji czuł, że przesadził z jedzeniem, zwłaszcza tym ekologicznym i nieprzerobionym, ale teraz mdliło go na całego. Nie zatrzymując się, przemknął w kierunku ogrodu i szybko pozbył się zawartości żołądka.

Ależ było mu nieswojo. Teraz tylko jeszcze zje trochę trawy i pójdzie pospać do szklarni. W razie gdyby zaspał, któraś przyjdzie po niego. Dobrze je sobie wychował.

*Jerzy Rosół zamierzał załatwić sprawy po swojemu, czyli spakować manatki i dać nogę z Hiszpanii. Tylko dokąd? Na razie nie był poszukiwany. Chyba że ktoś wiedział o zamiarach prezesa i dał znać policji, że on – Rosół – wiąże się ze śmiercią szefa Anexu. Kogo on mógł wtajemniczyć? Skoro, jak sam się przekonał, szef Anexu osobiście chciał go zabić, to ujawnianie morderczych planów nie miało sensu. Chyba że... Nie. Chyba nie.*

*Doña Izabella czekała na odkrycie zwłok, a denat leżał na chodniku przed jej domem. Czekał na to samo. Odrobinę się niecierpliwiła. Fiesta się przeciągała. Widać współmieszkańcy kamienicy nie mieli zamiaru wracać. Strzelbę po tatusiu zdążyła schować w tajnym schowku, do którego wejście znała tylko ona, a dłonie umyła w kilku rodzajach środków chemicznych, odkażając je nawet spirytusem. Tak na wszelki wypadek, gdyby funkcjonariuszom przyszło do głowy poddać ją próbie parafinowej. Doña Izabella była na bieżąco z nowościami kryminalnymi i stale rozwijającymi się metodami badań. Trochę martwiły ją szczątki kryształowej wazy poniewierające się na wejściu i zastanawiała się, czy zaprząc do porządków Leonie, która lada moment powinna wrócić z fiesty, czy iść w zaparte i twierdzić, że nie ma pojęcia o żadnej wazie. Albo, co może byłoby najlepszym wyjściem z sytuacji, przyznać się do zrzucenia wazy w celu przestraszenia grupy nadmiernie hałasujących nastolatków. To jest najlepsze wyjście, uznała po chwili. Obecność nastolatków mogłaby potwierdzić Patricia mieszkająca*

tuż obok wejścia do Zaułka Snów. Musieli tamtędy przechodzić i hałasować. Patricia wprawdzie była już stara, miała pod osiemdziesiątkę i była kompletnie niedołączna, ale równie ciekawska co arystokratyczna sąsiadka. Musiała słyszeć głosy w Zaułku. Nigdy się nie przyzna, że nie wiedziała o czymś, o czym wiedziała doña Izabella. W razie czego trzeba będzie zasugerować policjantom wizytę u niej.

Doña Izabella uspokojona myślami wróciła do czytania ostatniej powieści Lemaitre'a. Fascynujące! Tylko dlaczego ten Verhoeven był taki niski? Zawsze lubiła postawnych mężczyzn.

Powrót Leonii zasygnalizował przeciągły krzyk. Najgłośniejszy, jaki kiedykolwiek wydała wieloletnia służąca. Miała wątpliwą przyjemność natknąć się na nieznajome zwłoki. Po kwadransie łapania się za serce i uspokajania przez pracodawczynię Leonia dała się przekonać, że powinny wezwać policję. Nieboszczyk przy wejściu nie był najlepszą wizytówką.

Jerzy Rosół zamiast jak najszybciej wyjechać z Barcelony zrobił coś dokładnie odwrotnego. Spakował swoje rzeczy do plecaka. Całe szczęście, że gatki i koszulki nie były nazbyt ciężkie czy objętościowe. Niepotrzebną torbę podróżną wsunął pod łóżko. Posprzątał pomieszczenie, pamiętając o wytarciu odcisków palców. Tak na wszelki wypadek. Mieszkanie miał opłacone i mógł do niego wrócić, ale zakładał, że byłoby to niebezpieczne. O swoich zamiarach nie informował właścicielki aktualnie pogrążonej w świecie wielkiej miłości. Delikatnie zatrzęsął drzwiami wejściowymi i dopiero wtedy zastanowił się, co ma robić dalej.

*Do miejsca, w którym zostawił szefa Anexu, nie było daleko. Mężczyzna odziany na sportowo, z plecakiem przewieszonym przez ramię, zachowujący umiar we wścibstwie nie powinien rzucać się w oczy. Postanowił, że nie będzie korzystał ze środków komunikacji, tylko niespiesznie przespaceruje się do romantycznego Zaułka i sprawdzi, czy szef Anexu nadal leży na trawniku. Gnębiła go myśl, że Przyszły Morderca padł z ręki tajemniczej osoby. Czy był to przypadek, czy też zaplanowana akcja? Tego musiał się dowiedzieć, zanim podejmie następne kroki.*

*Komisarz policji był bardzo sympatycznym mężczyzną pod pięćdziesiątkę, który cały czas sumitował się, że przeszkadza tak znamienitej osobie pochodzącej z bardzo zasłużonej rodziny. I nawet jeśli miał jakiegokolwiek wątpliwości co do jej udziału w całej sprawie, to przezornie starał się ich nie okazywać. Wyraził tylko podziw dla cierpliwości wiekowej damy i zalecił, by nie wahała się dzwonić do niego, gdy następnym razem ktoś zakłóci jej spokój, jak ta niesforna młodzież. Był zdziwiony, że miała siłę przenieść ciężkie naczynie. Jednak bez szemrania przyjął wyjaśnienie, że waza od lat stała na parapecie, przynosząc radość oczom arystokratki, która lubiła przyglądać się, jak słońce odbija się w stuletnim kryształcie i rzuca refleksy na dawno zszarzały sufit.*

*Nieboszczykiem okazał się jakiś obcokrajowiec. Polak. Co podejrzane, był zaopatrzony w woreczek z kolorowymi tabletkami w liczbie wykluczającej własny użytek. Czyżby porachunki między handlarzami narkotyków? Jeżeli tak, to zamierzał jak najszybciej przekazać sprawę tym od przestępczości*



zorganizowanej. Oni są zorientowani w działaniach mafijnych. Nie zamierzał zajmować się tym dłużej, niż należało. A już nachodzenie przedstawicielki znakomitego rodu na pewno nie leżało w jego interesie. Alejandro Pordi doskonale wiedział, jak pilnować własnych interesów. Nie chciał się wychylać.

Przed zabytkową kamienicą zgromadził się tłumek ciekawskich komentujących zdarzenie w kilku językach. Przybyły medyk już dokonał oględzin zwłok i stwierdził śmierć od kuli, a niejaki Mario, babiarz i obleśnik pracujący z komisarzem, zabezpieczył pałętający się przy zwłokach kordzik. Wyglądało to tak, jakby wypadł denatowi z dłoni. Czyli jednak porachunki mafijne, Pordi westchnął z satysfakcją. Teraz tylko trzeba sprawdzić odciski palców i już będzie wiedział, czy wstępna hipoteza znajduje potwierdzenie w rzeczywistości. Tłum powoli się rozchodził, a wraz z nim mężczyzna ubrany na sportowo, z plecakiem w rękę. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Jerzy Rosół przysłuchiwał się wymianie zdań pomiędzy policjantem a medykiem, który ciężko sapiąc, pochylał się nad zwłokami szefa Anexu. Nie było wątpliwości co do przyczyny śmierci. Podobno przesłuchiwali jakąś staruszkę, która oczywiście nie mogła mieć nic wspólnego ze zdarzeniem. O tej porze wszystkie staruszki już śpią we własnych łóżkach.

Zastanawiałam się, co dalej począć. Moim zdaniem motyw planowanego zabójstwa dziennikarza znajdował się w Polsce, a szef Anexu był przypadkową ofiarą. Na to już nie miałam wpływu. Doña Izabella miała osobowość i wiedziałam, że żadne tłumaczenie nie sprawi, by zmieniła zdanie i pozostawiła przy życiu jednego z najbogatszych Polaków. A swoją drogą, jakie te

majątki są iluzoryczne. Domy, mieszkania, papiery wartościowe, akcje, obligacje i złoto zadekowane w bankach szwajcarskich, gotówka na Kajmanach i wszelkie inne dobra. A gdyby tak się okazało, że jeden z najbogatszych ludzi w Polsce zapomniał zabrać ze sobą karty płatniczej albo wyleciał mu z głowy PIN, to co wtedy? Ciekawe, czy oni noszą gotówkę na drobne wydatki. A może zapomnieli, jak wygląda papierowy pieniądz? Niestety nie miałam szansy sprawdzić, czy szef Anexu miał przy sobie gotówkę. W tej chwili biedak już leżał na stole sekcyjnym. Medyk, który się nad nim pochylał, głowił się, jak przekazać niezbyt miłą wiadomość miejscowemu komisarzowi. Ten pechowy Polak został zastrzelony z broni myśliwskiej i nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że był to dość wiekowy egzemplarz, niemal równy latami czcigodnej Katalonce.

*Medyk bał się podejrzewać, że szacowna dama mogłaby mieć coś wspólnego ze śmiercią Polaka. Nawet w teorii było to nie do pojęcia. A jeżeli nie ona, to kto? Trudno było przypuszczać, że doña Izabella jest w jakikolwiek sposób związana z mafią. Ze względu na znalezione przy denacie narkotyki (okazało się, że to trudno osiągalna i piekielnie droga nowość na rynku) założyli, że mężczyzna wmieszał się w mafijne konszachty. Natomiast mafiozo uzbrojony w strzelbę z początku dwudziestego wieku i z tą strzelbą spacerujący po Barcelonie mógł być li tylko wytworem fikcji literackiej. Nic innego nie wchodziło w grę.*

Wyjazd do Łopotnik, wsi położonej pół godziny drogi od Miasteczka, opóźnił się nam o kilka dni. Miałyśmy pojechać tam z Marylką, by wspólnie wybadać teren, ale przed wyjazdem chciałyśmy przepytąć komisarza, który być może był już w posiadaniu cennych informacji, którymi powinien się z nami

podzielić. Pomyślałam przelotnie, że on mógł mieć na ten temat inne zdanie.

Zadzwoniłam do niego następnego dnia po naszej naradzie. Niestety nie uzyskałam żadnych informacji. Podkomisarz Marek Zakrzewski przez telefon był bardzo asertywny, albo – co także przyszło nam do głowy – bał się podsłuchów. Po dwóch dniach za podkomisarza wzięła się Marylka. Ani słowem nie wspominając, że mamy do niego interes, oznajmiła, że właśnie zabiera się do pieczenia sławnego sernika i w związku z tym zaprasza na konsumpcję. Sernik powinien być gotowy za około dwie godziny, więc wchodzi w grę popołudniowa kawa lub – jeśli woli – herbata. Serwerownia gorliwie zapewniła, że jej mąż z przyjemnością pozna podkomisarza. Wiadomość o mężu poskutkowała i policjant dał się zwabić w pułapkę.

Dom Morskich przesiąknięty był kuszącym zapachem pieczonego ciasta. Gospodyni z rozmachu – oprócz sernika siostry Anastazji, który z czasem przeobraził się w sernik Marylki – upiekła jeszcze ciasto drożdżowe. I to jakie! Nie dość, że z kruszonką, to jeszcze hojnie polane czekoladą. Słodki zapach wypieków mieszał się z aromatem świeżo zmielonej kawy, a podkomisarz z nabożeństwem pochłaniał drugą porcję pyszności. Trzeba przyznać, że Marylka nie tylko na Brzegowej nie miała sobie równych.

Uspokojona, że wszystko gra i zwabiony w pułapkę pracownik policji już się nam nie wymknie, ustawiała na stole reprezentacyjne kieliszki, twierdząc, że takiej pigwówki jak u niej to jeszcze podkomisarz nie pił. Zeszłoroczna wyjątkowo się udała. W tym roku pigwy nie obrodziły i nie wiadomo, czy będzie z czego nalewkę nastawić.

Marylka zrobiła minę, jakby brak perspektyw na własnoręcznie zrobiony napój wyskokowy był największym nieszczęściem, jakie ją spotkało. Podkomisarz Zakrzewski wprawdzie stawiał opór, twierdząc, że nie wypada mu

próbować tego typu napojów w domu osoby związanej ze sprawą morderstwa, ale szybko uległ. Nie pomogła mu nawet myśl, że przyjechał samochodem i chciał nim wrócić. Zanim sięgnął po pigwówkę, nieśmiało wspominał o tym, że nie wsiądzie już dziś za kierownicę.

- A kto tu mówi o stanie wskazującym? - zapytała zdziwiona i wlała komisarzowi do kieliszka ledwie parę kropli nalewki. - Tego to pan nawet nie poczuje. Wszystko w drożdżowe wsiąknie, a jakby pan miał ochotę na więcej, to przecież w mieście kursują taksówki - pouczyła.

Gospodyni kręciła się niespokojnie przy kuchence, coś tam jeszcze doprawiając. Jak na złość jej mąż znowu musiał zostać dłużej w pracy i alibi padło.

- To może ja nie w porę przyszedłem? - Policjant miał obiekcje.

- Ależ skąd! Jeśli ja bym liczyła na mojego męża, to niczego bym nie zrobiła. On tak zawsze... Mówi że przyjdzie, a potem że coś mu wypadło. Sam pan wie, jak to w pracy bywa - zwierzyła się, licząc na zrozumienie.

Bo to prawda była. Marylka do swojego męża miała świętą cierpliwość i większość rzeczy w domu robiła sama. Czasami tylko wynajmowała kogoś do pomocy. Mąż się jej trafił wspaniały, dobry człowiek, ale do roboty miał dwie lewe ręce. W pracy to co innego. Był księgowym w prywatnej firmie i świata nie widział poza tymi rzędami cyferek i rozporządzeniami. Cóż, jak to mówią, każdy jest do innych celów stworzony.

Radio śaczyło złote przeboje i Marylka miałaby ochotę odpłynąć w lata osiemdziesiąte, śpiewając wraz z Drupim. Romantyczną atmosferę zakłócił dzwonek do drzwi. Gospodyni, już teraz odprężona, szybkim krokiem podążyła ku drzwiom, by po chwili wyrazić pełne fałszu zdziwienie na widok mieszkańek sąsiedniego budynku.

- To mówi pan, że kiedy Brudziński został zamordowany? -  
Ciocia Lukrecja nie siliła się na dyplomację.

Skubała sernik, nie pozostając w tyle za podkomisarzem. Mężczyzna, wzięty z zaskoczenia, zastanawiał się, dlaczego naiwnie myślał, że Marylka bezinteresownie zaprasza go na podwieczorek. Teraz już wiedział, że one to wszystko uknuły! Nie miał wyjścia. Musiał przyznać, że od śmierci babci nie jadł tak znakomitego ciasta drożdżowego. W sumie było warto tu przyjść.

Obserwowałam z zaciekawieniem, jak Zakrzewski usiłuje zapanować nad mimiką. Na jego twarzy malowały się zaskoczenie, popłoch, wahanie, wyraz powzięcia decyzji i - uff - w końcu błoga ulga. Niech się dzieje, co chce.

Wyniki sekcji wskazywały, że Czesław Brudziński został zamordowany tego samego dnia, gdy był widziany na ulicy Brzegowej. Na kordziku brakowało jakichkolwiek odcisków. Owszem, nóż był ubłocony, popapwany ziemią, tak jakby ktoś go specjalnie wymazał, ale nie wносиło to niczego nowego do śledztwa. Trzeba było czekać na wyniki badań DNA, tych śladowych ilości krwi, które odnaleziono między ostrzem a rękojęcią.

- Ale... - podkomisarz Zakrzewski spojrzał na nas bystro - ode mnie nie wiecie panie ani słowa. - Zrobił pauzę i dołożył sobie porcję sernika.

- Zapakuję panu do domu - poinformowała go Marylka zmartwiona o stan żołądka gościa.

Ten pokiwał z ukontentowaniem, dopił resztkę kawy i elegancko wytarł usta serwetką. Mogliśmy przejść do *clou* dzisiejszego popołudnia.

- Posłuchajcie - zaczął nieco familiarnie. - Nie żebym się kiedykolwiek i z kimkolwiek dzielił informacjami o

prowadzonym śledztwie, ale skoro nasze interesy są zbieżne, to wyjątkowo, powtarzam, wyjątkowo, podzielę się z wami moją wiedzą.

- To ja bym może tort orzechowy upiekła.

- Kusi pani, a ja w zasadzie mam szlaban na słodycze. Za chwilę się w spodnie nie zmieszczę. Nie mówię nawet o pościgu za przestępcą.

- Ale przecież na piechotę ich pan nie goni? Od czego są samochody i te, jak im tam, motocykle. Niedawno widziałam, jakie przystojniaki nimi jeżdżą.

Podkomisarz odchrząknął, udając, że nie dostrzega wyraźnej aluzji cici, i wrócił do zasadniczego tematu.

Okazało się, że Czesław Brudziński był znany organom ścigania od wielu lat. Już jako nastolatek słynął z włamań do kiosków. Był nawet podejrzewany o napad na bank, a właściwie na filię banku, ale niczego mu nie udowodniono. Zrabowano wtedy kilkanaście tysięcy złotych. Brudziński po napadzie, przesłuchaniach i wypuszczeniu na wolność zapadł się pod ziemię. Tak było aż do tego roku, gdy jak gdyby nigdy nic wrócił do rodzinnej wsi i zaczął wieść życie porządnego człowieka. Posterunkowy Marchewka, stojący na straży porządku w Łopotnikach, przypuszczał, że za powrotem do rodzinnego domu stał jakiś grubszy interes, bo w nagłe sporządzenie Brudzińskiego trudno mu było uwierzyć. Ale na gorącym uczynku go nie złapał, więc dowodów nie miał. Brudziński starał się nie rzucać w oczy. Nie epatował bogactwem. Kupił sobie przechodzonego nissana za kilkanaście tysięcy, ubierał się modnie, w markowe ciuchy, ale żaden z nich fortuny nie kosztował. Było tylko jedno „ale”. Otóż sprawdzili stan konta denata i okazało się, że był dosyć zamożnym człowiekiem. W tę miłą zamożność popadł po powrocie z zagranicznych wojaży. Systematycznie się wzbogacał. Co miesiąc na jego konto wpływała pokaźna kwota. Raz było to

dziesięć tysięcy, innym razem pięć. Sam zasiliał swoje konto, wpłacając gotówkę w oddziale, więc nie było śladu, by pieniądze pochodziły od kogoś z zewnątrz. Już to było sygnałem, że coś jest nie w porządku. Teraz wszyscy bazują na przelewach. Udowodnienie, że pieniądze pochodziły z przestępstwa, było niemal niemożliwe. Nie było w co wbić zębów.

Słuchałam komisarza i w duchu kiwałam głową nad naszą ślamazarnością. Książkowy detektyw już dawno rozwiązałby sprawę, otrzymał należne wynagrodzenie i gratis od pięknej kobiety, a my z miejsca nie potrafimy ruszyć, bo dokąd byśmy się nie udały, tam ciemna uliczka. Coś nie dawało mi spokoju. Już po kilku minutach wytężonego główkowania wiedziałam, że muszę o to zapytać naszego podkomisarza.

- Czy po trzydziestu pięciu latach od chwili popełnienia przestępstwa jest pan jeszcze w stanie odnaleźć akta sprawy? - zapytałam wprost.

- To zależy jakie akta i jakiej sprawy - odpowiedział i przyjrzał mi się z wyraźnym zainteresowaniem. - Czy ma pani coś konkretnego na myśli?

- Właściwie...

- Rzeczywiście, też o tym pomyślałam. - Marylka z przejęciem miętosila arkusz folii śniadaniowej, w który zamierzała zapakować ciasto na wynos.

- Odłóżże to, bo zniszczysz. - Ciocia nie wytrzymała i zwróciła jej uwagę. Przejawiała zmniejszoną aktywność po wizycie u stomatologa i pierwszych próbach zmierzenia się z odlewem protezy.

Nie pozostało mi nic innego, jak przybliżyć podkomisarzowi wydarzenia sprzed lat. Według mojej wiedzy morderca naszej szkolnej kucharki nigdy nie został złapany.

Podkomisarz obiecał dotrzeć do akt, o ile jeszcze się uchowały, i oczywiście podzielić się z nami uzyskaną wiedzą.

Być może kucharka Jadzia była na samym początku tej historii, przyznał ugodowo.

Zastawiałam się, jaki był motyw tej zbrodni sprzed lat. Miłość, zazdrość czy nienawiść? A może strach? Często motywem zbrodni jest zwyczajny, powszedni strach.

Dla męża Marylki, który w czasie naszej rozmowy elegancko usprawiedliwił swoją nieobecność nadgodzinami w pracy, pozostał samotny trójkąt sernika i resztką ciasta drożdżowego. Należała mu się nauczka.

Pan Kot z nadzieją popatrywał na gramolące się do samochodu baby. Wyjeżdżały, a on mógł złapać chwilę oddechu i w końcu zająć się swoimi sprawami. Miał serdecznie dość nadzoru i ciągłego marudzenia ciotki Lukrecji, która bezustannie wtrącała się w jego wychowanie. Pan Kot uważał, że już dawno pobrał wszelkie nauki. Na zasadzie wzajemności – jak umiał, tak wychował sobie obie pańce. W sumie żyło mu się całkiem dobrze. Uff, już się pakują... Pan Kot przeciągnął się leniwie i usiadł na słupku ogrodzenia, żeby lepiej widzieć zamieszanie przy samochodzie. Jak długo można się kotłować przed wyjazdem? Pa, pa, kocham was, ale znikajcie mi z oczu. No już!

- Z tego wszystkiego zapomniałam wam powiedzieć, że teściowa Józeczka wróciła. Najlepsze jest to, że nie sama! - Marylka, nie czekając, aż przekręcę kluczyk w stacyjce, podzieliła się z nami gorącą wiadomością.

- Że wróciła, to wiemy. Słyszałyśmy, jak się wydzieriała na Józeczkową - potwierdziła ciocia i z rozmachem otworzyła tylne drzwi samochodu. - Wolę jechać z tyłu - oznajmiła i dystyngowanie umościła się na siedzeniu, zgrabnie podwijając ciepły płaszcz.



- A mówiłam, żebyś założyła kurtkę. Kto to widział tak się naubierać jak stara baba - odparowała mamusia, która założyła puchową kurteczkę trzy czwarte. Na lekko skrócone loki nałożyła kapelusz, dopełniając elegancji rękawiczkami i torebką kościółkową.

Usadowiła się obok cioci na tylnym siedzeniu i usiłowała doszukać się pasa bezpieczeństwa.

- Kto jest starą babą? Zostaw! No po co ci to? - Ciocia nie zamierzała się niczym przypinać.

- Jak to po co? Przecież wyjeżdżamy za miasto, a przepisy mówią, że nawet na tylnym siedzeniu trzeba mieć zapięte pasy. Jeśli w coś stukniemy, to wylecisz z samochodu i się zabijesz. - Mamusia triumfalnym kliknięciem zakończyła sprawę. Złożyła torebkę i rękawiczki na podółku i ponagliła mnie.

- Mamuś, ja cię proszę - jęknęłam, przygotowując się na najgorsze. Postanowiłam nie popadać w czarnowidztwo. - Przecież wiesz, że nigdy nie miałam wypadku. Nigdy! Więc dlaczego jadąc z wami, zaznaczam, dużo ostrożniej, niż jeżdżę sama, miałabym spowodować wypadek?

- Ty może nie, ale nie zgadniesz, kogo spotkasz na drodze - rzekła Marylka, kokosząc się na siedzeniu obok kierowcy.

- Pamiętasz, jak jechać, czy nastawisz GPS?

- No wiesz? - obruszyłam się. - Byłam tam już kilka razy. Myślę, że się nic nie zmieniło. - Gotowe do drogi? Jedziemy! - Silnik leciutko zaskoczył i powoli ruszyliśmy z miejsca. - A z kim przyjechała straszna teściowa?

- Z narzeczonym! Wyobrażacie sobie? - Marylka parsknęła ironicznie. - To jakieś żarty. Przecież to stara baba, pod osiemdziesiątkę, a chłop podobno dopiero pięćdziesiąt skończył. Ponoć zapałali do siebie uczuciem w tym sanatorium i teraz nie mogą się rozstać. Józeczka szlag trafia, bo teściowa chce mieszkać z narzeczonym i szykuje go sobie na męża. A

Józeczek do tej pory żył nadzieją, że to babsko się wkrótce wyprowadzi. Wiadomo dokąd.

Rzeczywiście. Teściowa Józeczka nie była aniołem, ale i jego żonie niewiele do diablity brakowało. Jeżeli hipotetyczny narzeczony teściowej myślał, że będzie sobie wił spokojne gniazdko i czekał na słodkie wdowieństwo, to się pomylił. Zapewne naopowiadała człowiekowi, że domy i przyległości należą do niej i że to Józeczkowie mieszkają u niej, a nie odwrotnie. Do teściowej gospodarz miał świętą cierpliwość, a powód tej cierpliwości był jeden – gotowała jak natchniona. Niestety, każda pochwała wyartykułowana pod adresem utalentowanej teściowej kończyła się awanturą, którą wszczyniała zazdrosna o talenty kulinarne żona, prywatnie córka teściowej. Zamiast korzystać ile wlezie albo chociaż brać przykład z mamusi i nauczyć się dbać o męzowski żołądek pani Beatka wołała obrzydzać mężowi życie. Teściowa zresztą z czasem coraz rzadziej udzielała się w domu, koncentrując się na wizytach u lekarzy wszelkich specjalności. Mały katar wystarczył, by zagonić ją do najbliższego ośrodka zdrowia lub do sklepu zielarskiego. Teściowa stosowała dwie naprzemienne metody lecznicze: farmaceutyki oraz zielarstwo. Była zdrowa jak rydz i miała wszelkie predyspozycje, by dożyć do setki.

Owdowiała prawie dekadę temu. Przez pewien czas wytrzymywała sama ze sobą w niewielkim mieszkaniu w bloku, a Józeczków odwiedzała tylko przy niedzieli lub zapraszała ich do siebie. Wszystkim taki układ odpowiadał, zwłaszcza że starsza pani w ciągu tygodnia zbierała plotki, spotykając się z kumami z bloku. Podczas obiadu płynnie przekazywała wszystko dalej i nie było czasu na swary.

Problemy się zaczęły, gdy przyjaciółki – nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności jedna po drugiej – zaczęły opuszczać ten padół. W efekcie Karolina Grońska została sama jak palec w swoim bloku, teraz pełnym młodych ludzi. Mieszkania po

starsuszkach cieszyły się powodzeniem i schodziły jak świeże bułeczki. Tupot energicznych nówek dzieciaków, pokrzykiwania ich zmęczonych całodzienną służbą matek, awantury w wolne soboty i szczekanie jamnika z trzeciego piętra – wszystko to doprowadzało panią Karolinę do białej gorączki. Nie chciała wiele, ale uważała, że w siedemdziesiątej piątej wiosnie życia należy się jej odrobina szacunku i spokoju, by choć mogła obejrzeć swoje ulubione seriale bez zakłóceń. Dlatego postanowiła wprowadzić się do domu zięcia i zamiar ten szybko zrealizowała. Pieniądze ze sprzedaży mieszkania ulokowała korzystnie i raz w roku odcinała kupony od swej przezorności. Co miesiąc dawała zięciowi określoną kwotę na utrzymanie, a on schodził jej z drogi. Tylko z córką jakoś nigdy nie mogła się dogadać.

W sanatorium postanowiła, że nie da sobie wydrzeć z rąk szczęścia, które się jej nadarzyło. Postawiła rodzinę przed faktem, przywożąc narzeczonego do domu. Formalnie do narzeczeństwa było daleko, ale Mieczysław Chromy wpadł jej w oko i sama nie wierzyła swojemu szczęściu, że tak młody, przystojny i uprzejmy człowiek się nią zainteresował. Ba! Zwrócił na nią swą pełną powabną uwagę. Te spacerunki przy świetle księżycy, po których łamało ją w kościach i strzykało w barku, wpatrywanie się w gwiazdy i czekanie na tę spadającą, by móc wypowiedzieć życzenie. Pani Karolina ledwo po takim spacerze doszła do siebie. Nie wspominając o wspólnych wędrowniactwach po lesie, przysiadaniu na pniu drzewa i konsumpcji miętusków. Wierzyła, że przytrafił się jej ideał. I wrażliwy, i opiekuńczy. Ciągłe pytał, czy się dobrze czuje, i nieśmiało przebąkiwał, że wiek nie gra roli, gdy serce do serca ciągnie magnetyczna siła. Oj, Mieczysław potrafił mówić! Pod koniec pobytu na najwspanialszych wakacjach swego życia, zrozpaczona spodziewaną samotnością, zaproponowała mu

przyjazd do Miasteczka. On zaś, ku jej radości, zgodził się bez namysłu.

I w taki oto sposób Mieczysław Chromy zamieszkał u Józeczków. W branży, z racji umiejętności, był znany jako Glanc. Mieczysław był zawodowym złodziejem potrafiącym perfekcyjnie wypucować mieszkanie z dobytku. Ale o tym ani pani Karolina, ani tym bardziej Józeczek nie wiedzieli.

Mieczysław postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji i przycupnąć na chwilę u starszej pani. Smakowała mu jej kuchnia, a Józeczek był całkiem miły i chwilowo zadowolony z obecności innego mężczyzny w swoim domu. O Józeczkowej Mieczysław dyplomatycznie nie wspominał, ale czuł, że przez tę babę czekają go kłopoty i że ze względu na nią powinien się szybko z ich chałupy zwijać. Ale do gry weszły dodatkowe okoliczności. Usłyszał, że ktoś zamordował Czesia Brudzińskiego, Brudzia, drobnego złodziejaska i kumpla Miecia sprzed lat. Wiedział, że Brudzio nawet muchy by nie skrzywdził, delikates był przez całe życie. Dlatego postanowił, że dopóki ma grunt pod stopami, przyczai się w domu Karoliny i spróbuje się czegoś dowiedzieć o śmierci kolegi. Nie może być tak, żeby morderca Czesia uniknął kary. Kraść można, ale mordować... To się nie godzi. Porządny złodziej miał swoje zasady i zamierzał się ich trzymać.

Podobno to na polu tych koszmarnych bab znaleziono zwłoki Czesia. Miecio obserwował, jak wszystkie, łącznie z tą kobitą z domu na rogu, pakowały się do samochodu. Jechały gdzieś wypindrzone jak na pogrzeb albo inną równie elegancką uroczystość. Gdy samochód opuścił Brzegową, odetchnął z ulgą i elegancko strzepnął trzymany w dłoni kraj firanki. Wyrównał go i po cichu odwrócił się na pięcie, by stanąć oko w oko z płonąłą ciekawością Karoliną. Gorączkowo kombinował, jak ująć cało z tej rozgrywki, nie narażając się starszej pani. Wbrew rozsądkowi polubił ją. Oczywiście nie aż tak, by kneblować

sobie wolność w urzędzie stanu cywilnego, ale było dla niego oczywiste, że jedna niespokojna dusza zbratała się z drugą. Teraz potrzebował swoich dyplomatycznych talentów, by osiągnąć nowy cel – zemstę na mordercy Czesia. Dopadnie łajdaka. Przypuszczał, że i Karolina nie odmówi mu pomocy.

Jerzy Wiecha-Wiechejski miał jeden cel w swoim emeryckim życiu i nie zamierzał się poddawać. Inwestycja w wojskową lornetkę zasilającą przed laty sprzęt radzieckiej armii zwróciła mu się już kilkakrotnie. Stał przy imitującym średniowieczny wykusz okienku wieżyczki i pilnie obserwował ruch na początku swojej ulicy. W końcu wyjeżdżały! Całe szczęście, że zabierały ze sobą tę wścibską babę z różowego domu. Aż go ciarki przeszły na samo wspomnienie ostatniej rozmowy z nią. A skąd? A dokąd? A dlaczego? Gdzie pracował, ile lat jest na emeryturze i skąd taki nieco obcy architektonicznie budynek. Kobieta w sumie dość subtelnie dobierała słowa. Nie raz i nie dwa od obcych słyszał, że domek wygląda jak skrzyżowanie chałupy Baby Jagi z zamkiem Draculi. On sobie chwalił taki rozkład, zwłaszcza wieżyczki okazały się pomocne. Mógł z nich obserwować, co się dzieje wokół, i czuł się bezpiecznie. Odjechały. Czy na pewno? Znał takie babska. Potrafiły wrócić z kilku kilometrów, bo coś się którejś przypomniało. To, że zniknęły za zakrętem, to jeszcze nic pewnego! Musiał odczekać kilkanaście minut i mógł przystąpić do akcji.

- Panie podkomisarzu, zapraszamy na kolację.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszałam jęk:

- Wszystko, tylko nie to! Każde takie posiedzenie idzie mi w kilogramy. Jeszcze trochę i się nie ruszę!

- Jeśli pan przyjdzie, to nie będzie pan żałował – kusiłam przez telefon, zdając sobie sprawę, że mogę być

podśluchiwana. I jak tu prosto z mostu poinformować policjanta o naszych odkryciach?

Prawie słyszałam, jak pracują jego szare komórki. Po chwili dostałam upragnioną odpowiedź:

- Dzisiaj nie mogę, ale jutro chętnie.

- To jesteście umówieni. Marylka znowu coś upieczę - obiecałam i rozłączyłam się.

Przerwę powstałą w rzeczywistym śledztwie postanowiłam przeznaczyć na pisanie. Powinna z tym przyspieszyć. Jerzy Rosół, ku mojej radości, nie zamierzał odpuszczać i po pobycie w Barcelonie chciał się przenieść ze śledztwem do rodzinnego Miasteczka. Być może to tam należało szukać początków tej całej - trudnej na razie do zrozumienia - sytuacji.

Mama i ciocia gotowały spóźniony obiad. Jeden z kanałów informacyjnych szumiał wciąż powtarzаныmi wiadomościami. Wypadek drogowy urastał do rangi wydarzenia dnia. Nic pozytywnego, co wydarzyło się w kraju lub za granicą, nie miało prawa zakłócić wątej równowagi mieszkańców Polski. Wśluchałam się w treść relacji. No tak, teraz wszystko rozumiałam. Już wiedziałam, kim był denat, którego pożegnanie się z życiem w wyniku wypadku samochodowego tak wnikliwie analizowano na wizji.

Niesamowity zbieg okoliczności!

*Jerzy Rosół zastanawiał się, czy istnieje jakiś w miarę dyplomatyczny sposób, by dowiedzieć się czegoś więcej o śledztwie w sprawie śmierci prezesa Anexu. Oddaliwszy się od poprzedniej kwatery, sporo czasu poświęcił na myślenie. I wyszło mu, że jednak powinien jeszcze zostać w Barcelonie, by się zorientować, co w trawie piszczy. Dzień, dwa, może uda mu się nie zwrócić na siebie uwagi, a potem pryśnie do kraju. Zmęczony tą całą szarpaniną, marzył o kilku godzinach snu w*

prawdziwym łóżku. Postanowił, że na dwie noce wynajmie pokój w motelu, a potem się okaże. Przy rejestracji omal nie zapomniał, że powinien wynająć na fałszywe nazwisko. Z pomocą przyszło mu roztargnienie recepcjonistki, kobiety w słusznym wieku, żywo zainteresowanej pokazem naczyń samogotujących emitowanym w telewizji. Od jakiegoś czasu zastanawiała się nad ich zakupem, a wczorajsza wizyta u sąsiadki przesądziła sprawę. Podła baba zakupiła cały komplet i nie omieszkała się pochwalić nim przed Luizą. Dość tego! Nieuważnie wysłuchiwała mamrotania cudzoziemca. A co ją obchodzi, jak on się nazywa! Niech płaci i nie zawraca głowy. I tak co drugi zameldowany to John Kowalsky albo coś w tym stylu.

Nie obdarzywszy ani jednym spojrzeniem zdeorientowanego dziennikarza, Luiza skasowała należność w euro. Nie była zdziwiona, że gość płaci gotówką. W takim miejscu większość gości ceniła prywatność i spokój.

Dziennikarz sam nie wiedział, kiedy został obsłużony i z zaciśniętym w dłoni kluczem ruszył do pokoju. Wolał używać schodów, gdyż tak było łatwiej się zorientować, czy nikt go nie śledzi.

Pokój był mały i daleko mu było do przytulności, ale miał mikroskopijną łazienkę i zasłonięte gęstymi zasłonami okna. Poczul, że znalazł odpowiednie miejsce.

Spał dobrze. Dopiero po jedenastej obudził go ruch na korytarzu. Poderwał się na równe nogi, przekonany, że to policja po niego przyszła. Nic z tych rzeczy. Zmienniczka Luizy pobieżnie odkurzała długi korytarz, nucąc jeden z przebojów Iglesiasa. Brzmiało to cokolwiek przeraźliwie.

*Umył się i ubrał. Ssało go w żołądku, który upominał się o porcję paliwa. Jerzy Rosół na wszelki wypadek spakował wszystkie swoje rzeczy do plecaka, wytarł własne i obce ślady linii papilarnych na meblach i w łazience, po czym wyszedł, by zjeść śniadanie na mieście.*

*Aromat kawy zmieszany z wonią czosnku drażnił jego nozdrza i powodował ślinotok. Czekając na swoją kolej, dziennikarz włączył notebooka. Sieć już powinna wrzeć od informacji na temat śmierci jednego z najbogatszych Polaków. Zaskoczyła go panująca na ten temat cisza. Po chwili zorientował się, że owszem internet jest w stanie wrzenia, ale z powodu innej śmierci. W wypadku samochodowym zginął konkurent szefa Anexu. Dziennikarze jeszcze nie zwąchali, że lista stu najbogatszych Polaków skurczyła się o dwa nazwiska.*

*Czy to przypadek?*

*W co jak w co, ale w przypadki Jerzy Rosół nigdy nie wierzył.*

Ktoś zakosił nam kłódkę od bramy, a wihajster zamocowany w ten sposób, by stabilizować jedno z ciężkich drewnianych skrzydeł, wpuszczony głęboko w podłoże, miał przesuniętą rączkę na sztorc. Zawsze pilnowałam jej ułożenia, które powinno blokować próbę otwarcia bramy. Ze wstępnych oględzin wynikało, że ktoś wszedł na teren naszej posesji. Czy wyszedł? To należało sprawdzić.

Na razie nie alarmowałam dziewczyn. Nie chciałam siać niezdrowego zaciekawienia. Już i tak dzisiejsza podróż dała się nam we znaki. Mamusia wprowadzie też zerknęła w kierunku bramy i pewnie odnotowała nieprawidłowości, ale milczała, wychodząc być może z tego samego założenia co ja. Otworzyłam bramę na oścież, wsiadłam z powrotem do



samochodu i wjechałam na podjazd. Dowiadywanie się czegokolwiek szło nam jak po grudzie. W Łopotnikach ludzie okazali się mało kontaktowi i nieskłonni do zwierzeń. Rodzina Czesława Brudzińskiego nie była zainteresowana kontaktami ze światem zewnętrznym. Jak przypuszczaliśmy, bali się o wzrost liczby pretendentów do spadku po krewnym.

W jednym z dwóch sklepów dowiedzialiśmy się, że Brudziński był mało wymagającym klientem, ale lubił dobre wina. Ponoć chwalił się, że potrafi rozpoznać po smaku, jakie wino pije. To dla niego właścicielka sprowadzała kosztujące krocie butelki rzadkich odmian. Opowiadał jej, że rozsmakował się w winach w czasie pobytu na południu Włoch.

- Ach, jakie to pan Czesiek cuda opowiadał! Zdjęcia z Sycylii pokazywał, że niby tam to cały rok jest ciepło. Morze tam mają ciepłe. Nie to co u nas - westchnęła sprzedawczyni smętnie. - A teraz chłop nie żyje. I co tu robić z tym całym barachłem? - Machnęła ręką w stronę półki z alkoholem.

Rzeczywiście, ceny win powalały z nóg. Smakosz jej się zdarzył. Przez moment pomyślałam, że kupimy jedną butelkę. Może kobieta coś sobie w zamian przypomni, bo wyglądała na zainteresowaną. Jednak uprzedziła mnie ciocia Lukrecja.

- Pani zapakuje tego sikacza. - Wskazała palcem w kierunku różowego wina w zawrotnej cenie siedmiu dych.

- Ależ, proszę pani, to... - zachnęła się sprzedawczyni i popatrzyła wrogo na ciocię.

Nie czekając na ripostę, wtrąciłam:

- Niech się pani nie denerwuje. Ciocia doskonale się zna na winach, ma ich niemałą kolekcję w piwniczce. W tym przypadku po prostu ciocia zauważyła, że jest to wino lekkie, które powinno się pić do deserów, ewentualnie do serów. Proszę spróbować, na pewno się pani spodoba.

Za plecami usłyszałam ciche parsknięcie przechodzące w urywany kaszel. To Marylka wykazywała naganny brak

opanowania. Mamusia wcisnęła głowę w kołnierz kurtki i przemieściła się w dalszy kąt sklepu, z trudem powstrzymując śmiech. Ciocia stała jak wmurowana i gdyby spojrzenie mogło zabijać, to już leżałabym trupem. Do prowadzenia śledztwa nadawałyśmy się jak krowa do baletu.

Postanowiłam użyć Pana Kota jako alibi. Marylka pożegnała się z nami przed bramą i pokłusowała do siebie, żeby odgrzać obiad mężowi, który już powinien wrócić z pracy. Zeszło nam dłużej, niż się spodziewałyśmy, a efekt wyjazdu oscylował w granicach słowa „porażka”. Dziewczyny udały się do domu, kłócąc się po drodze, która wzięła ze sobą klucze, i widowiskowo patrosząc torebki. Byłyśmy głodne, więc wszystkie chciałyśmy przygotować coś na ząb. Uznałam, że zbyt dużo kucharek w naszej kuchni nie wróży niczego dobrego, więc się wycofałam na rekonesans ogrodowy połączony z poszukiwaniem Pana Kota. Powinien jak zwykle czekać na nas pod drzwiami do domu albo na słupku przy bramie. Z pewnością nie był głodny. Już dawno wywalczył sobie stałą porcję suchego jedzenia, które zawsze czekało na niego w szklarni, ale minęła pora normalnego posiłku i miał prawo się złościć. Obleciałam ogród, nie widząc śladu zmian, więc zawróciłam. Pana Kota zastałam w szklarni. Spał w swoim koszyku, a gdy weszłam, podniósł główkę i przyjrzał mi się z zainteresowaniem. Wyjęłam go z koszyka i poszłam z nim do domu. Należał się nam solidny posiłek. Nic wewnątrz szklarni nie wskazywało na grasowanie kogoś obcego. Narzędzia wyczyszczone przez ciocię Lukrecję stały w karnym szeregu, drzwi do szklarni były zamknięte, do komórek również. Dom także był zamknięty.

Może jakieś dzieciaki tu były. Albo facet z gazowni próbował się do nas dostać, żeby odczytać licznik. Postanowiłam, że przy okazji zapytam Józeczka, czy czegoś nie zauważył. Wprawdzie

facet z gazowni powinien przyjść dopiero za tydzień, ale może im się harmonogram zmienić. Wszystko jest możliwe.

Resztę wieczoru poświęciłam problemom Jerzego Rosoła. Może nie był mężczyzną z moich snów, ale zaczynał mi się podobać.

*Duża ozdobna tablica reklamująca Museo de Cera Barcelona nic mu nie mówiła. Wskazany na niej adres też był mu nieznany: Passatge de la Banca 7. Pamiętał, że zawsze cisza i dostojność muzeów napełniały go spokojem i pozwalały złapać odrobinę dystansu do codziennych stresów. Postanowił sprawdzić, co się za tą nazwą kryje, a jednocześnie – tak przy okazji – zobaczyć, czy na pewno nikt go nie śledzi. Wprawdzie nie czuł wzroku przypadkowego przechodnia wbitego w swoje plecy, ale z doświadczenia wiedział, że lepiej dmuchać na zimne. Żadna ze stojących przy ulicy kamieniczek nie przypominała muzeum. Dopiero po chwili dostrzegł wąski przesmyk pomiędzy dwoma domami, uliczkę, która prowadziła w kierunku wysokiego budynku zwieńczonego na dachu sylwetką Batmana. Czyżby to było muzeum dla dzieci?*

*Jednak nie, po wejściu do budynku zorientował się, że trafił na wystawę figur woskowych. Kupił bilet i powoli ruszył przed siebie. Wewnątrz było prawie pusto, jakby to miejsce nie stanowiło atrakcji dla turystów. Ciekawe dlaczego. Sam słyszał tylko o Muzeum Madame Tussaud, o którym trąbią na całym świecie. Czas nadrobić zaległości. W sali prezentującej infantki i infantów z obrazów Velázquezego nie było żywej duszy, a jednak miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Wręcz namacalnie czuł, że wzbudza zainteresowanie postaci, które kilkaset lat temu pożegnały się z życiem. Śledziły*

jego ruchy, jak mu się zdawało, komentując każdy jego krok. Z ulgą zniknął im z oczu, zastanawiając się, czy tak objawia się wstępny etap manii prześladowczej. Czekał na tyle długo, by się upewnić, że nikt za nim nie idzie. No, chyba że... chyba że ten ktoś pozostał na zewnątrz. Ale w takim razie skąd to paranoiczne przekonanie, że jest obiektem uwagi figur, było nie było, woskowych? Wziął się w garść i postanowił, że skoro już trafił w to dziwne miejsce, to poświęci trochę czasu na zwiedzanie. Najwyższa pora, by się wyciszyć i ułożyć plan działania. Szedł od inscenizacji do inscenizacji, podziwiając precyzję i artyzm wykonania eksponatów.

Al Capone w czasie napadu na bank. Rozpruty sejf, strzelanina. Bardzo realistyczne! Aż się wzdrygnął. Zwłaszcza że w chwilę potem doszedł go koszmarny krzyk rodem z horroru. To mister Frankenstein dawał przedstawienie, unosząc pozszywane z kawałków ciała i wyjąc potępieńczo. Dziennikarz spojrzął z niechęcią. Co też mu przyszło do głowy, żeby pętać się samotnie po przestrzeniach wypełnionych postaciami, które już od dawna nie żyją albo - co gorsza - pochodzą ze świata fikcji. Al Capone jednak żył! Niech mu ziemia... i tak dalej. Jerzy Rosół nie był zabobonny, ale tak na wszelki wypadek wolał odgonić demony.

Zatrzymał się na chwilę przy scenie śmierci wielkiego matadora. Człowiek rażony przez jednego z byków, potomka setek tych, których sam przebijał dzidą, konał w mękach. Wokół niego zgromadzili się ci, na których zależało mu najbardziej. Byli zrozpaczeni nieuchronnością śmierci. Do dziennikarza docierał tragizm sytuacji. A jednak pamiętając o bezsensie pokazów śmierci na żywo, nijak nie potrafił się wczuć w atmosferę sprzed wielu lat. Dziennikarz był

*zadeklarowanym pacyfistą i każda przemoc wzbudzała w nim protest. Nawet jeśli dzięki przemocy uratował swoją skórę, brzydził się jej.*

*W sali Kolumba owionął go wiatr historii. Żagle Santa Marii zafalowały, a Jerzy Rosół poczuł się tak, jakby doznał objawienia. Okno!*

*Nie miał innego wyjścia! Musiał wrócić do Zaułka Snów. W nocy wszystkie koty są czarne.*

Podkomisarz Marek Zakrzewski pół dnia spędził na szukaniu akt sprawy sprzed trzydziestu pięciu lat. Prywatnie uważał, że tak stara sprawa nie ma żadnego znaczenia, ale z drugiej strony raz rozbudzona ciekawość nie dawała mu spokoju i zmuszała do działania. Wchodziła też w grę ambicja wieloletniego pracownika policji i – do czego było mu się trudno przyznać – obawa przed rozmową z ciocią Lukrecją. Tak... to właśnie tej starszej pani obawiał się najbardziej.

Nierozwiązane morderstwo sprzed trzydziestu pięciu lat miało szansę się uchronić i akta sprawy mogły czekać na odkurzenie. Najpierw sprawdził w komputerze, żeby zaoszczędzić sobie czasu, ale nie znalazł nawet wzmianki. Potem poszedł do archiwum, gdzie urzędował emerytowany sierżant Pakulski. I to był strzał w dziesiątkę.

Sierżant Pakulski trzydzieści pięć lat temu już pracował w milicji i pamiętał sprawę morderstwa Jadwigi Krochmalskiej, szkolnej kucharki.

Tego się żadna z nas nie spodziewała. Okazało się, że sprawę morderstwa panny, a nie pani Jadzi prowadził nie kto inny, jak sam Jerzy Wiecha-Wiechejski, wtedy w randze porucznika. Śledztwo szło opornie, śladów jak na lekarstwo, świadkowie się rozplynęli w powietrzu, a przecież zaraz przy dziedzińcu szkoły ulokowano duże osiedle mieszkaniowe. Trudno było uwierzyć, że nikt nie stał za firanką i nie śledził

rozwoju wydarzeń. A jednak. Sierżant Pakulski doskonale pamiętał tamte zmagania. Wiechejski to był dobry gliniarz starej daty, który do polityki się nie mieszał. Nie zrażał się byle czym. A tu same przeszkody! Jedyne, czego się dowiedzieli, to fakt, że panna Jadzia spotykała się z jakimś mężczyzną, który ponoć był żonaty. Motyw morderstwa po sekcji stał się jasny. Otóż kucharka była w trzecim miesiącu ciąży. I tyle. Akt nie znaleźli, a sierżant przypuszczał, że albo się gdzieś zawieruszyły, jak wiele papierów z tamtych czasów, albo - co też nie było głupie - emerytowany porucznik zabrał je ze sobą na pamiątkę.

Wpatrywałam się w podkomisarza opowiadającego ze swadą o swoim spotkaniu ze starym sierżantem i wierzyć mi się nie chciało, że sąsiad z końca ulicy przekształcił się z podejrzanego o morderstwo w stróża prawa ścigającego sprawcę zbrodni. Pytanie brzmiało: dlaczego Słodki kłamał?

Następne pytanie nie napawało mnie optymizmem. Co tak naprawdę wiedziałam o Eugeniuszu Słodkim, moim koledze z podstawówki, który objawił się po latach nieobecności tylko po to, żeby znowu zniknąć? Gieniu był dobry w znikaniu. Ufałam mu i wierzyłam na słowo. Wszystko wskazywało jednak na to, że nie po raz pierwszy w życiu się pomyliłam.

Serwerownia mrugała do mnie, jakby jej za chwilę miały gałki oczne wypaść. Pokręciłam przecząco głową. Na rozmowę o Gieniu był jeszcze czas.

- Czyli co teraz? - Ciszę przerwała mamusia. - Moim zdaniem musimy porozmawiać z tym Wiechą. W kryminałach dobry policjant zawsze pamięta nierozwiązane sprawy i nawet po latach usiłuje dopaść mordercę. A z tego, co pan mówi, wynika, że on nie odpuścił. Może warto byłoby zebrać wszystkie informacje w całość i zobaczyć, co nam wyjdzie.

Przytaknęłam ze zrozumieniem. Rzeczywiście to klasyka powieści kryminalnej. Dobry glina nigdy nie odpuszcza.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko sprawdzić, czy rzeczywiście Jerzy Wiecha-Wiechejski był takim dobrym gliną. - Marylka zacukała się. - Tylko że on mnie chyba nie lubi.

- A kto powiedział, że to panie będą z nim rozmawiały? Pójdę tam i się wszystkiego dowiem. - Podkomisarz miał własny scenariusz działania. - Najlepiej od razu.

Nie mogłyśmy odmówić słuszności rozumowaniu zaprzyjaźnionego przedstawiciela organów ścigania i zrezygnowałyśmy z protestów. Tak naprawdę wyprawa do Łopotnik zmęczyła nas i chciałyśmy trochę odpocząć. Nie te lata, nie ten wiek, żeby się tak bezpośrednio angażować w śledztwo.

Zastanawiałam się nad dalszymi losami Jerzego Rosoła. Musiał biedak nadal prowadzić śledztwo, ale teraz już na własną rękę. Wszystko, co zdarzyło się od momentu gdy strzelba wypaliła, było pomysłem własnym bohaterów książki i nie zostało ujęte w konspekcie. Musiałam zmienić plany, ale najpierw wypadało sprawdzić, czy dziennikarz tylko wszedł w boczną uliczkę i skoncentrował się na jej cechach zewnętrznych, czy pomyślał przez chwilę i spróbował nawiązać kontakty z lokatorami zabytkowego budynku. Wprawdzie Jerzy Rosół był dziennikarzem, ale niestety wyobraźnią nie grzeszył i miałam wrażenie, że cała sprawa trochę go przerasta. Też sobie skonstruowałam protagonistę! Może się jeszcze wyrobi.

*Za dnia okazało się, że boczna uliczka zwana Zaułkiem Snów nie jest uliczką peryferyjną. Trudno mówić o głuszy w centrum miasta. Słychać tu było szum samochodów, porykiwania motocykli i gwar wszystkich języków świata. Jakaś wycieczka przystanęła po drugiej stronie muru i przewodnik opowiadał o urokach starej Barcelony. Okna w kamienicy były pootwierane,*

*popołudniowe słońce muskało dziewiętnastowieczne mury i zaglądało do ciemnych, pełnych kurzu komnat. Tak sobie wnętrza budynku wyobrażał Jerzy Rosół. Pół metra kurzu, stiuki, wachlarze z piór i aura wczesnej secesji. Nie miał pojęcia, skąd mu się to wzięło, ale do tej pory uśpiona, teraz jego wyobraźnia szalała. Ustawił się na chodniku tak, jak stał poprzedniego wieczoru, po czym odwrócił się i z trudem wyprostował. Czuł skutki postrzału. Popatrzył do góry, zastanawiając się, z którego okna mógł paść strzał. Pamiętał, że jedno było ciut uchylone. Musiało być, bo najpierw ktoś zrzucił to coś szklanego, nie wiedział co. Drobinki kryształu lśniły mu w oczach. Nie przypominał sobie odgłosów związanych z otwarciem okna, ale wcześniej szamotał się z młodzieżą, więc mógł nie usłyszeć. To musiało być okno na pierwszym piętrze. Zadarł głowę i zamarł. Ktoś poruszył się za ciężką koronkową firaną, po czym w oknie pojawiła się kobieca sylwetka. Starsza pani wychyliła się za parapet i zawołała...*

- Czyś ty ogłuchła?! Dzwoni i dzwoni. Weź no odbierz albo wyłącz! - Ciocia Lukrecja stała w drzwiach mojego pokoju zirytowana do granic wytrzymałości. Rzeczywiście, tak się przeniosłam w świat fikcji literackiej, że ten rzeczywisty przestał dla mnie istnieć.

Spojrzałam na wyświetlacz. Numer nieznany. Odebrałam.

- Dzwonię i dzwonię. Ile można? - Gienio znowu ział pretensjami, jakby dzwonienie do kogoś po północy było normą.

- Też mi miło, że cię słyszę - odparłam, zbierając naprędce myśli. - Mieliśmy być w kontakcie.

- Przecież dzwonię. Jak tam? Wszystko w porządku? - Usłyszałam zdziwiona.



- Zależy, co masz na myśli - odpowiedziałam ostrożnie. Jak na mój gust, to nic nie było w porządku. - Gdybyś zapomniał, to dwie osoby nie żyją. A ty gdzie jesteś? Musimy wyjaśnić sprawę panny Jadzi raz na zawsze - powiedziałam stanowczo.

- Panny Jadzi? - Gieniu zdziwił się fałszywie.

- Tak. Gdybyś nie pamiętał, to przypomnę ci, że twierdziłeś całkiem niedawno, że pannę Jadzię zamordował mój nowy sąsiad, który nazywa się całkiem inaczej. A ja do tej pory nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim szło, a sprawa jest prosta. Ona była w ciąży - poinformowałam go. - I żadna z niej pani. Była panną. A to też różnica w tamtych czasach - dodałam dobitnie.

- Nazwisko można zmienić, a reszta to jej sprawa. - Mój kolega się nie poddawał.

Postanowiłam wyłożyć karty na stół.

- Można, oczywiście że można. Ale jak milicjant prowadzący śledztwo może się zmienić w mordercę, którym ponoć był nasz nowy fizyk? Przypominam, że to ty wtedy tak twierdziłeś - powiedziałam, wkładając w to zdanie cały zapas zgryźliwości.

- Kto to dzwoni?

A niech to! Zapomniałam o cici! Obok niej stała mama i obie patrzyły na mnie z naganą.

Zebrałam się w garść.

- Jesteś tam?

Odpowiedziała mi cisza. Znowu straciłam kontakt z Eugeniuszem Słodkim. Co za życie, niech to szlag!

*Jerzy Rosół podniesiony na duchu wyszedł z domu doñii Izabelli krokiem zadowolonego z życia człowieka. Nie wiedział, co tak na niego podziało, czy atmosfera dziewiętnastowiecznych wnętrz, czy charyzmatyczna postać kruchej jak sewrska porcelana gospodyni częstującej go upojnie pachnącą sangrią połączoną w jej*

tylko znany sposób z rumem, lodem i owocami. Kręciło mu się w głowie tak od informacji, jak i od sporej dawki alkoholu. Dobrze, że zdecydował się wrócić na miejsce nie swojego przestępstwa.

Zdarzenia, które miały miejsce w dopiero co odwiedzionym przez niego Zaułku Snów, tak wytrąciły go z równowagi, że zapomniał, po co przyjechał do Barcelony. Wypoczynek to jedno, urlop mu się od dawna należał, ale przy okazji chciał wykonać trochę zdjęć i popętnić porządny reportaż. Być może uda mu się sprzedać materiał do któregoś z pism snobujących się na wyższy poziom. Ludzie lubią czytać o podróżach i marzyć, że kiedyś pojedą i zobaczą piękne miejsca. Niestety i tak dziewięćdziesiąt procent z nich, jadąc nad Morze Śródziemne, nie odchodzi od basenu i pełnym żołądkiem korzysta z oferty all inclusive.

Na pierwszy ogień wziął niezakończoną do tej pory budowę Świątyni Pokutnej Świętej Rodziny, czyli popularną Sagradę. Rzut z zewnątrz, rzut z wewnątrz i niekończąca się kolejka, by wyjechać na sam szczyt jednej z wież i zrobić zdjęcie panoramy miasta. Kręciło mu się w głowie, a w ustach zasychało po szatańskiej mieszance zaserwowanej przez gościnną gospodynię. Roztaczał wokół siebie bosmańską aurę rumu, ale w końcu przestał się oglądać przez ramię i trząść na myśl, że ktoś go śledzi.

Schodząc wąskimi, krętymi schodkami, przypomniał sobie, jak kilka lat temu był w tym samym miejscu, wtedy jeszcze z Aleksandrą. Nie w głowie był mu wtedy ambitny reportaż. Wolał upojnie spędzane wieczory. Barcelonę i miasta położone na Costa Brava zwiedzali, poruszając się wypożyczonym na miejscu samochodem. Byli zachwyceni kuchnią, muzyką i zabawą do rana.

*Z mieszkańcami hotelu spotykali się tylko przy szwedzkim śniadaniu. Większość gości miała wykupione całodobowe żarcie, oni woleli korzystać z oferty malowniczych knajpek, restauracji i nocnych klubów. Mieli już za sobą wycieczki za ciężką kasę, tak zachwalane przez rezydentów biur podróży. Tak zwana objazdówka łączyła się ze stresem, by zdążyć na czekający na swoich pasażerów autokar i pobieżnym zwiedzaniem przez szybę pojazdu: „Po prawej stronie zamek, po lewej most, a my jedziemy wprost”. Na kolejną objazdówkę już się nie zdecydowali.*

*Tamtego dnia postanowili samodzielnie zwiedzić teren Sagrady. Kupili bilety i włóczyli się dość długo wokół budowli, podziwiając ogrom przedsięwzięcia i wizjonerstwo Antonio Gaudiego. Jaka szkoda dla ludzkości, że ten geniusz architektury zmarł w trzy dni po potrąceniu przez tramwaj, a pozostałe po jego śmierci projekty świątyni zostały zniszczone przez anarchistów w czasie hiszpańskiej wojny domowej. Czy jej dachem miało być niebo? Tego nie dowiemy się nigdy. Jakież było ich zdziwienie, gdy okazało się, że sympatyczna para z ich hotelu oświadczyła, że owszem widzieli Sagradę, ale tylko z daleka, bo przewodnik poinformował wycieczkę, że świątynia jest w remoncie i nie wpuszczają na jej teren. Jerzy Rosół długo nie mógł wyjść ze zdziwienia nad ludzką naiwnością i ignorancją. Aleksandra, ogłuszona poziomem wiedzy owych miłych ludzi, dyplomatycznie milczała.*

*Ech, to było dawno temu i nieprawda, rozmyślał.*

*Nie zamierzał wracać do tamtego roku narzeczeństwa. Wspomnienia same go opanowały. Rozstali się bez wielkich scen i łez. Zresztą, dlaczego Ola miałyby płakać? Sam miał nie do końca czyste*

*sumienie. Było, minęło. Najważniejsze, że rozmowa z przemiłą staruszką bardzo wiele mu wyjaśniła. Wprawdzie dziwiła go jej otwartość i szczerość, ale z drugiej strony świadków spotkania nie było, doña Izabella szybko odprawiła obsługującą ich pokojówkę. Był jej szczerze wdzięczny za ocalenie życia. Poza tym okazało się, że oboje namiętnie czytają kryminały. Wprawdzie on gustował w skandynawskich i po czasie to właśnie pod ich wpływem rozwinął swoje śledcze zapędy, a starsza dama lubowała się w krwawych francuskich, ale i tak połączyły ich wspólne upodobania. Chętnie by został u niej dłużej, żeby podyskutować o cechach idealnego kryminału, ale zdawał sobie sprawę, że jak najszybciej musi wrócić do pracy i na własnym terenie próbować wyjaśnić, co tak naprawdę miało się stać. Podejrzał, że został w bardzo sprytny sposób zmanipulowany. A może mu się tylko wydawało?*

Żaden szanujący się glina nie lubi, gdy śledztwo toczy się jak po grudzie, a upływające tygodnie nie zbliżają do wyjaśnienia sprawy, która tylko z pozoru jest prosta, a w rzeczywistości z każdym dniem gmatwa się i spycha śledczego na manowce. Zarówno motyw, jak i morderca Romualda Trackiego pozostał nieznanymi.

Podkomisarz Marek Zakrzewski dobrze wiedział, że wezwanie do komendanta posterunku nie wróży niczego dobrego. Całe szczęście, że sprawą na razie nie zainteresowała się wojewódzka. Wprawdzie mieli dosyć swojej roboty, ale i tak lubili się mieszać do działań na prowincji. Policjant długimi krokami przemierzał odległość pomiędzy swoją klitką a gabinetem zwierzchnika. Zastanawiał się, w jakie słowa ubrać klęskę. Materiał dowodowy był mizerny i dręczył go absolutny brak podejrzanych. Motyw, najważniejszy jest motyw!

Drzwi do gabinetu były uchylone, więc nie bawiąc się w Wersal, wszedł. Szef ruchem ręki zakomunikował, że ma je zamknąć i wrócił do czytania jakiegoś świstka.

Podkomisarz stał, czekając na pierwsze słowa komendanta.

Ten po chwili odłożył kartkę na stos korespondencji i nerwowym ruchem zdjął okulary do czytania. Położył je na stercie i w końcu zwrócił się do podwładnego:

- Co tak stoisz? Siadaj. - Przyjrzał mu się uważnie. - Powiedz mi, co ja mam z tobą zrobić? - zatroszczył się.

Zakrzewski nie wiedział, co powiedzieć. Śledztwo szło opornie, ale przecież ani pierwszy, ani ostatni raz tak właśnie było.

Po chwili go odetkało:

- Ale w jakiej sprawie? Jesteśmy w stałym kontakcie z prokuraturą, mamy narzędzie zbrodni, analizy wykryły na kordziku krew Czesława Brudzińskiego. Na tym samym nożu zidentyfikowano DNA Romualda Trackiego, co zresztą nas nie zdziwiło. Oba morderstwa się łączą. Sprawca przypuszczalnie jest jeden i ten sam. Trudno przypuszczać... - Podkomisarz urwał pod srogim spojrzeniem komendanta.

- Co ty mi tu pieprzysz o śledztwie? Raport jutro na stół. Jest inna sprawa... - Sięgnął i spod okularów wygrzebał kartkę. Rozłożył ją i podał podkomisarzowi. - Anonim dostaliśmy w twojej sprawie - oznajmił ponuro.

- Anonim? Coś się komuś nie podoba?

- Czytaj. - Podsunął mu.

Podkomisarz sięgnął do kieszeni, by wyjąć silikonowe rękawiczki.

- Zostaw. Już zdjęli, nic interesującego. Zakrzewski, mamrocząc pod nosem, zaczął czytać.

*Uprzejmie donoszę, że policjant tutejszej komendy bierze udział w libacjach odbywających się w domu*

*Maryli Morskiej zamieszkałej w Miasteczku przy ulicy Brzegowej jeden. A czasem urzęduje razem z Marylą Morską w domu naprzeciwko, to jest tam, gdzie mieszka ta głupia, co jej się wydaje, że jest wielką pisarką, Marlena Zawilska. A wszystko to za pieniądze podatników, czyli za moje też, bo płacę podatki, i to duże. A taki policjant, to powinien się zająć wyjaśnieniem, kto zabił znalezione na polu Zawilskiej zwłoki, bo może zrobiła to któraś z wyżej wymienionych i on to ukrywa.*

*Z poważaniem  
Anonim*

Zdegustowany policjant pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie tego. I co to znaczy „zabił zwłoki”? - Oddał kartkę komendantowi. Wstał. Dużo lepiej mu się myślało, gdy chodził. Może miało to coś wspólnego z dopływem krwi do mózgu.

- Może wyjaśnisz mi, o co w tym wszystkim chodzi? Bo jak rozumiem, widzisz się z niewłaściwymi osobami. Może nie są bezpośrednio zamieszane w sprawę, ale znajdują się w ścisłym kręgu. W końcu tego Brudzińskiego odkryto na ich polu - snuł domysły komendant.

- Libacje? Też coś - prychnął zirytowany Zakrzewski. - One mnie ciastem futrują i to tak, że za chwilę się w żadne spodnie nie zapnę. Pani Marylka bajecznie piecze i szczerze mówiąc, żal odmówić. A byłem u nich może dwa razy: w sprawie włamania i kiedy odkryły zwłoki Brudzińskiego. To porządne i dokładne kobiety. Gdyby go same zakopywały, to z pewnością tkwiłby ze dwa metry pod ziemią. - Zamyślił się na chwilę. - Ciekawe, komu tak zależy na wyjaśnieniu śmierci Brudzińskiego. Co dziwne, nie ma w tym anonimie słowa na temat dziadka... Tfu! Na temat Romualda Trackiego. A poza tym, to wszystko są bzdury!

- Ale przyznajesz, że się z nimi widzisz? - naciskał komendant.

- Przecież nie ma zakazu utrzymywania znajomości poza służbą. Co to? Policja czy klasztor?!

- Sam wiesz, że w każdej plotce jest ziarno prawdy. Ja ci wierzę, ale na przyszłość radzę, byś zarzucił wizyty u tych pań. Pewnie są piękne i młode, więc jakiś zazdrosny sąsiad robi dym. - Komendant uśmiechnął się pod nosem.

- Zależy, co dla kogo oznacza „młode” - odgryzł się podkomisarz. - Najstarsza jest po siedemdziesiątce. I to sporo. A najmłodsza - tu się zawahał - po prostu jest najmłodsza. Z nich wszystkich najmłodsza - dodał. - Poza tym to są energiczne kobiety. Nie usiedzą w miejscu i jeszcze coś namieszają. Lepiej mieć na nie oko i być na bieżąco - dodał nieopatrnie.

- Ach tak! W takim razie nadzoruj okolicę zabójstwa i tego czasowego pochówku. Oczywiście na jutro chcę mieć pełny raport z obu spraw, żebym nie musiał się tłumaczyć, że moi ludzie nie robią niczego prócz jedzenia ciasta za pieniądze podatników. A teraz do pracy.

Podkomisarz oderwał się od wpatrywania w brudną szybę i z ulgą odmaszerował.

- Musimy porozmawiać. - Zakrzewski nie bawił się w zbędne uprzejmości. Przytaknęłam zrezygnowana, postanawiając, że nadszedł czas na zwierzenia i szczerość.

- Teraz czy wieczorem?

- Wieczorem - odpowiedział krótko i rozłączył się.

Postanowiłam, że dzisiaj odpocznę od pisania. Co ma być, to będzie. Jerzy Rosół mi nie ucieknie. Potrzebowałam spokojnie pomyśleć, bo na razie czułam się, jakbym miała siano zamiast mózgu. W nocy ciocia z mamusią przyjęły moje wyjaśnienia

jako dobrą monetę i nie męczyły mnie zbyt długo, ale wiedziałam, że prędzej czy później wrócą do tematu.

Na razie ciocia Lukrecja poszła do protetyka, by w końcu odebrać gotową wstawkę, a mamusia postanowiła jej towarzyszyć i przy okazji zrobić zakupy. Zostałam w domu z Panem Kotem, który po porannych ekscesach na zewnątrz szybko wrócił i ułożył się do snu na mojej kanapie. Niech sobie pośpi, a ja pójdę na górę i zrobię porządki ze szmatami, ciuchami i całą resztą badziewia pałętającą się u nas od strychu po piwnicę. Nadszedł już czas na generalne porządki. Ogród zaczynał wracać do normy, a ciocia Lukrecja napomykała o nowych wyzwaniach. Chciałam uratować przed nią, co się da. Na strychu nie byłam od dłuższego czasu. Nie miałam ani chęci, ani szczególnej potrzeby, by tam chodzić. Teraz uznałam, że lepiej będzie, jeżeli to ja zdecyduję, co wyrzucamy, a co się jeszcze przyda. W zasadzie nie wyrzucaliśmy niczego. Na przeciwległym biegunie manii porządkowej stała ciocia Lukrecja, która wyrzucała wszystko, co uznawała za nieprzydatne, stare lub rzadko używane. Nasz strych czekały czystki.

Tego się nie spodziewałam! Ktoś porozrzucił materiały i stare ciuchy zgromadzone w plastikowych koszach ustawionych w dwóch szeregach. Tym kimś na pewno nie byłam ja. Ciocię mogłam wyłączyć z kręgu podejrzanych, a mamusia – gdyby czegoś szukała – to najpierw by mnie zapytała, czy czasem nie wiem, gdzie to jest. Rzeczy miałyśmy dużo, a nawet dużo za dużo. Nigdy nie wiadomo, co się może przydać.

Usiadłam ciężko na stercie rozrzuconych szmat i zapatrzyłam się w okno. Wszystko wskazywało na to, że ciocia Lukrecja miała rację. Może nie wszystkie drogi prowadziły do mnie, ale na pewno istniał jakiś związek między mną a ostatnimi wydarzeniami, a nawet morderstwem pani Jadzi



sprzed lat. Tylko jaki? Czego ten ktoś szukał i czy tym kimś był Gieniu?

Przecież gdyby mnie poprosił, to sama bym go na ten strych zaprowadziła i dała przegrzebać stare szmaty pod byle jakim pretekstem. Nadal byłam naiwna jak dziecko.

Masowałam dłońmi czoło, usiłując pobudzić krążenie krwi i usprawnić dopływ tlenu do mózgu. Na strychu było zimno. Powinnam rozpalić, zanim wrócą moje domowniczeki, ale na razie nie miałam do tego głowy. Rzeczywiście pisanie wybiło mnie z rytmu i wszystko inne zepchnęło na dalszy plan.

Dreńczyło mnie pytanie, czy osobnikiem, który się do mnie włamał i zafundował wietrzenie całego domu, był Eugeniusz Słodki. I ta wczorajsza historia z bramą... Kto się plątał po naszej posesji? Czyżby Gieniu? Machinalnie sięgnęłam po pierwszy lepszy skrawek materiału i zaczęłam je po kolei układać. Postanowiłam, że część rzeczy spakuję i zawiozę do kontenera na ciuchy i bieliznę. Nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek wrócę do rozmiaru trzydzieści osiem, nie wspominając o trzydzieści sześć. Musiałabym się zakochać, potem wpaść w rozpacz po zdradzie ukochanego i nie jeść przez tydzień. Tylko w takich okolicznościach istniała szansa na zbliżenie się do emki. Nie byłam gotowa na takie poświęcenia.

Zdziwiła mnie różnorodność składowanych rzeczy. Od resztek tkanin sprzed czterdziestu lat, sukienek, które swoją młodość miały już dawno za sobą, ale wytrwale czekały na powrót mody, poprzez skrawki flizeliny i pokłady wzniesionej tumany kurzu watoliny. Kto teraz używa watoliny? Były tu stare płaszcze zgryzione przez pracowite mole i kłębki włóczki rozchodzące się w palcach. Ciocia Lukrecja miała rację! Trzeba z tym zrobić porządek. Jeszcze kilka lat i nie będziemy miały miejsca na nic. Szybko zapełniłam jeden kosz, odkładając na bok rzeczy do wyrzucenia, i wzięłam się za napełnianie worka przeznaczonego na ubrania jeszcze zdadne do użytku. Worek z

szelkami leżał na samym spodzie. Był przygnieciony przez nadal spięty z wykrojem flausz. Ładny grafitowy materiał chyba miał być kiedyś moim płaszczem. Dlaczego prace stanęły na etapie wykroju? Odłożyłam kawałki flauszu na bok. Mamusia najlepiej oceni przydatność wykroju sprzed jakichś dziesięciu lat. Może się jeszcze nada. Szelki miały dobrą gumę, a ta szeroka jest droga. Widocznie mama odłożyła je i zdążyłyśmy o nich zapomnieć. Zdziwiła mnie liczba rozwleczonych po całym strychu krawatów. Ludu, litości! Skąd się tego tyle wzięło? Dwa wisały przerzucone przez oparcie krzesła, trzy pałętały się na wykładzinie. Przyjrzałam się im. Wzór w mikołaje otworzył klapkę wspomnień. To były krawaty kupione w ciucholandach, po pięćdziesiąt groszy za sztukę, na sylwestra. Usiane choinkami, reniferami, z jelonkiem Bambi wytrzeszczającym na mnie zdziwione oczęta, jednym słowem krawaty z imprezy. Na ławie pałętały się te pamiątkowe, po tatusiu. Już dawno powinnam je wyrzucić, tylko jakoś było mi ich żal. Przypomniałam sobie, że powinnam mieć jeszcze kilka ze szkoły, bo taka moda wtedy była, że się je nosiło. Kiedyś sama sobie szylałam ciuchy i używałam krawatów zamiast pasków. To były ciężkie czasy! Wszystko trzeba było zdobyć spod lady, ewentualnie używane z paczek. Rozejrzałam się wśród zgromadzonego baracha, ale nie znalazłam moich szkolnych krawatów. Może są w bibliotece? Wprawdzie nie powinnam trzymać ich wśród książek i dokumentów, ale już po kilku minutach okazało się, że człowiek się nie zmienia - znalazłam pamiątkowe krawaty w szarej kopercie przyłożonej stertą brudnopisów moich książek. Były!

Zółtego w niebieskie kropki używałam jako paska do niebieskiej spódnicy z falbanami. Nosłam do niej żółtą bluzkę. Nikt nie miał takiej stylizacji, ale nic dziwnego, gdyż ów oryginalny krawat był prezentem od cici z Ameryki. Kolejny - bordowy - był niejako elementem szkolnego mundurka.

Znalazłam jeszcze jeden egzemplarz, którego nie kojarzyłam – klasyczny w granatowo-szare paski, szeroki i rozłożysty. Kiedyś i taka moda panowała. Skąd ja go miałam?

Z kopertą w jednej ręce i krawatami w drugiej przysiadłam na kanapie i zamknęłam oczy. Coś mi się kołatało w głowie, ale to było tak dawno temu... Nie widziałam innego wyjaśnienia, a we włamanie bez powodu nie wierzyłam.

Glanc nie zamierzał popadać w nadmierną szczerość, ale przepadło, już się stało. Potrzebował pomocy kogoś zorientowanego w terenie i w sytuacji. Robiło mu się ciemno przed oczami, gdy widział przenikliwe spojrzenie Karoliny, w którym czaiły się dwa pytajniki. Nie rozumiał, dlaczego opowiedział jej wszystko jak księdzu na spowiedzi, zdając się na jej łaskę i niełaskę. Dopiero po czasie uświadomił sobie, że Karolina może go szantażować posiadanymi informacjami, uwieszając się na nim niczym głaz u szyi topielca.

O dziwo, Karolina nie wracała do tamtej godziny zwierzeń. Być może wyczuła, że musi się przyczaić, by uspić jego czujność.

Nic bardziej mylnego.

Karolina Grońska – jak doña Izabella – nudziła się śmiertelnie i z rozkoszą powitała nadarającą się możliwość rozrywki. Że jej wybranek nie był ideałem, cóż, coś tam podejrzewała, przecież głupia nie była, ale teraz tym łatwiej mogła zrozumieć swoją fascynację tym mężczyzną. Czuła powiew przygody i była gotowa, by przystąpić do działania. Jeszcze teraz przechodził ją dreszcz emocji, gdy przypomniała sobie ich wyprawę do ogrodu sąsiadek. Ależ miały wszystko wypucowane! Karolina nie przepadała za pracami w ogrodzie, zostawiając je Józeczkowi, który pod naporem obowiązków już przestawał wyrabiać. Glanc też się do prac ziemnych nie palił.

Trudno mu się dziwić. W końcu musiał dbać o sprawność i czucie w palcach.

Poszli od tyłu, bo nie chcieli wzbudzać zainteresowania pozostałych sąsiadów. Glanc chciał zrobić wizję lokalną i zobaczyć miejsce niedbałego pochówku Brudzia.

Karolina przy obiedzie dokładnie wypytała zięcia o wszystko, a Józeczek chętnie przystał na prośbę o wskazanie niedoszłej mogiły. Całe szczęście, że Beata zdążyła zareagować i zabroniła mężowi uczestniczyć w takich ekscesach. Jej zdaniem robienie widowiska z czyjejś śmierci jest świadectwem złego gustu i prostackich upodobań. Córka Karoliny omal nie dostała zeza rozbieżnego, usiłując patrzeć jednocześnie na matkę, na jej gacha i na własnego męża. Była wściekła. Matka zawsze czymś musiała ją przebić. Jeśli nie gotowaniem, to narzeczonym. Józeczek dla świętego spokoju nie protestował.

Weszli na teren sąsiadek jak do siebie. Z daleka nikt nie miał szans zauważyć buszujących na tyłach posesji. Drzewa zasłaniały ich przed wzrokiem ciekawskich.

Oględziny niczego nie wniosły. Upiorne baby zdążyły przekopany teren obsadzić krzewinkami wrzosów, wygracować ścieżkę i obsypać ją kamykami. Naganna pracowitość. Karolina zgrzytała nie swoimi zębami, a Mieczysław z uwagą przyglądał się otoczeniu. Nie chciał ryzykować włamania zarobkowego. Nie teraz. Miał swój honor i nie rabował tam, gdzie dobrze mu się mieszkało. Karolina nie wytrzymała i postanowiła sprawdzić, czy w całym ogrodzie mają tak niesamowicie czysto.

Trawniki były świeżo wykoszone na cztery centymetry, równiutko jak na boisku piłkarskim. Żadnych sterczących badyli, zazdrościła w duchu. Pamiętała, że już przed jej wyjazdem do sanatorium ogród był niemiłosiernie zarośnięty. Teraz krzewy i drzewa były przycięte i wyrównane, a w koszach przy szklarni piętrzyły się szyszki zebrane spod iglaków.

Drewno na opał zostało poukładane w równe sterty i czekało na pilowanie.

Kot drzemiący w szklarni obrzucił ich czujnym spojrzeniem. Speszyla się jego obecnością i szybko zamknęła drzwi. Mieczysław gmerał wśród wytrychów. Myślał o tym samym, co ona. Stali za komórką, ukryci tak, by nikt ich nie dostrzegł. Wprawdzie Beatka pojechała z Józeczkiem do sklepu, bo potrzebowała pomocy przy przenoszeniu kartonów, ale kto ich tam wie, mogli się szybko uwinąć i już wracać. Albo teraz, albo nigdy, pomyślała. Niecierpliwie dreptała przy boku Micia, powstrzymując się, by go nie popędzać.

Nagle drzwi wejściowe się otworzyły i wyjrzał z nich ktoś znajomy. Karolina bezgłośnie nabrała powietrza i cofnęła się.

- Auć! Czyś ty oszalała? - sarknął Mieczu, czując ciężar dziewięćdziesięciu kilogramów na swoich stopach. - Patrz, jak chodzisz!

- To ty patrz! - Karolina szarpnęła niekumatego narzeczonego za rękaw kurtki. - Czy ty widzisz to samo, co ja?

Pan Kot wściekły był jak rzadko. Domowe baby pojechały i z ich rozmowy wywnioskował, że szybko nie wrócą. Dla fasonu jeszcze przez chwilę siedział na słupku, udając, że jest mu przykro, po czym zgrabnie zeskoczył i ruszył na obchód posesji po drugiej stronie ulicy.

Marylka miała trochę dziwne podejście do zwierząt i wprawdzie pamiętała o kotach, ale jednak faworyzowała psy, tak jakby były komu potrzebne te zakały kociego rodu! Wokół domu wyczuł znajomy zapach, który pozostawił Bobik od państwa Mazurków, ten mały histeryk zwariowany na punkcie zdrowego trybu życia. Pan Kot obszedł budynek i właśnie zmierzał w stronę furtki, gdy zastanowił go widok osoby wchodzącej bez pytania na jego teren. Wyciszył rozkołatane

serce i po cichu przemknął na teren własnego ogrodu. Osobnik zniknął mu z pola widzenia i przez moment Pan Kot zastanawiał się, czy nie miał omamów.

To wszystko wina przepracowania, mruknął w duchu i postanowił się przekimać. W szklarni nikt nie powinien mu przeszkadzać.

Ledwo zdążył wymościć sobie wygodne poślanie, gdy drzwi się otworzyły i ujrzał w nich tę koszmarną babę z sąsiedztwa. Przy niej ciotka Lukrecja mogła uchodzić za anioła. Już zamierzał ją zdrowo ofuczyć, gdy baba delikatnie się wycofała.

Co ona robi w jego ogrodzie?

Jak tylko się wyśpi, to sprawdzi, z jakiej racji ją tutaj przyniosło.

Ciocia z mamusią długo nie wracały, więc wzięłam się do przygotowywania obiadu. Marylka obiecała, że coś upiecze na wieczór. Odnowienie kontaktu z nią miało swoje dobre strony. Zadzwoniłam, żeby ją poinformować o spodziewanej wizycie podkomisarza. Zastanawiałam się, czy jest to dobry moment, żebyśmy przeszły z nim na ty. Po tylu spotkaniach byliśmy prawie zaprzyjaźnieni. Jednak po głębszym namyśle postanowiłam poczekać na rozwój sytuacji. Byłam wściekle ciekawa, czego się dowiedział od naszego sąsiada. Przecież skoro tamten prowadził przed laty śledztwo, to powinien pamiętać, kogo podejrzewali. Kiedyś nie mieli tak lekko. Trzydzieści pięć lat temu zapewne nikt się nie bawił w badanie DNA i nie było komputeryzacji, a ślady linii papilarnych porównywał człowiek, nie komputer. Świadców nie było. To znaczy byli, ale się nie ujawnili. Rzeczywiście jedynym dowodem mogło być moje znalezisko. Ale dowodem czego? Pomyślałam, że zanim podejmę jakiegokolwiek decyzje, posłucham, co podkomisarz ma nam do powiedzenia.

Należało również porozmawiać o morderstwie dziadka Trackiego i śmierci Czesława Brudzińskiego. Jakoś nie wierzyłam w zemstę mafii na polskiej wsi.

- To przechodzi wszelkie pojęcie! - Ciocia Lukrecja emanowała wściekłością.

Popatrzyłam na nią zdziwiona. Mama przezornie milczała, rozpakowując zakupy i układając je na stole.

- Coś się stało, ciociu? Czy coś nie tak z protezą? - zapytałam delikatnie i odłożyłam pieczywo we właściwe miejsce. Mama znowu przesadziła z zakupami. Siatka ważyła dobre pięć kilo.

- Nie tak? Ładnie mi nie tak! - jazgotała ciocia i z rozmachem klapnęła na ustawiony w rogu kuchni fotel. Dyszała, nakręcając się wściekłością.

Mama wyłączyła się z układania wiktuałów w lodówce i spojrzała na ciocię z rozbawieniem. Skwitowała:

- Jak zawsze przesadzasz. Przecież ci mówiłam, że nie obędzie się bez problemów - przypomniała.

- Ale nie mówiłaś, że to będą takie problemy. O ile dobrze pamiętam, to pytałaś, czy konieczne jest rwanie i czy będzie borował, a ja powiedziałam, że nie. Miała być tylko proteza. A teraz to! - Ciocia z rozmachem wepchnęła sobie palce do buzi i wyłuskała z niej lśniący nowością mostek. Nie zobaczyłam w nim nic nadzwyczajnego: różowe dziaśła, bielutkie ząbki. Gapiłam się jak sroka w gnat.

Mama też zerknęła i widziałam, że ledwo powstrzymuje śmiech.

- Ja się tak nie bawię, o co wam chodzi? - zrezygnowałam, wyłączając gaz pod ziemniakami. Miałam nadzieję, że się nie przegotowały.

Ciocia wciąż siedziała nafuczana, więc spojrzałam pytająco na mamusię:

- Mówcie, bo mi inteligencja szwankuje.

- Wiesz, do kogo ciocia poszła?

- Do protetyka albo do stomatologa. Do kogo miałyby iść? - zdziwiłam się.

Mama westchnęła przeciągle i wyrzuciła:

- Ciocia poszła do najlepszego stomatologa w mieście. Rozumiesz?

Zrozumiałam. Najlepszy stomatolog w mieście - tak się reklamował w miejscowych gazetach, portalach informacyjnych, a nawet na wizytówkach - był jednocześnie stomatologiem obdarzonym ponadprzeciętnym pechem. Założone przez niego plomby wypadały po miesiącu, wrywał nie te zęby, co trzeba, a na zdjęciach rentgenowskich pacjenci zawsze mieli stan zapalny i minimum trzy ubytki do natychmiastowej naprawy. Jak on do tej pory prosperował, nie wiem. Fakt, że na wizytę nie czekało się długo, więc może to stanowiło o sukcesie. Do normalnego stomatologa trzeba było czekać minimum dwa miesiące.

- Co tym razem? Bo nie widzę.

- Zgadnij. - Mama usiłowała się ze mną droczyć.

- Pięć zębów w cenie czterech - rzuciła ciocia, świszcząc przez braki w uzębieniu i podetknęła mi protezę przed oczy. - Widzisz, jak upchał? Z lewej strony miał być jeden ząb, po prawej trzy, a ja mam tu dwa, a tu trzy. I jeszcze powiedział, że mi za tego piątego zęba nie policzy. Rozumiesz? - Ciocia eksplodowała wściekłością. - Jeszcze miałabym płacić za pomyłki tego starego osła?!

Rzeczywiście to było kuriozalne.

Ciocia zdecydowanym ruchem założyła brakujące uzębienie i spojrzała na nas, z trudem hamując wybuch śmiechu. Jak na



komendę kwiknęłyśmy gromko, usiłując sobie wyobrazić całą scenę. Ząbek w gratisie. Całkiem niezła reklama.

Wieczór zapowiadał się ciekawie. Po zmianie czasu już około siedemnastej zapadały ciemności rozświetlane mdłym blaskiem latarni. Ta przy domu Marylki mrugała ostrzegawczo i gospodyni bała się, że za chwilę zgaśnie. W serwisie energetyki obiecywali, że na pewno dziś przyślą człowieka do naprawy, ale jak zawsze skończyło się tylko na gadaniu. Marylka wiedziała, że musi iść tam osobiście i ich pogonić, bo bez bata żaden się nie ruszy.

Przy pieczeniu ciasta zastanawiała się nad ostatnimi wydarzeniami i jakoś trudno jej było te wszystkie wątki ogarnąć. Lenka ostatnio narzekała, że jej fikcyjni bohaterowie robią, co chcą, a ona już przestaje nadążać. Wtedy te narzekania wydawały się Marylce dziwne, ale teraz - po doświadczeniach ze skumulowanymi morderstwami - patrzyła na to nieco inaczej. Przełożyła biszkopt kremem śmietanowym i oblała czekoladą. Dziś nie miała głowy do pieczenia skomplikowanych specjałów.

Czuła, że zrobili błąd, nie informując podkomisarza o wizycie Gienia. To mogło mieć znaczenie. Lena miała do tego huncwota słabość, to się wyczuwało, ale ona - bardziej doświadczona - już dobrze знаła takich miglanców i wiedziała, że są przyczyną przeróżnych kłopotów. Wypisz, wymaluj mąż Basieńki, jej kuzynki. Włodkowi też tak oczyska latały, a już najbardziej za babami. Nie umiał się opanować.

Marylka przełożyła ciasto do specjalnego pojemnika, zostawiając mężowi kawałek na otarcie łez. Do torebki włożyła notes i okulary do czytania. Narzuciła płaszcz na ramiona i z pojemnikiem w ręku udała się do sąsiadek. Musiały porozmawiać, jeszcze zanim pojawi się podkomisarz.

Gdyby wiedział, że ta zołza też przyjdzie, to nawet nie ruszyłyby się z domu. Były porucznik milicji prowadzący trzydzieści pięć lat temu śledztwo w sprawie morderstwa kucharki szkolnej Jadwigi Krochmalskiej uległ prośbom podkomisarza Zakrzewskiego i teraz tego srodze żałował.

Wszystkie obecne przy stole kobiety znał z widzenia i miał swoje zdanie na ich temat. Leniwe kocisko łypało na niego spod oka, nie racząc zejść ze strategicznego stanowiska na parapacie. Do czego to doszło! Zakrzewski się spóźniał, a minorowy nastrój próbowała rozładować ta najstarsza damulka, opowiadając jakieś banialuki o swojej wizycie u dentysty. Kto to widział takie intymne szczegóły wywlekać na forum! Był zniesmaczony. Ta zołza z różowego domu kroїła ciasto i wykładała na talerzyki. Wyglądało apetycznie, ale kto ją tam wie, co dodała do środka. Na wszelki wypadek postanowił, że się wymówi od próbowania. Co najwyżej gorzka herbata z torebki wchodzi w grę. W sumie nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Widział, że zdziwiły się na jego widok. Widocznie Zakrzewski ich nie uprzedził. Teraz ta młodzież taka roztargniona! Ale szybko się zreflektowały, usadziły za stołem i narzuciły mu swą gościnność.

Przy propozycji wina ta starsza poderwała się od stołu, zrzucając na dywan łyżeczkę od herbaty. Ruszyła gdzieś w głąb korytarza. Zniknęła za jednymi z licznych drzwi, tymi ostatnimi, i zaraz pojawiła się, dzierżąc butelkę. Tfu, alkoholiczka.

Ledwo powstrzymywałam się przed zarzuceniem tajemniczego sąsiada pytaniami. Zresztą o cóż tak naprawdę mogłam pytać? Gdyby Wiechejski wiedział, kto zabił pannę Jadzię, to by się na pewno nie zgodził na spotkanie z nami, tylko swoimi kanałami zarzuciłby sieci na mordercę. Co szykował podkomisarz? Spóźniał się, a to było do niego niepodobne. Zaczęłam się więc niepokoić.

Dobrze, że ciocia Lukrecja przypomniała sobie o droгим sikaczu z Łopotnik. Jedna butelka na tyle osób to stanowczo za mało. Obserwowałam minę naszego tajemniczego sąsiada. Okopał się, jakby za chwilę miała wybuchnąć wojna. Zachowywał pełną rezerwę wobec otoczenia. Marylka niedawno wspominała, że sąsiad jej nie lubi. Jednak nie mogłam się pozbyć wrażenia, że na widok jej ciasta złagodniał. No cóż, zobaczymy, co z tego wyniknie.

Podkomisarza Marka Zakrzewskiego powitałyśmy zbiorowym westchnieniem ulgi, które nie zabrzmiało zbyt elegancko.

Wino chłodziło się w lodówce. Zakrzewski nie czekał z pytaniami. Rozłożył na stole małego notebooka. Chwilę poklikał i zadał nam pierwsze pytanie:

- Czy mówi coś paniom nazwisko Słodki? Waldemar Słodki.

Zdębiałam, a przy stole nagle zapanowała trudna do zdefiniowania cisza. Wszyscy patrzyli w moją stronę.

- Waldemar? A kto to jest? - Popatrzyłam niewinnie w kierunku policjanta.

- Ojciec niejakiego Eugeniusza Słodkiego - odparł.

- Ojcu Gienia było Waldemar? - wyrwało się mamusi. Wiedziałam, że któraś nie wytrzyma. Nie miałam wyjścia i musiałam obu panów zapoznać z sylwetką Eugeniusza Słodkiego. Wszystko, o co go podejrzewałam, nabierało realnych kształtów.

- Żadnych świadków, nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał. W pobliżu szkoły bloki, boisko, ścieżka, a świadkowie jakby zapadli się pod ziemię. Jedynym śladem, w zasadzie nitką, która mogłaby nas zaprowadzić do sprawcy, była cięża denatki. Cóż z tego, skoro nikt nie wiedział, kto jest ojcem. Panna Jadzia uchodziła za wzór cnót i nikt nigdy nie widział jej

z obcym mężczyzną. - Pan Jerzy powoli się rozkręcał, opowiadając o prowadzonym lata temu śledztwie.

Do Waldemara Słodkiego doprowadziły go żmudna eliminacja i upór. Wtedy w sumie szybko zamknęli sprawę, gdyż zaczęły przeważać sprawy polityczne i los szkolnej kucharki mało kogo obchodził. Ale on nie odpuścił. Akta sprawy zabrał do domu, traktując porażkę bardzo osobiście.

Wtedy, owszem, jedna z podkuchennych utrzymywała, że widziała pannę Jadzię z jednym z ojców dziecka ze szkoły, ale inne ją zakrzyczały, że zmyśla, by Jadzi reputację popsuć. Więc się dziewczyna zamknęła w sobie i bieda była z niej wyciągnąć, jak ów mężczyzna się nazywa. Ale w papierach jej dane zostały, tak jak i dane całej reszty przesłuchiwanym.

W sumie całkiem niedawno wrócił do sprawy. Wcześniej, gdy tylko przeszedł na emeryturę, to na spółkę z kolegą założyli biuro detektywistyczne. Mieli urwanie głowy. Zlecenia sypały się jedno za drugim i nie wiadomo było, w co ręce włożyć. Dwa lata temu odpuścili, gdyż ich dzieci przejęły interes. Kolega zajął się podróżowaniem. Nigdy wcześniej nie miał na to czasu. On zaś wrócił do rozgrzebywania starych spraw. Nie wszystkim to się podobało, ale miał własne zdanie na ten temat. Przepisy prawa swoje, a on dla własnej satysfakcji chciał odszukać sprawcę. Tak jak odszukał świadków sprzed lat. Wiele osób już, niestety, pożegnało się ze światem, ale żył jeszcze najważniejszy świadek - owa podkuchenna. I dopiero teraz dowiedział się od niej, jak to naprawdę z panną Jadzią było.

- Robiła za świętoszkę, co? - skomentowała ciocia Lukrecja.  
- Dziecko, wyjmij wino z lodówki, bo już powinno być w sam raz.

Podniosłam się od stołu, pamiętając, że czeka nas długa nasiadówka, i podeszłam do szufladek, w których trzymałyśmy potrzebne drobiazgi. Nie szukałam długo. Korkociąg leżał w

środkowej. Wręczyłam go podkomisarzowi. Nie widziałam powodu, dlaczego to ja miałabym się męczyć.

Sikacz smakował nieźle i gdyby tylko był nieco tańszy, warto byłoby pojechać do Łopotnik po zapasy.

Właśnie!

- Przepraszam, że nie na temat, ale dowiedziałyśmy się, że Brudzio mieszkał na Sycylii. Może jego sprawa jest prostsza. Porachunki mafijne? - Skrzywiłam się z powątpiewaniem. Nigdy nie wiadomo.

- Do aktualnych spraw jeszcze wrócimy - uspokoił mnie podkomisarz, skupiając na sobie uwagę wszystkich zainteresowanych. - Na razie wróćmy do nieszczęsnej panny Jadzi. Niech pan kontynuuje - poprosił uprzejmie nieco zdeprimowanego naszym brakiem dyscypliny sąsiada.

- Rzeczywiście, dziękuję, kolego. Wracając do meritum, znalazłem dawną podkuchenną, a teraz główną księgową poważnej firmy i skłoniłem ją do zwierzeń. - Wiechejski zdecydowanym ruchem sięgnął do leżącej cały czas na stole zielonej teczki i otworzył ją. Powiało stęchlizną. Miałyśmy przed sobą dokumentację związaną ze śmiercią szkolnej kucharki.

Okazało się, że ówczesna podkuchenna bardzo zazdrościła pannie Jadzi przystojnego gacha i się z tą niestosowną zazdrością obnosiła. Pozwoliła sobie także na sprawdzenie, kim jest amant. Okazało się, że jest nim nie kto inny jak Waldemar Słodki, urodzony w Miasteczku czterdzieści lat wcześniej, z zawodu kierowca taksówki. Słodki miał tak zwany bajer i rwał panienki jak kwiaty na łące.

- Rzeczywiście, sam Gieniu tak określił tatusia: kobiety, wino, śpiew - potwierdziłam.

- Zgadza się. - Starszy pan przytaknął i wrócił do relacjonowania: - Dopóki podryw ograniczały się do zgrywania porucznika Borewicza i w miarę dyskretnych podbojów

łózkowych, dopóty panował spokój. Żona Słodkiego się domyślała, ale nie zamierzała robić afery, wierząc, że mąż się wyszumi i w końcu ustatkuje. Trwało to dość długo, ale od pewnego momentu już nie szło tak gładko. Zaczęły się kłopoty. - Jerzy Wiechejski odchrząknął i sięgnął po lampkę z winem. - Naprawdę znakomite. Dawno nie piłem tak dobrego - pochwalił.

- Dziwię się tej żonie. Przecież musiała być zazdrosna! - Marylka postanowiła wtrącić życiowe trzy grosze.

- Och, wiesz, może chciała mieć spokój. - Ciocia podjęła temat i mrugnęła porozumiewawczo, a ja zobaczyłam rumieniec kwitnący na policzkach podkomisarza. Czyżby ciocia miała rację?

- Jaki spokój? - Marylka nie załapała.

- Hm... - Starszy pan odchrząknął elegancko, rzucając w stronę cioci nieprzyjemne spojrzenie.

Ciocia Lukrecja zabawnie podniosła ręce do góry w geście poddania. Były policjant mógł wrócić do swojej relacji.

- Jak powiedziałem, udało mi się nawiązać kontakt z Heleną Bucką, tak się teraz nazywa dawna podkuchenna. Jest w stu procentach pewna, że człowiekiem, z którym się panna Jadzia spotykała, był ojciec pani kolegi z klasy. - Tu starszy pan skłonił głowę w moim kierunku. - Powiem więcej. Otóż pani Helena знаła także tło tej sprawy. Oprócz tego, że panna Jadzia była w ciąży i mogło to być źródłem nieprzyjemności dla Słodkiego, to jeszcze pożyczyła mu dużą kwotę, a kiedy dowiedziała się o swym odmiennym stanie, na pewno chciała pieniądze odzyskać. Słodki miał podwójny motyw. W jego przekonaniu musiał ją zamordować, żeby pozbyć się problemu z nieślubnym dzieckiem oraz żeby nie zwracać pannie Jadzi pieniędzy. Ponoć była to niemała kwota odkładana na ich wspólne życie. Tak mówi pani Helena - dokończył i usiadł wygodniej.

Widziałam, jak ze starszego pana schodzi napięcie, a wzrok zatrzymuje się na stojącym z boku talerzyku z ciastem. Po chwili papiery powędrowały na bok, a ich miejsce zajął słodki poczęstunek. Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby ktokolwiek oparł się ciastu Marylki.

Wzięłam głęboki oddech i postanowiłam iść na całość. Ale najpierw...

- Mam jedno pytanie. To znaczy pytań to ja mam więcej, ale to jedno jest zasadnicze. Czy wiadomo, jak panna Jadzia została zamordowana?

Sama widziałam, jak tamten osobnik ją dusił, ale tak naprawdę, gdy zaczęłam w pamięci odtwarzać całą scenę, to już niczego nie byłam pewna.

Starszy pan spojrzał na mnie bystro i odparł:

- W ruch poszła apaszka albo krawat.

Więc jednak...

- Zaczekajcie chwilę. - Z ciężkim sercem podniosłam się od stołu i poszłam na górę do biblioteki po dowód rzeczowy.

- Krzyk mody. Późne lata siedemdziesiąte - zawyrokowała ciocia, spoglądając na krawat.

- Brzydki. I pomyśleć, że kiedyś takie poliestrowe krawaty były w cenie. - Mamusia wyciągnęła rękę, by sprawdzić, czy dobrze oceniła rodzaj materiału, z którego został wykonany.

- Może lepiej niech pani nie dotyka! - Zaktywizował się podkomisarz, odbierając mi szarą kopertę.

- Myślisz, że znajdziecie ślady DNA? Ale jaki to ma sens po takim czasie? I te koszty - zatroszczyłam się. - One tak przeleżały razem ponad trzydzieści lat. Nie rozumiem, dlaczego wtedy Gieniu nie zabrał tego krawata. Przecież mógł mi powiedzieć, że mu się podoba, cokolwiek, nawet bym się nie zastanowiła. - Zmartwiłam się niedopatrzeniem kolegi. - To

naganne tak nie dbać o interes rodziny. – Umilkłam, chcąc przetrwać informacje.

Reszta nie zamierzała siedzieć cicho. Przy stole rozpoczęła się żywa dyskusja o odpowiedzialności i nieodpowiedzialności młodego pokolenia.

– Reasumując – podkomisarz usiłował przebić się przez gwar głosów – znalazłaś ten krawat na boisku, gdy następnego dnia rano przyszedłaś do szkoły. I nic ci w głowie nie zaświtało, że to może być dowód morderstwa? – Nawet nie zauważyłam, że podkomisarz w świętym oburzeniu zaczął mówić do mnie na ty.

– A skądże znowu! Wtedy nie czytywałam kryminałów! Poza tym czekałam na Gienia. Miał przyjść wcześniej. Zgarnęłam ten krawat mechanicznie, a potem całe zdarzenie usiłowałam wyrzucić z pamięci i nie dać się złapać nauczycielowi fizyki, który o ile dobrze pamiętam, gustował w sweterkach w serek. Krawatów na pewno nie nosił.

– Czyli to jednak Gieniu. I to włamanie do ciebie to też jego sprawa! – podsumowała Marylka. – Jedną sprawę mamy wyjaśnioną – ucieszyła się.

– Od wyjaśnienia do udowodnienia jest jeszcze daleka droga, proszę pani – rzucił kąśliwie Jerzy Wiechejski i zgarnął z talerzyka resztkę kremu śmietankowego.

– Ależ ja to wszystko rozumiem! Bardziej chodzi mi o to, że wiedząc, kto zabił pannę Jadzię, możemy się swobodnie zastanowić nad bieżącymi wydarzeniami. Skoro włamanie do Lenki to sprawa Gienia, który szukał dowodu winy swojego ojca, to zostało nam wyjaśnienie, kto zabił Romualda Trackiego i Czesława Brudzińskiego. Nie wspomnę o pożarze stodoły braci Gibkich – skonkludowała optymistycznie.

Lampa nad stołem migiała niepokojąco. Z pewnością pan Mazurek znowu wziął się za spawanie. W kuchni było ciepło i przytulnie, a aromat kawy zmieszany z zapachem czekolady mógł przytępić najtęższe umysły. Trzeba było dużo



samozaparcia, by w takich warunkach prowadzić śledztwo. Pan Kot spał już w najlepsze, nieczuły na męskie barytony, tak rzadkie w naszym domu. Było bardzo miło. Zbyt miło. Skąd Gieniu wiedział, że krawat jego ojca jest u mnie? Wtedy z premedytacją wprowadził mnie w błąd, ale o krawacie nie było mowy. Chyba że... Czułam, że brnę za daleko w moich rozważaniach.

Posiedzenie zakończyliśmy po dwudziestej drugiej. Rozstaliśmy się z uczuciem niedosytu. Cały czas męczyło mnie przeświadczenie, że ominęłam coś istotnego dla śledztwa, ale za Chiny nie wiedziałam co. Na współpracę z Jerzym Rosołem rozwijającym śledcze skrzydła nie miałam ani ochoty, ani siły. Musiał radzić sobie sam.

*Kraków, jak to Kraków, od rana tętnił życiem. I przez wszystkie jego dworce przewalały się tabuny pieszych szukających właściwych środków lokomocji. Jerzy Rosół z niepokojem obserwował przestrzenie lotniska w Balicach, jeszcze nie wierząc, że nikt go nie śledzi. Do piersi miłośnie przytulał wypchany plecak, a oczy skrył za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych. Opalił się, a włosy, czarne, gęste, układające się w naturalne fale, schował pod bejsbolówką. Postanowił, że najpierw zajrzy do swojego mieszkania w Hucie, a dopiero jutro wybierze się samochodem do Miasteczka. Miał jeszcze trochę urlopu i nie musiał się spieszyć z powrotem do Warszawy. Mieszkanie w Hucie przydawało mu się i na razie nie widział powodu, by się go pozbywać. Koledzy z warszawskiej redakcji, z którą najczęściej współpracował, byli przekonani, że wróci za tydzień. Jako wolny strzelec, z angielska freelancer, miał dużo większe możliwości niż ci, którzy stale pozostawali do dyspozycji redaktorów naczelnych.*

*W mieszkaniu panował trudny do wytrzymania zaduch. Tumany kurzu krążyły w promieniach słońca. W pierwszym odruchu otworzył wszystkie okna, w drugim pomyślał, że powinien je zamknąć. A nuż ktoś go śledzi i teraz widzi, że już wrócił. Przymknął brudne skrzydła i szybko zrzucił z siebie przepoconą koszulę. Pełen wątpliwości poszedł do łazienki, żeby wziąć prysznic. Wszystko tylko nie mania prześladowcza. Nie jest jakimś zakichanym pępkim świata. Odświeżony otworzył lodówkę i z radością spojrział na zapas piwa. Do mikrofalówki wstawił dwie przeterminowane zapiekanki kupione niegdyś na zapas i postanowił zadzwonić. Czuł, że prezes Anexu nie był jedynym człowiekiem, którego powinien się obawiać.*

*Do Miasteczka jechał równo półtorej godziny, czyli tyle samo, co zawsze. Po konsultacji z kolegą ze studiów parającym się prawdziwym dziennikarstwem śledczym wiedział już cokolwiek więcej, ale jeszcze za mało, by stworzyć prawdziwy obraz sytuacji. Na razie ledwo przeczuwał, co go czeka. Nie był pewny, czy prawidłowo rozumuje.*

*Po rozmowie z wiekową damą był kompletnie wyprowadzony z równowagi i chociaż doña Izabella zaklinała się na wszystkie świętości, że śmierć szefa Anexu była konsekwencją jego zachowania i żadna premedytacja nie wchodziła w grę, to jednak trudno było mu w to uwierzyć. Z drugiej strony ta krucha dama po prostu nie mogła być zamieszana w jakieś wydumane porachunki. Uratowała mu życie i był jej za to wdzięczny. Nie dociekał, skąd miała broń. Cieszył się, że zachowała celność strzału i że nie jego położyła trupem. Byłoby to zgodne z wcześniejszym założeniem tej*

zwariowanej autorki, która totalnie zaniedbała akcję i puściła wszystko samopas. Nieodpowiedzialna kobieta!

Ale skoro musiał wykluczyć Izabellę i zostawić za sobą wydarzenia z Barcelony, to nie pozostawało mu nic innego, jak tylko znaleźć odpowiedź na pytania, skąd szef Anexu wiedział, z kim się umawia, i dlaczego chciał go zamordować. O śledztwie prowadzonym przez dziennikarza wiedziała tylko jedna osoba. Ludzie, z którymi rozmawiał, mogli się domyślać, że zbiera informacje, ale niegłupio wymyślił, że w ramach swych dziennikarskich doświadczeń postanowił przeprowadzić wywiad rzekę z człowiekiem sukcesu. A do przeprowadzenia takiej rozmowy trzeba się solidnie przygotować, by wiedzieć, o co pytać.

Wszyscy byli usatysfakcjonowani takim wyjaśnieniem sprawy. Rosół rozmawiał o wydumanej projekcie nawet z sekretarzem prezesa, który był zachwycony inicjatywą. Telefon od informatora w Hiszpanii wprawił go w zdziwienie, ale w dobie telefonów komórkowych każdy z każdym mógł się skontaktować. Poza tym nie ukrywał, że wyjeżdża. Zakładał, że jego zlokalizowanie nie było trudne, zwłaszcza że na Facebooku zamieszczał zdjęcia z podróży. Numer jego komórki znało mnóstwo osób, więc z uzyskaniem go też nie było problemu. Gdyby przyszło mu się spotkać z prezesem Anexu w normalnych okolicznościach, to co najwyżej porozmawialiby sobie na różne mniej lub bardziej wygodne tematy i rozstaliby się w pozornej zgodzie.

Informacje, które otrzymał od kolegi, potwierdzały to, co podejrzewał. Sprawa została ukartowana, a do odstrzału został przeznaczony bohater wczorajszych relacji telewizyjnych. Jego śmierć była na rękę szefowi Anexu, jakże wygodnie przebywającemu na wczasach w

*Hiszpanii. Ciekawe, czy policja hiszpańska dotarła już do żony milionera. Co ona na to? Dziennikarz przypuszczał, że milionerowi mógł towarzyszyć jakiś prawnik, ktoś ogólnie szanowany, kto mógłby dać niepodważalne alibi.*

*Rondo na zjeździe ze Śląska było zakorkowane. Jerzy Rosół wcisnął hamulec. Nie zamierzał tracić czasu na stłuczkę. Włókł się jak żółw, porównując w pamięci tutejszy ruch z precyzją hiszpańskich kierowców. Oni wiedzieli, jak jeździć! A tutaj... Mężczyzna westchnął z ulgą, wyjeżdżając na główną drogę i dalej prosto - na osiedle. Nie miał najmniejszej ochoty na konfrontację, ale musiał sprawdzić, czy to, co podejrzewa, ma coś wspólnego z prawdą.*

Uff, w końcu Jerzy Rosół przyjechał do Miasteczka. Ucieszyłam się, że podjął męską decyzję. Zdziwiona byłam, że nie pojechał od razu na swoje Peryferie, tylko w kierunku bloków. To, z kim chciał się tam spotkać, było jego słodką tajemnicą, ja w tym momencie miałam najmniej do powiedzenia. Mogłam tylko mniej lub bardziej spokojnie czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Wprawdzie zdawałam sobie sprawę, że powinnam przyspieszyć wyjaśnianie sprawy i dziarsko zmierzać do finału, gdyż do ostatecznego terminu oddania tekstu pozostał niespełna miesiąc, ale nie byłam pewna, czy potrafię. A potem jeszcze przede mną drugie czytanie, korekta błędów, wstępna redakcja! Wydawca już delikatnie dopominał się o fragmenty materiału.

Spokojnie zaczekałam, aż dziennikarz zaparkuje na przybłokowym parkingu. Długo to trwało, bo - biedny - miał kłopot z wjechaniem pomiędzy dwa samochody ustawione tak, jakby ich właściciele nie znali pojęcia linii prostej. Stanęli jak

święte krowy. Na zajętej powierzchni spokojnie mogłyby zaparkować jeszcze dwa samochody.

*Jerzy Rosół miał w pamięci wycieczkę do muzeum figur woskowych. Był przeświadczony, że ściga go niewidzialna siła. Z wewnętrznej uliczki wyszedł na ugiętych nogach, blady i drżący. Na ulicach Barcelony życie toczyło się dalej. Słychać było gwar, ruch, pęd samochodów, kakofonię miejskich dźwięków. Stał i powoli chłonał rytm miasta. Całą siłą woli opanowywał emocje. Przyglądał się pojazdom. Dziwił się, że wcześniej umknął mu sposób parkowania w Barcelonie. Kierowcy ustawiali swoje auta jeden za drugim przy chodniku. Na styk. Na jego rozum żaden nie miał szans wyjechać, a jednak... Zauważył ruch w szeregu. Jakiś samochód zaczął się rozpychać między dwoma innymi autami, uderzając naprzemiennie w ich zderzaki i torując sobie miejsce do wyjazdu. Ze zdumieniem zauważył, że powoli opuszcza miejsce parkingowe, nie zwracając uwagi na uszkodzenia sąsiednich pojazdów. Tutaj kierowcy zostawiają swoje auta na wolnym biegu, by w razie potrzeby ktoś mógł je przepchnąć.*

*Wrócił do rzeczywistości. Odpuścił próbę wbicia się pomiędzy krzywo zaparkowane auta, wycofał i rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego miejsca. Podjechał kilkanaście metrów dalej i zaparkował przy następnym bloku. Zaciągnął hamulec, sięgnął na tylne siedzenie po swoje rzeczy i z plecakiem w ręku pomaszerował w kierunku sąsiedniego bloku. Musieli porozmawiać.*

Noc przeszła nam spokojnie. Nikt się nie włąmywał, nikt nie wydzwaniał po północy. Nawet Pan Kot skrócił swój nocny dyżur do symbolicznej godziny i zaraz po północy wrócił do

domu, by zjeść ostatni posiłek i ułożyć się do snu. Wszyscy byliśmy bardzo zmęczeni.

Podkomisarz obiecał dołożyć starań i znaleźć jakikolwiek pasujący motyw, który pozwoliłby nam dojść do tego, kto się pozbył naszego sąsiada i Czesława Brudzińskiego.

Dlaczego? To proste pytanie nie dawało nam spokoju.

Ranek powitał mieszkańców Miasteczka deszczem. Mamusia postanowiła zrobić pranie. Prace w ogrodzie odpadały, bo było mokro, zimno i nieprzyjemnie. Ciocia Lukrecja po śniadaniu zaszła się w swoim pokoju. Zamierzała nadrobić zaległości towarzyskie i zadzwonić do przyjaciółek. Kuchnia założona praniem zmieniała się w wielką pralnię. Mamusia zlekceważyła oferowaną przeze mnie pomoc, twierdząc, że doskonale sobie poradzi. Tym samym pozbawiła mnie alibi, które chciałam sprzedać mojemu bohaterowi, tłumacząc się przed nim brakiem postępów w pisaniu. Pozbawiona pretekstu, musiałam w końcu otworzyć lapa i sprawdzić, jak radzi sobie Rosół i, o zgrozo, czy jeszcze żyje.

Najpierw sprawdziłam, co słychać w necie. Miałam za sobą solidną porcję tekstu i prawdę mówiąc, zbliżałam się do końca powieści, więc uznałam, że mogę sobie pozwolić na przyswojenie nieco już nieaktualnych wieści.

Wiadomości, wiadomości, kto zjadł mięso, ten zje kości. Przypomniało mi się to stare powiedzenie, gdy wczytałam się w wysyp facebookowych informacji o tym, kto co zjadł na śniadanie i co gotuje na obiad. W następnej kolejności mignęły mi wciąż te same dowcipy i tabliczki motywacyjne, z których wynikało, że wiele osób ma bardzo niskie poczucie własnej wartości i odczuwa potrzebę prostych zdań.

Już dość, wystarczy! Obiecałam sobie, że potem nadrobię towarzyskie zaległości.

Już miałam zamknąć stronę, gdy pomyślałam, że nie zaszkodzi sprawdzić, czy Gieniu jest na fejsie. Wpisałam pełne dane, ale nikt się nie pojawił. Skrótem, wspan, zdrobniale - też nie. Odpuściłam.

Wylogowałam się i weszłam na pocztę, żeby sprawdzić korespondencję. Uświadomiłam sobie, że piętrzące się wydarzenia wybiły mnie z normalnego rytmu. Teraz się będę odkopywać z zaległej poczty przez miesiąc. Jak ja nie lubię zaległości! Wyłączyłam komputer. Musiałam odpocząć od tego informacyjnego szumu.

- A cóż ty masz tyle poupychane w kieszeniach? Dobrze, że sprawdzam, bo bym ci pieniądze wyprała! - Gderanie mamy wywabiło mnie z pokoju. Rzeczywiście na stole piętrzyła się sterta świstków, chusteczek higienicznych, papierków po cukierkach i innych drobiazgów. - Sprawdź, bo może w tych śmieciach jest coś potrzebnego - zasugerowała i przesunęła stertę na róg stołu. Ledwie pokonałam stos pościeli przygotowanej do prania i pochylając się nad stołem, zaczęłam przekładać papierki.

W chwilę później już wiedziałam, co mnie ostatnio gnębiło. Cały czas miałam w domu wizytówkę Eugeniusza Słodkiego, na której jak byk widniał nie tylko jego numer telefonu, ale i adres mailowy.

Przecież mogłam do niego napisać! Sprawa panny Jadzi była już wyjaśniona. Gnębiła mnie wątpliwość związana z włamaniem do naszego domu. Jeżeli wszedł tu Gieniu, to musiał wiedzieć, że krawat jest u mnie, czyli wiedział więcej niż ja. A jeżeli to nie Słodki był włamywaczem, to kto? Musiałam go o to zapytać.

Przyjechały i rozpytywały zamiast w domu siedzieć i wnuki niańczyć. Co tam której do tego, gdzie Brudziński mieszkał i skąd przyjechał. Poszły won!

Tego już nie powiedział, ale pani Marta zauważyła marsowe czoło stałego klienta. Właśnie dzieliła się z nim ploteczkami na temat ostatniej dziwnej wizyty:

- Same baby przyjechały i to strasznie drogie wino kupiły. Była z nimi jakaś znawczyni i chwaliła, że pan Czesiek to miał dobry gust.

- Przecież wiadomo, skoro tyle lat mieszkał z tymi makaroniarzami, to czemu nie miał mieć gustu?

- Szkoda chłopca. - Pani Marta westchnęła z uczuciem i zapytała: - To co zawsze?

Klient kiwnął głową. Musiał spokojnie pomyśleć, a trajkocząca sprzedawczyni szczęśliwie chociaż na chwilę umilkła skupiona na gromadzeniu na ladzie podstawowych produktów.

Z zamkniętymi oczami mogła wyrecytować, że potrzebuje pół bochenka chleba od miejscowego piekarza, dwie kostki twarogu, śmietanę i kostkę smarowidła maślanego. Do tego sztyk kiełbasy, kawałek pasztetowej, tak ze dwadzieścia deka, i smalec w słoiku. Gruby Fredzio uwielbiał podroby. A właśnie, dzisiaj dostała wątróbkę. Nie pytając go o zdanie, władowała trochę do woreczka i dołożyła trzy cebule. Tylko wątróbka na cebulce nadawała się do jedzenia.

Alfred Pasłęcki ocknął się na widok ociekającego krwią pakunku. Wzdrygnął się, bo przypomniał sobie, że Cześka ktoś zadźgał nożem. Matko święta, ileż tam musiało być krwi! Przeżegnał się nabożnie, zyskując przychylne spojrzenie właścicielki sklepu.

Zawsze wiedziała, że Pasłęczaki to porządni gospodarze. Nie rozumiała, skąd się wzięły te wszystkie plotki. Ot, zawiść ludzka, nic innego.

Po śmierci Czesława musieli zwinąć interes, a co gorsze, szef zerwał z nimi wszelkie kontakty, jakby byli zadzumieni. Alfred nie wiedział, co się stało, zwłaszcza że od kontaktów z



szefem był Brudzio. To on im przekazywał, komu mają opylć towar. To on ustalał ceny i koordynował współpracę z zagranicą. A teraz wszystko padło! Towar w stodole braci Gibkich spłonął. Cud, że policja nie powiązała tych zdarzeń, bo już by siedział.

Alfred wymamrotał w kierunku kierowniczkii zwięzłe podziękowanie i zabrał wypełnioną po brzegi reklamówkę z lady. Mruczając pod nosem, skierował się ku wyjściu, zasiewając we właścicielce sklepu potężne wątpliwości. Niby taki pobożny, ale jednak coś z głową ma.

Mięłam w dłoniach karteluszek z zamiarami na Słodkiego. Lubiłam go, a nawet przez długi czas uważałam za przyjaciela. Wspólne przejścia łączą. Nie chciałam się dowiedzieć, że człowiek, któremu ufałam, po prostu bezczelnie mnie wykorzystał do swoich celów i przez lata mamił.

Zwinęłam ze stołu w kuchni kubek z paluszkami i teraz pochłaniałam jeden za drugim, intensywnie myśląc. Pralka szumiała. Jej dźwięk zlewał się z kakofonią lodówki. Kiedyś słyszałam o lodówce, która chodziła tak cicho, że jej właściciele co jakiś czas sprawdzali, czy w ogóle działa. Ale to, zdaje się, był pojedynczy egzemplarz. Mojej nie musiałam sprawdzać.

Usadowiłam się wygodnie na kanapie i ponownie włączyłam lapka. Odwlekałam wejście do skrzynki pocztowej, zastanawiając się, czy w ogóle pisać do Gienia. Czy to miało jakikolwiek sens?

Dopiero po latach, dzięki przypomnieniu zdarzeń przez Jerzego Wiechejskiego, uświadomiłam sobie, że Gieniu w mordercy musiał rozpoznać ojca i po prostu zrobił wszystko, by chronić go przed zdemaskowaniem. To, że facet przestał za nami biec, w ogóle nie wydało mi się dziwne. Teraz byłam pewna, że Waldemar Słodki w uciekającym musiał rozpoznać własnego syna. Gieniu mógł być spokojny, mógł mi wmówić

cokolwiek. Fakt, że wyjazd z Miasteczka musieli mieć nagrany wcześniej. Ani wtedy, ani teraz nie sprzeda się domu od ręki, chyba że z dużą stratą. Wtedy na szkolnym apelu staliśmy obok siebie, a ja miętosilałam ten nieszczęsny krawat. Kompletna, pozbawiona skojarzeń idiotka! Jednak byłam jeszcze dzieckiem i wiedzę kryminalną miałam w powijkach, a po informacji Gienia wyartykułowanej zduszonym szeptem, że sprawcą koszarnej zbrodni jest nowy fizyk, kwestię krawata wyrzuciłam z pamięci. Jednak Gieniu kontrolował sytuację i mógł widzieć u mnie ten nieszczęsny krawat. Wtedy jeszcze mógł nie skojarzyć faktów.

Być może wznowienie śledztwa przez Jerzego Wiechę-Wiechejskiego odświeżyło pamięć Gienia i przede wszystkim pamięć jego ojca, który miał teraz sporo po siedemdziesiątce i na pewno nie zamierzał wracać do tamtych czasów. Przedawnienie przedawnieniem, ale prawo zawsze mogło się zmienić. Mojemu koledze przypominał się dowód rzeczowy wiążący tatusia z miejscem zbrodni. Na krawacie nie dość, że mogły się zachować ślady identyfikujące mordercę, to jeszcze pozostały drobiny naskórka ofiary albo coś równie ważnego.

Dlatego się włamał. Po prostu nie miał wyboru. Nakierował moje podejrzenia na bogu ducha winnego sąsiada, a sam zaczął węszyć. Wtedy w sklepie Kaśka widziała, jak Gieniu kogoś śledzi i bardzo nie chce być rozpoznany. Poza tym to przebranie za Cyganekę. Dlaczego się przebierał? Przecież mógł przyjść do mnie normalnie! Z perspektywy czasu widziałam, że byłam tak tępa, że cokolwiek by mi powiedział, uwierzyłabym.

W Australię nie uwierzyłam.

Punkt dla mnie.

Zalogowałam się na pocztę, wpisałam adres mailowy Gienia i zdanie po zdaniu opisałam mu całą sytuację. Zawsze wychodziłam z założenia, że lepiej zapytać wprost niż gubić się w błędnych domysłach.

Zadowolona z siebie przerzuciłam się na serwis informacyjny. Wypadek samochodowy znanego biznesmena musiał ustąpić sensacyjnym doniesieniom o operacji plastycznej jakiejś celebrytki. Media robiły tym biednym ludziom wodę z mózgu i utwierdzały w przekonaniu, że umiejętność zaprezentowania się na ścianie ma coś wspólnego z gwiazdorstwem. Smutne.

Na Facebooka nawet nie wchodziłam. Szkoda mi było czasu.

*Jerzy Rosół stał przed drzwiami prowadzącymi do znajomej klatki i zdegustowany naciskał domofon. Jak na razie nikt mu nie otwierał.*

*Co tu robić?!*

*Sygnał esemesa wyrwał go z zamyślenia. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął telefon. Kolega ze studiów sprawdził dla niego co nieco i teraz dzielił się świeżą wiedzą. To nie mogła być prawda!*

*Od dawna nie miał kluczy do tego mieszkania, a jak na złość żadna z okolicznych plotkarek nie zawiesiła na nim ciekawskiego wzroku. Siedziały w domu i gotowały obiad dla rodziny.*

*Pomyślał, że jednak popełnił błąd, że trzeba było jechać od razu do rodzinnego domu. Złapałby tam oddech, sprawdził to i owo. Dlaczego ciągle gdzieś gnał? Byle szybciej do celu. Postanowił, że zrobi sobie przerwę na kawę i coś zje. Był głodny.*

*W knajpie z głośników sączyła się delikatna muzyka. Trąbka, jazz nowoorleański. Było miło i po domowemu przytulnie. Jerzy Rosół wydobył z plecaka notebook i postanowił usystematyzować wiadomości. Powinien to zrobić już jakiś czas temu, ale ciągle nie mógł się skupić. Wolał myśleć, że to po prostu zbieg okoliczności,*

*a jak wiadomo, na zbiegi okoliczności mamy mizerny wpływ.*

*Musiał zacząć od początku.*

*Pamiętał, że jeszcze nie tak dawno wiódł beztraskie życie redaktora specjalizującego się w życiu celebrytów, którego największym zmartwieniem była myśl, czy dostanie zaproszenie na kolejną imprezę lansowaną przez wszystkie zaprzyjaźnione z jego miesięcznikiem pisma. Wyżerka taka, że żyć, nie umierać. Zawsze też trafiała się możliwość zawarcia nowych, korzystnych znajomości, garść, a czasami wiadro plotek. I jeszcze dostawał za to całkiem niemałe pieniądze. Dlaczego dał się skusić dawnej dziewczynie? Czyżby doszły do głosu uspięne ambicje i chęć zrobienia czegoś wielkiego, czegoś, co zostanie zauważone przez wpływowe media, a on otworzy sobie drzwi do wyższego poziomu dziennikarstwa i być może załapie się na własny program w telewizji? Czy o tym myślał? Niekoniecznie, ale chyba właśnie nadszedł dobry moment, by ambicje doszły do głosu.*

*Umówili się na kawę. Potem byli u niej. Rozmawiali w przyjaznej atmosferze, jednak wyczuwał, że była narzeczona jest czymś zasmucona. Czuł jej rezygnację i poddanie się. Kiedyś była z niej gorąca laska, wspominał.*

*Zapytał. Do tej pory nie wiedział, co go podkusiło. Powinien wyjść i zniknąć na długie lata. Teraz siedziałby w domu i pisałby kolejny pełen plotek artykuł, czekając na tłusty przelew.*

*Zjawiskowo piękna Aleksandra otarła łzy i zaczęła opowiadać.*

*Firma Anex była jedną z wielu, do których złożyła aplikację na stanowisko sekretarki i jedyną, która*

odpowiedziała. Pracowało się jej dobrze, ale z czasem, gdy zaczęła mieć coraz większy dostęp do poufnych danych, spostrzegła, że Anex poprzez firmy córki zajmuje się praniem brudnych pieniędzy. Był to efekt pobocznej działalności prezesa i jego zaangażowania w rynek prostytucji. Nikt nie miał o tym pojęcia i ona też nie powinna zdradzać tej wiedzy. Niestety, postąpiła nieroztropnie, żeby nie powiedzieć głupio, i podzieliła się swoim odkryciem z prezesem. Myślała, że cały proceder odbywa się za jego plecami. Z dnia na dzień straciła stanowisko świetnie opłacanej sekretarki i związane z tym przywileje, czyli służbowy samochód, laptop, smartfon najnowszej generacji i obowiązkowy tablet. Prezes zagroził, że może stracić dużo więcej i nakazał milczenie.

Jerzy Rosół nie umiał przestać myśleć o przejściach Aleksandry. Z praniem brudnych pieniędzy już się spotkał i wtedy nie zamierzał się interesować tematem. Jednak teraz opowieść dziewczyny padła na podatny grunt.

Postanowił działać. Zaczął gromadzić dane na temat korporacji Anex. Pierwsze materiały otrzymał od Aleksandry. Spis spółek zaangażowanych w pranie brudnych pieniędzy robił wrażenie. Żadna z nich nie była zarejestrowana na nazwisko prezesa i w nazwie nie miała niczego wspólnego z Anexem. Połączenia były tkane pajęczymi nićmi i trzeba było osoby dobrze zorientowanej, żeby się w tym połapać. Aleksandra była bystra. Dlatego też jego dociekania nie były węszeniem po omacku. Dostał od niej namiary na odpowiednich ludzi i poszło gładko. Robiło się ciekawie. Miał nadzieję, że pomysł wywiadu rzeki z szefem tak dużej, osiągnącej sukcesy w kraju i za granicą firmy będzie znakomitym

*alibi i otworzy mu wiele drzwi. Nie mylił się, ale niefortunne nocne spotkanie z prezesem wskazywało, że coś poszło nie tak i ten domyślił się, co w trawie piszczy. Z kolei informacje przekazane przez kolegę dziennikarza wskazywały, że sprawa może mieć podwójne dno.*

*Dziennikarz skrupulatnie zapisywał swoje spostrzeżenia, usiłując dojść, dlaczego to on miał być ofiarą mordercy. Wiedział, że w kieszeni prezesa policja odkryła woreczek z jakimś narkotycznym specyfikiem, który dopiero wchodził na rynek i był osiągnięciem współczesnej myśli chemicznej. Czyli prezes chciał go zrobić w dilerkę i sponiewierać jego dobre imię. Ale dlaczego? Czy śmierć właściciela konkurencyjnej firmy poniesiona w wypadku była na rękę jego medialnemu przyjacielowi? Podobno tak naprawdę panowie darli koty i ostro konkurowali o przejęcie kontroli nad rynkiem. Gdyby na placu boju pozostał tylko szef Anexu, mógłby zapanować nad wszystkim.*

*Do czego mogła mu się przydać śmierć dziennikarza?*

*Do niczego!*

*Mężczyzna zamówił drugą kawę i wrócił do rozważań.*

*Podrzucenie woreczka z tabletkami miało na celu zdyskredytowanie jego osiągnięć. To na wypadek, gdyby zostawił gdzieś raport ze swego śledztwa. O takim zabezpieczeniu nie pomyślał, a szkoda. Znaleźliby go gdzieś w bramie i po tygodniu nikt nie pamiętałby o jego istnieniu. Gdyby rzeczywiście okazało się, że za śmiercią konkurenta stoi szef Anexu, to dziennikarz mógłby zostać doskonałym kozłem ofiarnym, którego zleceniodawcą mógł być konkurencyjny prezes.*

*Wtedy każdą negatywną informację związaną z korporacją Anex i jego szefem można było złożyć na karb chorobliwej dociekliwości Jerzego Rosoła, którego woreczek z narkotykami pozbawił na zawsze wiarygodności. I spokój święty przynajmniej na kilka lat.*

*Dopił wystygłą już kawę. Zapłacił i zapisał wprowadzone do notebooka informacje. Na wszelki wypadek zrobił kopię i przesłał plik na swoją pocztę.*

*Czekała go wyczerpująca rozmowa.*

Tyle się mówi o zasadzie ograniczonego zaufania, a ten ufnym jak dziecko, chociaż wydawałoby się, że stary wyjadacz, westchnęłam z ubolewaniem i zapisałam tekst.

Do zakończenia książki zostało już tak niewiele. Wiedziałam, że ciężko mi będzie rozstać się z Jerzym Rosołem. Ale cóż, każda książka kiedyś się kończy, a jeżeli bohater przypadnie do gustu czytelnikom, to autor z pieśnią na ustach rozpoczyna pisanie kolejnej części. Z czasem pieśń kłębnie, a protagonista śni się po nocach, ale skoro powiedziało się A, to trzeba recytować alfabet do końca.

Zajrzałam do skrzynki pocztowej, ale Gieniu się nie odezwał.

W skrzynce na listy tkwiło awizo. Znowu listonoszowi nie chciało się stać pod bramką i czekać, aż któraś z nas otworzy. Ciocia Lukrecja już dawno skończyła obdzwaniać przyjaciółki i teraz dzieliła się sensacjami z mamusią, która ze stoickim spokojem doprawiała zupę. Ostatnie pranie wirowało, a po niedawnym rozgardiaszu nie było w kuchni ani śladu. Pytanie, czy dostrzegły listonosza, mijają się z celem. Dziewczyny były nieobecne dla świata.

Pan Kot dreptał obok mnie, gotowy heroicznie towarzyszyć mi w rekonesansie ogrodowym. Przesyłka polecona. Zastanowiłam się, czy ostatnio zamawiałam jakieś książki, ale

nic mi nie przychodziło do głowy. Równie dobrze mogłam zapomnieć.

Ogród tonął w deszczu, więc buty grzęzły mi w rozdyżdanej ziemi. Pan Kot stąpał elegancko, podnosząc łapy tak, by jak najmniej stykały się z podłożem. Po chwili przystanął. Sierść miał przesiąkniętą, ale jak każdy porządny kot musiał załatwić swoje potrzeby. Przykucnął pod krzaczkiem agrestu, a ja dyskretnie odwróciłam wzrok.

Kaptur kurtki szybko nasiąkał. Postanowiłam, że skoro już wyszłam z domu, to przejdę się do końca ogrodu i sprawdzę, czy wrzosa się przyjęły. Poletko za siatką obsadziłyśmy wrzosami i żywotnikami. Ścieżkę zasypałyśmy kamykami. A wszystko po to, by odmienić teren i odepchnąć sprzed oczu widok nieszczęsnego Brudzińskiego.

Dlaczego właśnie tam został zakopany? Komu przeszkadzał ten człowiek? Czyżby wiedział zbyt wiele i sugerował mordercy, że w razie draki się tą wiedzą podzieli?

Błądziłam w domysłach jak dziecko we mgle.

A dziadek Tracki? Ciekawe, dla kogo mógł być zagrożeniem ten starszy pan. Bałam się pomyśleć, że przymiotnik „nieszkodliwy” mógłby być zdecydowanie nie na miejscu.

Powietrze było lepkie, a deszcz pozbawiony ożywczej siły. Takie to wszystko nijakie i przyklapnięte. Byłam zła na niesolidnego pracownika poczty, któremu nie chciało się targać ze sobą przesyłki, tylko ograniczał się do wrzucenia awiza do skrzynki.

Przypomniałam sobie pobjowisko na parterze domku dziadka Trackiego. Wszystko wskazywało na to, że ktoś przeprowadzał u niego intensywne poszukiwania. Kto i czego szukał? W jaki sposób wszedł i wyszedł przez nikogo niezauważony?

Czy to, czego szukał sprawca, wciąż tam jest? Awizo. Jakaś błada lampka zapalała się w mojej pamięci i szybko gaśła.



Musiałam się dotlenić. Pomyślałam, że jeśli dzisiaj zrobię zakupy, to jutro nie będziemy musiały nigdzie wychodzić. Mama z cocią przymierzały się do porządkowania strychu, a ja zamierzałam cały dzień poświęcić na pisanie.

Droga Jerzego Rosoła dobiegała końca.

Na poczcie była gigantyczna kolejka. Tylko dwa okienka były czynne. W jednym z nich zobaczyłam Justynę Wolską, starszą córkę naszego sąsiada z ulicy. Justyna mechanicznie przyjmowała przesyłki, naklejała znaczki i odburkiwała „dzień dobry”. Widać było, że ma zły dzień. Moja kolej przypadła na okienko tej drugiej, Anieli, która minę miała niewiele lepszą od Justyny.

Cóż one takie nabuzowane? Pogoda jaka jest, każdy widzi i nikomu nie chce się pracować, ale jednak trzeba zachować chociaż pozory dobrego wychowania.

W przesyłce były książki ze znajomego wydawnictwa, które od czasu do czasu przysyłało mi nowości. Miły gest. Zapakowałam je do torby i nie spiesząc się, poszłam po zakupy.

Podejrzanie potwierdzone badaniami laboratoryjnymi uprościło sprawę. Skoro Romuald Tracki i Czesław Brudziński byli ofiarami tego samego mordercy, co potwierdziły ślady krwi na nożu, to należało założyć, że panów coś łączyło. Z pewnością nie były to więzy rodzinne. Pytanie tylko co. Gdzie szukać wspólnego mianownika, który doprowadzi ich do umykającego sprawcy?

Zniecierpliwiony przedłużającym się śledztwem podkomisarz Marek Zakrzewski zarządził burzę mózgow i zwołał spotkanie w pokoju operacyjnym. Obecność wszystkich policjantów pracujących przy obu morderstwach była obowiązkowa.

Marylka usiłowała ugotować obiad. Nic specjalnego, zwykle trzy dania. Mąż codziennie domagał się deseru, a z zasadniczych potraw nie chciał zrezygnować. Żurek już dochodził. Gotowała taki tradycyjny, na kiełbasie. Trzy jajka czekały na obranie. Na drugie danie Marylka zaplanowała prażone, nic nie robiąc sobie z tego, że i do żurku dodała pokrojone w kostkę kartofelki. Jak szaleć, to szaleć. Przy gotowaniu zawsze się jej dobrze myślało, a myśl, że mogła zapobiec śmierci dziadka Trackiego, kłuła ją jak drzazga. Obierając ziemniaki, przypominała sobie ostatnią naradę u Marlenki. Dobrze, że chociaż się wyjaśniło z tym morderstwem kucharki. Gdzie to słyszała, że stare sprawy rzucają długi cień? W jakimś kryminale to było. Mądre słowa. W wypadku morderstwa kucharki odkryli motyw. Zastanawiała się więc, jaki motyw prowadził do wyjaśnienia śmierci dwóch pozostałych nieszczęśników.

Marylka sięgnęła po naczynie żaroodporne i mechanicznie zaczęła je zapełniać warstwami ziemniaków, boczku, wędliny, cebulki i pietruszki. Doprawiła solą i pieprzem. Na wierzch przekładanki ułożyła liście włoskiej kapusty, by jak najbardziej zbliżyć się do oryginału. Ustawiła piekarnik na sto osiemdziesiąt stopni i włożyła do niego naczynie z potrawą. Ustawiła czas i spokojna o los obiadu, ruszyła na poszukiwanie niezawodnego notesu. Chciała prześledzić wydarzenia, które miały miejsce mniej więcej tydzień przed śmiercią dziadka Trackiego. Może wśród zapisków o odczycie gazu i wizycie człowieka z wodociągów krył się morderca?

- Męczy mnie to - powiedziałam do słuchawki, nie czekając, aż wymienimy z Marylką standardowe pozdrowienia.

Musiałam z kimś porozmawiać, a mamusia z cicią Lukrecją udała się z sąsiedzką wizytą do Józeczków. Prawdę mówiąc, zatkało nas, gdy w telefonie zamiast oferty udziału w

promocyjnym spotkaniu z garnkami usłyszałyśmy głos pani Karoliny. Konkretnie rzecz ujmując, ciocia Lukrecja pierwsza dopadła telefon i zamiast asertywnie odmówić z radością przystała na spotkanie.

Odmówiłam stanowczo. Miałam inne plany.

- Mnie też. Właśnie siedzę nad notesem i szukam w notatkach, kto by się nadał na mordercę - poinformowała mnie Marylka z goryczą w głosie.

Rozumiałam ją doskonale.

- Mnie coś świta, tylko nie jestem pewna, co ma jedno do drugiego.

- To zastanówmy się razem. Wstawiam wodę na kawę - oświadczyła rezolutnie, a mnie nie pozostało nic innego, jak skorzystać z zaproszenia.

- Tydzień przed śmiercią u dziadka panował ruch jak w ulu - oznajmiła podekscytowana, jeszcze zanim zamknęłam za sobą drzwi.

Zdjęłam kurtkę i powiesiłam ją na wieszaku.

- Butów nie zdejmuj! Chodźże już. Nawet nie przypuszczałam, że mam taką sklerozę.

- Nie ty jedna - odmrknęłam i weszłam do kuchni.

Po chwili Marylka postawiła przed nami kubki z kawą i talerz z resztką rogalików cynamonowych. Mogłyśmy zaczynać nasiadówkę.

- A wiesz, że mamusia i ciocia poszły na ploty do pani Karoliny?

- Rzeczywiście, widziałam, że wchodzi do Józeczków, ale myślałam, że to do Józeczkowej.

- Skądże. Podobno Józeczkowa z Józeczkim pojechali do Bukowiny Tatrzańskiej. Narzeczony pani Karoliny im zafundował ten wyjazd.

- Żartujesz?

- A skąd, czysta prawda. Przypuszczam, że po prostu chcieli mieć chatę dla siebie i przyznam, że jestem bardzo ciekawa, dlaczego zaprosili dziewczyny. Wiesz, że my żyjemy z sąsiadami dobrze, ale na dystans, a tu taki zaszczyt nas spotkał. - Uśmiechnęłam się krzywo.

Marylka niecierpliwie postukała długopisem w notes i powiedziała:

- Jak wrócą, to się dowiemy, o co chodziło. Też jestem ciekawa, bo Karolina to niezłe ziółko, a ten jej to miglanc dobrego sortu. W sklepie go widziałam. Rozglądał się, taki trochę rozkojarzony, to i mnie nie zauważył. I nie zgadniesz, na co patrzył!

- Na co? Na dziewczyny?

- A skąd! Patrzył, jakie sklep ma zabezpieczenia. Tam kamery mają tak sprytnie umieszczone, że trzeba się dobrze przyjrzeć. I on się przyglądał. Przypomnisz sobie moje słowa! Ale nim to my się później zajmujemy.

- Popatrz, jak to łatwo się pomylić, gdy człowiek zda się na własną pamięć! Wyobrażasz sobie, że ktoś cię pyta: co pani robiła siedemnastego grudnia dwa tysiące dwunastego roku pomiędzy dwudziestą a dwudziestą trzecią? Wtedy właśnie zostało popełnione morderstwo i mamy świadka, który twierdzi, że panią widział w pobliżu miejsca zbrodni. Toż to tragedia!

Marylka pochylała się nad zapisanymi równym pismem stronicami notesu i zaznaczała żółtym markerem ważne zdarzenia. Gdy skończyła, podniosła oczy znad zapisków i odpowiedziała zwięźle:

- Dlatego ja wszystko zapisuję. Kiedy podkomisarz mnie odpytywał, to chyba zajrzałam nie na tę stronę, co powinnam. Jak ja mu to powiem - zmartwiła się.

- Już dobrze. Nie lamentuj, tylko mów, co znalazłaś. Podkomisarzem będziemy się martwić potem. Coś upieczesz i go spacyfikujemy. Dawaj, co masz, to zrobię rozpiskę.

Pusta kartka czekała na moje kulfoniaste notatki.

- Dokładnie osiem dni przed śmiercią był u dziadka listonosz z emeryturą. Tracki kwitował odbiór pieniędzy i jeszcze w progu mozolnie przeliczał, śliniąc palce. Obrzydlistwo. - Marylka się wzdrygnęła.

- Okej. To znaczy, że Romuald Tracki jeszcze wtedy żył. - Zrobiłam stosowne zapiski. - A następnego dnia?

- Czekaj, moment, coś tu skrobnęłam. Aha, u dziadka był ktoś, kto podjechał samochodem, to znaczy nie jestem pewna, bo zostawił wóz na drugiej ulicy. Wydawało mi się, że ten mężczyzna wysiadł z samochodu i przyszedł do dziadka pieszo. Ale tylko wszedł, wyszedł i po sprawie.

- Mógł go zabić i od razu wyjść.

- Raczej nie, bo następnego dnia była u niego pani Mazurkowa, a cokolwiek by nie mówić, jej bym nie podejrzewała.

- A ona tam znowu po co? - wyrwało mi się.

- Nie wiem, ale siedziała dobrą godzinę. Potem nikogo nie widziałam. Poszłam po zakupy, więc mogli u dziadka tańczyć kankana albo krakowiaka z przytupem, a ja i tak bym nie wiedziała.

Odgoniłam natrętną wizję dziadka Trackiego przytupującego w ogrodzie wśród pokrzyw i pokrzykującego „Oj, dana!”.

- A w czasie tego strategicznego tygodnia?

Marylka zsunęła okulary z nosa i przybliżyła notes do twarzy.

- Ślepnę w galopującym tempie - oznajmiła ze smutkiem.

- Ty się nie tłumacz, tylko dawaj następnych - pogoniłam ją i dopiłam resztkę już zimnej kawy. Rogaliki cynamonowe kuśiły

kształtem i zapachem, ale postanowiłam potraktować je jako nagrodę i zjeść, gdy już skończymy ustalenia.

- Następny był facet od gazu. Ten co zawsze. Przyszedł rano i załapałby się na równy tydzień do śmierci dziadka.

Wpisałam go. Licho nie śpi.

- Nie przesadzaj. - Marylka zwróciła mi uwagę.

- Jak wszyscy, to wszyscy. Nikt nie powiedział, że faceci od gazu plasują się poza podejrzeniami. Co tam jeszcze?

- Nawracacze.

- Znowu się pojawili? Do mnie nikt nie zaglądał.

- Tak, dwóch facetów i kobieta. Przelecieli przez całą ulicę.

- U mnie nie byli.

- Stali pod bramką, ale im nie otworzyłaś. Pomyślałam, że piszesz albo jesteś w ogrodzie z tyłu.

- Jedno z głowy. - Machnęłam z ulgą. - I co jeszcze, Marylko, bo czas nam się kurczy.

Serwerownia wpatrywała się w notesik jak sroka w gnat.

- Ty popatrz, zapomniałam! Przecież oni byli dwa razy - rzekła zdumiona swoim roztargnieniem.

- Jak to dwa razy?

- Drugi raz zanotowałam, że nawracacz przyszedł do dziadka.

- Jeden?

- Nie mam pojęcia... - zacukała się. - Przypuszczam, że zobaczyłam tego samego człowieka i dlatego skojarzyłam go z grupą, która przeszła wcześniej. Może był podobnie ubrany. No zabilj mnie, nie wiem. - Miała łzy w oczach.

- A potem ktoś jeszcze do dziadka przychodził? - Wpisałam NN na ostatnim miejscu i postanowiłam, że nie będę jej męczyć. Pomyśli w spokoju i sama sobie przypomni.

- Potem... potem to już tylko ten kurier z paczką był. Ale ja go nie widziałam, bo musiałam wyjść do miasta. Jak pech, to

pech - podsumowała gorzko.

Dopisałam kuriera i policzyłam: listonosz, facet z samochodu, Mazurkowa, facet od gazu, potrójni nawracacze i nawracacz pojedynczy, który mógł być naszym sprawcą. A na końcu kurier, który nijak nie mógł zabić i był poza podejrzeniami.

- Nie nadaję się do prowadzenia śledztwa - oznajmiła Marylka samokrytycznie i odłożyła notes na stół. - Mam wino. - Przypomniała sobie. - Półśłodkie. Napijesz się?

Potwierdziłam, wpatrując się w dosyć ubogą listę podejrzanych. Przecież Mazurkowa nie zabiła dziadka. Jeżeli dobrze kojarzyłam, to jej potrzebny był żywy. Oni ponoć jakieś handelki poboczne odstawiali.

- Pamiętasz, czy facet od gazu wchodził do domu?

- A po co miał wchodzić? Odczyt zrobił ze skrzynki i poszedł dalej.

- Czyli to któryś z nawracaczy musiał zabić dziadka. Albo ten pojedynczy, albo cała trójka - podsumowałam. - I widzisz, jak to dobrze, że zapisujesz wszystko, co się wokół dzieje! A swoją drogą, to może wiesz, dlaczego Justyna od Wolskich taka naburmuszona chodzi ostatnio? Byłam na poczcie. Taką miała minę, że ani podejść, ani się odezwać.

Marylka się ożywiła.

- Wiesz, ale to tak między nami. Myślę, że Justysia bardzo przeżywa ślub Irenki. Bądź co bądź Irenka jest młodsza, to prawie dziecko, a już wychodzi za mąż. Justynka ponoć nie ma nikogo na widoku.

- Nie ona pierwsza i nie ona ostatnia. Jeżeli tylko o to chodzi, to jej przejdzie. A wracając do naszych spraw, musimy zadzwonić do komisarza z twoimi rewelacjami i przy okazji zapytamy, gdzie się podziała ta przesyłka dla dziadka Trackiego, którą kurier u niego porzucił. Mam ją przed oczami.

To była taka szara, niezbyt gruba koperta. Niczym szczególnym się nie wyróżniała. Ciekawe, co w niej było.

Marylka spojrzała na mnie z podziwem.

- Popatrz, a ja w ogóle nie pomyślałam o tej przesyłce!

- Daj spokój! Gdyby nie twoje zapiski, to nadal byłybyśmy w lesie. Dzięki tobie mamy punkt zaczepienia. A właśnie, spisałaś numery rejestracyjne tamtego samochodu?

Marylka sięgnęła po notes. Po chwili przyznała:

- Niestety tutaj nie mam. Ale coś mi świta.

Okazało się, że nie tylko ja robię notatki na marginesach gazet.

Zamierzałam zadzwonić do podkomisarza zaraz po naszej rozmowie z Marylką, ale mi umknęło. Mamusia i ciocia Lukrecja wróciły od Karoliny w stanie silnego podniecenia i starały się przekazać mi wszystko w jednym czasie. Z zalewu niekoniecznie istotnych informacji wyłuskałam jedną, moim zdaniem ważną, i od razu przekazałam ją Marylce.

- Popatrz, jaki szpieg się nam udał na ulicy. Żeby się chociaż zająknął na ten temat, ale nie. Istne wcielenie niewinności - zakpiłam, pomstując na Jerzego Wiechejskiego, który po dłuższej rozmowie dał się poznać jako miły starszy pan. Karolina i jej gach twierdzili, że widzieli, jak wychodził z naszego domu.

- Swoją drogą ciekawe, co oni robili w naszym ogrodzie! - oburzyłam się w rozmowie z domowniczkami.

- Podobno podziwiali naszą pracowitość. - Ciocia Lukrecja zachichotała frywolnie, budząc moje zainteresowanie.

- A winko było niezłe?

- Skąd wiesz?

- Trudno nie zauważyć.



- Jeden kieliszek jeszcze nikomu nie zaszkodził.

- Żeby jeden - mruknęła rozbawiona mama i dodała: - Ciocia i pani Karolina wyraźnie przypadły sobie do gustu. - A ten Miecio to facet niczego sobie. Żebyś widziała, jaki uprzejmy! Do rany przyłoż.

- Pożyjemy, zobaczymy. - Nie chciałam ich pozbawiać złudzeń.

Miałam zamiar coś zjeść i wrócić do pisania. Potrzeba rozmowy z podkomisarzem wyleciała mi z głowy, zresztą zawsze mnie uczono, że dzwoni się tylko do dwudziestej pierwszej, a potem czas na odpoczynek. Nie ucieknie.

Ależ one naiwne! Pan Kot z naganą spojrzął na nadmiernie gestykującą ciocię Lukrecję. Chociaż ona pomyślałaby przez moment. Nie przypuszczał, że jest aż tak łatwowierna. Nowy sąsiad nie był taki zły, a nawet, co musiał przyznać, był o wiele miłszy od tej dużej baby z za płotu. Mówił do niego „kici, kici” i nawet raz podrzucił mu śledzia. Wprawdzie marynowanego, ale dobre chęci się liczą. Wszystko na jego głowie! Nic, tylko kontroluj i sprawdzaj.

Pan Kot wstał leniwie i pozorując kompletną obojętność, zaczął czyścić sobie uszy. Do kolacji zdąży jeszcze przejść się po ogrodzie i sprawdzić, czy znowu nikt się w czasie ich nieobecności nie pętał po najbliższej okolicy.

*Jerzy Rosół rzadko bywał w Miasteczku, więc widział, ile się zmieniło od ostatniego pobytu. Remonty dróg, nowe chodniki, na każdym skwerku ławeczki i pojemniki do segregacji śmieci, przyszczyżone trawniki i rabaty, z których wylewały się barwne kwiaty. Zauważył też domy otynkowane na kolorowo, gdzieśgdzie nowe dachy lśniące w promieniach słońca, nowe ogrodzenia. Miasteczko piękniało tak jak i inne miasta w całym*

kraju. Mężczyzna nigdy nie uważał się za szczególnego patriotę. Myślał trzeźwo i widział, że jeszcze wiele brakuje, byśmy dogonili Zachód. Jednak nie był ślepy i zauważał zmiany na lepsze. Z prasy i internetu dochodziły informacje, że nie wszyscy byli zadowoleni ze zmian. Pamiętał stare powiedzenie, że jeszcze się taki nie narodził, żeby każdemu dogodził.

To, że pocałował klamkę drzwi tamtego mieszkania, nie miało w tej chwili znaczenia. Wcześniej czy później spotka ją i zada pytania, które czekają zapisane w pamięci notebooka. Jeżeli dodać dwa do dwóch, to niestety musi wyjść cztery. Jerzy Rosół skończył dobry ogólniak w Miasteczku i studia dziennikarskie na UJ-ocie, ale z matematyki był kiepski i ogarniał umysłem tylko proste równania. Szalenciec stawiałby na trzy.

Dom straszył brudnymi szybami i obitym tynkiem. Już dawno powinien go sprzedać, ale był nieprzyzwoicie sentymentalny i nie chciał się pozbywać miejsca, w którym przez tyle lat mieszkał.

Klucz wszedł w zamek jak w masło i to był pierwszy sygnał, że coś jest nie w porządku. Otworzył. Już od progu powiało zatęchłym chłodem niewietrzonego i nieopalanego pomieszczenia. Kurz zalegał grubą warstwą politurowane meble, a stary, pamiętający lata osiemdziesiąte minionego wieku dywan pokrywały wyrzucone z pótek, szuflad i szaf rzeczy. Jednym słowem: pobożowisko.

Żeby to szlag jasny trafił! Dziennikarz zgrzytnął zębami i wyjął komórkę, żeby sfotografować bajzel. Nie zamierzał zawiadamić policji. Nie widział sensu w mieszanii ich w porachunki, których nie potrafią zrozumieć. Najlepiej, żeby jak najmniej osób wiedziało o jego wizycie w Miasteczku. Powinien jak najszybciej

*wracać do siebie, do Huty, i tam złapać Aleksandrę. Podejrzał, że ona wie dużo więcej, niż mu powiedziała. Zaczynał podejrzewać, że Aleksandra sprzedała mu ckliwą bajeczkę o pozbawionej wszelkich przywilejów sekretarce i użyła go do realizacji swoich celów.*

*Jeżeli śmierć prezesa Wimpexu, konkurencji Anexu, nie była przypadkowa, a on w Barcelonie miał zostać odnaleziony martwy, z kieszeniami pełnymi prochów, to coś było na rzeczy. Od dwóch miesięcy poświęcał każdą wolną chwilę na zbieranie informacji o szefie Anexu i jego machlojkach. Szło mu dobrze i tak naprawdę dopiero kolega uświadomił mu, że zbyt dobrze. Żeby być aż tak beznadziejnym palantem!*

*On był i musiał z tym żyć.*

*Zrezygnowany przerzucił plecak przez ramię i skierował się ku wyjściu.*

Telefonowanie do podkomisarza o siódmej rano było równie naganne, co niepokojenie go o dwudziestą pierwszą, ale tak się zdenerwowałam przejściami Jerzego Rosoła, że przez pół nocy nie mogłam spać i byłam na nogach już od szóstej czterdzieści. Ciocia Lukrecja okupowała łazienkę, nucąc coś pod nosem. Pan Kot mimo wszystko starał się złapać trochę snu. Zaczynał się kolejny jesienny dzień.

Podkomisarz odebrał po pierwszym sygnale. Dyplomatycznie wtrącał tylko „tak, rozumiem”. Ja bym powiedziała, że zabić to mało. On nie miał odwagi. Wymusiłam na nim, że gdy sprawdzi numery rejestracyjne tamtego samochodu, to przekaże nam dane właściciela. Mam nadzieję, że właściwie zrozumiałam jego pomrukiwania.

Kończyłam pisanie książki, a każde finiszowanie wymaga uwagi i wysiłku. Opuściłam wszystko i odseparowałam się od

świata zewnętrznego, ufając, że podkomisarz będzie potrzebował trochę czasu na sprawdzenie naszych rewelacji. Podkomisarz Marek Zakrzewski miał tylko jedną cechę wspólną z Bondem – był mężczyzną.

- Ileż można! - Usłyszałam w słuchawce zamiast kulturalnego „dzień dobry”. Z ledwością oderwałam się od klawiatury. Byłam wściekła na siebie. Powinnam wyciszyć telefon. Mogłabym wtedy sama przed sobą udać, że nie słyszałam sygnału. Zebrałam się w sobie i odpowiedziałam:

- Jak się cieszę, że dzwonisz!

Kliknęłam „zapisz”, żeby mi przez roztargnienie nowego tekstu nie zjadło.

- Do czego to doszło! Jeśli sama nie zadzwonię, to jakby cię nie było. A mieszkamy tak blisko siebie... - Czułam, że Agnieszka nie odpuści.

Na wszelki wypadek postanowiłam się usprawiedliwić:

- Bardzo cię przepraszam. Obiecuję, że do końca tygodnia wrócę do życia. Już prawie kończę moją powieść. Muszę sobie zostawić kilka dni na poprawki, wiesz, dialogi poprawić...

- Wszystko rozumiem, ale mogłabyś się od czasu do czasu odezwać. Dać znać, że żyjesz.

Rzeczywiście, mogłabym.

- Dużo się działo - westchnęłam. - Trup na trupie - przyznałam, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

- Ty mi książki nie opowiadaj. Przeczytam, kiedy już wydasz. Dzisiaj widzę cię u siebie. Bez dyskusji - zażądała kategorycznie.

Może to nie był najgorszy pomysł. Jeszcze kilka godzin i Jerzy Rosół stanie oko w oko z przeznaczeniem, a ja chociaż na chwilę będę wolna. Przyjaciółka to przyjaciółka. Mam jedną i

bardzo to sobie cenię. Najgorszy jest tylko ten obopólny brak czasu!

- Dobrze. O której mam być?

Do osiemnastej było jeszcze mnóstwo czasu.

Kaloryfery szemrały cichutko, emitując miłe moim kościom ciepło. Dziewczyny oglądały telewizję śniadaniową, zza drzwi dobiegało pomstowanie cioci Lukrecji na coś, co nazwała wymysłem idioty. Mama jej coś tłumaczyła, ujarzmiając temperament siostry. Uśmiechnęłam się na to ich przekomarzanie i wróciłam do pisania.

Jaki Jerzy Rosół był, taki był, ale był mój. Stanowił wytwór mojej szalonej wyobraźni i to ja ponosiłam odpowiedzialność za jego dalsze losy. Musiał odpowiedzieć za swoją naiwność. Czy zapłaci najwyższą cenę? Trzeba znaleźć polubowne wyjście z sytuacji.

*Wyjechał z Miasteczka, jakby go gonili.*

*Musiał jak najszybciej się spotkać z byłą narzeczoną i wyjaśnić kilka spraw. Czuł, że został paskudnie wmanewrowany, i jedyne, co go teraz obchodziło, to czy zrobiła to świadomie i celowo, czy też padła ofiarą manipulacji. Wszystko było możliwe.*

*Miał nadzieję na szczerłość z jej strony, chociaż obawiał się, że finał może być tragiczny.*

*- Kurza twarz, w mordę kopana! - zaklął pod nosem i nadepnął na gaz, chcąc wyprzedzić wlokącą się przed nim skodę. Buzowały w nim emocje i chociaż w ten sposób mógł dać im upust.*

*Sam nie wiedział, kiedy dojechał do Krakowa. Zaparkował w pobliżu biurowca firmy Anex.*

Po co on tam pojechał?

Nie miałam pojęcia. A co gorsza, Jerzy Rosół też się dokumentnie pogubił. Na zdrowy rozum powinien zapomnieć o całej sprawie i szybko napisać dwa, trzy reportaże o najmodniejszej długości spódnic w sezonie albo o modzie na farbowane futerka. Obowiązkowo sztuczne. Musiałam chłopą ratować przed nim samym.

*Bo i cóż z tego, że niejaka Aleksandra P. odegrała przed byłym narzeczonym wstrząsającą scenę sponiewieranej, porzuconej, pozbawionej wszystkiego przez niedobrego prezesa tylko dlatego, że wtrąciła się w jego sprawy. Kto przytuli dziewczynkę do snu i zemści się za jej krzywdę, a jednocześnie przeskoczy kilka szczebli na drabinie dziennikarskiej kariery, ryzykując życiem i reputacją? Oczywiście, taki osioł jak Jerzy Rosół. Zebrał dla niej mnóstwo bezużytecznych materiałów. Dla NIEJ! Bo kto by się przejmował sensacjami potencjalnego nieboszczyka. Zgodnie z planem pięknej Oli, kochanki prezesa Anexu szykującej się na stanowisko prezesowej, miał uzyskać informacje i skończyć dwa metry pod ziemią*

*Tak dał się omamić, że jednocześnie gromadził haki na prezesa Anexu oraz na firmy należące do konkurencji, a co najgorsze, nie zdawał sobie sprawy z wagi zbieranych informacji.*

*Układ był taki, że po jego powrocie z Hiszpanii mieli się spotkać z Olą i to ona miała zweryfikować wszystkie zebrane przez niego dane, a jednocześnie dostać do ręki materiał do szantażu. Przypomniał sobie rozmowę z nią, którą niespełna tydzień temu przeprowadził w Barcelonie. Mieli się spotkać, by porozmawiać na temat wspólnych zainteresowań firmą. Którą? On zrozumiał,*

*że jej chodzi o Anex, ale na tamtym etapie nic innego nie miało prawa przyjść mu do głowy.*

*Gdyby akcja prezesa skończyła się powodzeniem i Jerzy Rosół zostałby odnaleziony w charakterze denata na jakimś barcelońskim zadupiu, bez dokumentów, z narkotykami w kieszeni, to prezes Anexu miałby w ręku szefa konkurencji albo udziałowców. W końcu właściciel Wimpexu zginął w wypadku. Media potwierdziły, że był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Nikt nie grzebał przy hamulcach. Oczywiście na forach huczało od domysłów na temat seryjnego zabójcy prezesów, ale tym razem publika przesadzała.*

*Prezes Anexu, gdyby żył, miałby w ręku także Aleksandrę, która zleciła Rosłowi całą tę zabawę. Należało przypuszczać, że całą intrygę uknuli wspólnie. Ale wtedy to także Aleksandra miałaby w ręku bogatego prezesa. I może właśnie o to w tym wszystkim chodziło? W głowie dziennikarza przewalała się fala danych zmieszanych z domysłami, przypuszczeniami i niechcianymi prawdami. Skronie mu pulsowały, a przed oczami biegały żółte platy. Koniecznie musiał zaczerpnąć świeżego powietrza.*

*Zaparkował na poboczu chodnika, wyłączył rytmicznie pracujący silnik i automatycznym ruchem wyjął kluczyki ze stacyjki. Z tylnego siedzenia podniósł swój plecak. W głowie mu się kręciło i coraz dotkliwiej odczuwał skutki stresu połączonego z wysiłkiem abstrakcyjnego myślenia. Z rozmachem otworzył drzwi i postawił stopy na asfalcie.*

*- Jezus Maria, ludzie! Ratunku! - Przerażliwy krzyk rozdarł uliczny gwar. Młody mężczyzna leżał bezładnie, ściskając w ręku szary plecak, który już nigdy nie będzie się nadawał do użycia.*

*Roztrzęsiony kierowca ciężarówki tłumaczył, że w ostatniej chwili zauważył, jak ze stojącego wzdłuż chodnika samochodu wysiada chwiejący się na nogach człowiek. Nie zdążył zahamować. Nie miał szans. Tumult przerwało wycie karetki pogotowia, która ledwo zdążyła zatrzymać się za tarasującym drogę kamazem. W chwilę potem nadjechała policja.*

*Mężczyzna był pokiereszowany, ale żył. Sanitariusze sprawnie wnieśli go na noszach do karetki, by jak najszybciej dostarczyć poszkodowanego do szpitala.*

*Uspokojony tłum powoli się rozrzedzał. Wypadki samochodowe dziś już nie stanowią wielkiej sensacji.*

*Facet będzie żył.*

*Kierowca ciężarówki rzeczywiście nie miał szans na wyhamowanie. Żaden samochód nie miał prawa stać w tamtym miejscu.*

*Na chodniku pozostał sponiewierany plecak dziennikarza.*

*Nikt nie zwrócił uwagi na kobietę, która przechodząc obok, pochyliła się i zdecydowanym ruchem podniosła z chodnika ostatni dowód w sprawie.*

Mam finał, odetchnęłam z ulgą i oderwałam zmęczone oczy od ekranu laptopa. Nie zabiłam go! Dużymi literami napisałam KONIEC i zapisałam tekst, po czym – dla pewności – zgrałam go na pendrive'a. Strzeżonego... i tak dalej.

Za dwa dni wrócę do książki i zacznę nanosić poprawki. Rozbuduję dialogi i tak zgram wydarzenia, żeby wszystko trzymało się kupy. Otwarte zakończenie – to lubię. Nikomu nie zależało na śmierci Jerzego Rosoła, sympatycznego dziennikarza, który na swoje nieszczęście posłuchał szeptu zbyt mocno wybujałej ambicji.



Nie miałam wątpliwości, że Jerzy Rosół jeszcze wróci.  
Moja w tym głowa.

Dzień przeleciał jak z bicza trzasnął. Po wyczerpującym przedpołudniu nie miałam siły na żadne ekscesy. Pogoda mi w tym wydatnie pomagała. Znowu lało jak z cebra i było coraz zimniej. Podkomisarz się nie odzywał, a mamusia i ciocia zrobiły pokaz mody, przymierzając ciuchy sprzed dwudziestu lat.

- Popatrz, jakie boskie te korki. - Mama podsunęła mi pod nos parę kłapek na tak zwanym korku. Biała skórka, korek nieco wyszczerbiony, ale w sumie wyglądał całkiem, całkiem.

- Dajcie, ja je przymierzę. - Ciocia łapczywie sięgnęła po obuwie i po chwili paradowała w kłapeczkach, prezentując wcale zgrabne nogi.

- Niezłe. Na lato jak znalazł.

- Rzeczywiście. Leżą jak ulał - ucieszyła się ciocia.

- Gdybyś czasem nie pamiętała, to ci przypominam, że mówimy o moich kłapkach, które lata temu kosztowały ciężkie pieniądze. - Mama nie zamierzała odpuścić.

- Nie bądź sknera. Już się w nich nachodziłaś, a teraz moja kolej. - Ciocia Lukrecja okręciła się jak baletnica wokół własnej osi i z ledwością utrzymała równowagę, opierając się całym ciężarem o szafkę na płaszcze w przedpokoju. - Au, boli! - Ciocia przywarła do szafy i bała się od niej odkleić.

- Co cię boli? Zdejmij te klapki, bo są za wysokie dla ciebie.

- Jakie za wysokie? Po prostu się potknęłam o tę waszą wykładzinę. Musicie sobie kupić nową - odrzekła ciocia i zwolniła szafę od uścisku. Bohatersko usiłowała stanąć o własnych siłach, ale chwiała się i widać było, że nie łapie równowagi. Podeszłam do cioci i chwyciłam ją pod ramię.

- Lepiej będzie, gdy usiądziesz.

- Ale klapki na korkach i tak są moje! - Nie kapitulowała.

Westchnęłam z ubolewaniem i zaświeciłam lampę w przedpokoju. Było tak, jak podejrzewałam. Granatową wykładzinę pokrywały drobinki korka. Ciocia mało nie upadła, ponieważ stary korek wykruszał się w zaskakującym tempie. Zapakowałam klapki do reklamówki, a okruchy zmiotłam i zsypałam klapkom do towarzystwa. Wśród wymownej ciszy dwóch kobiet wyniosłam wszystko na ganek. Gdy będę wychodziła do Agnieszki, to wyrzucę to do śmieci.

Pan Kot z politowaniem przyglądał się ekscesom starszych pań. Nie miał już do nich siły. Najpierw zniosły ze strychu cały worek starych, śmierdzących stęchlizną i naftaliną ciuchów. Tylko dzięki jego bystrości i stanowczości skończyło się na jednym worku. Ostentacyjnie rozgrzebywał sterty szmat nadających się do wyrzucenia, jednocześnie psikając, prychnając i próbując pazurami wytrzymałość tkanin.

- No dalejże, wyrzucać mi tu, nie patyczkować się! - Z rozmachem sięgnął po szmatę przypominającą swoją strukturą starą ścierkę. Nie zdążył się nią nacieszyć, gdy ciotka Lukrecja wyrwała mu kawałek z łap.

- Nie przypuszczałam, że macie tutaj aż taką rupieciarnię. Już, już, nie rozczulaj się tak nad wszystkim. - Ciocia zdecydowanym gestem sięgnęła po następny foliowy worek i szeleszcząc, rozłożyła go.

- Dwie godziny i po pracy. Spójrz na własnego kota. Nawet on nie chce mieć nic wspólnego z tymi szmatami.

- Dziwię ci się, że ich nie pamiętasz - stwierdziła Agnieszka i zdegustowana odłożyła na bok czarno-białe zdjęcie.

Popatrzyłam na nią pytająco, nieco ogłupiała od liczby przekazanych informacji. Nie rozumiałam, dlaczego znowu mamy oglądać zdjęcia klasowe sprzed kilkudziesięciu lat. Powrót do przeszłości był miły, ale nie chciałam, żeby przeszłość zdominowała moją teraźniejszość, nie mówiąc o przyszłości. Wszystko ma swój czas.

- Zaczekaj chwilę i powtórz jeszcze raz to o Gieniu - poprosiłam słabo.

- Coś ty taka blada? To wszystko przez ciągłe siedzenie przed komputerem. Więcej ruchu potrzebujesz - zatroszczyła się i naląła nam zielonej herbaty.

- Ale Gieniu... - jęknęłam. Informacja była mi potrzebna bardziej niż najlepsza herbata.

- Gieniu, Gieniu. Zawsze wiedziałam, że mieliście się ku sobie. I widzisz, miałam rację. Tyle lat i on nie może o tobie zapomnieć - wzruszyła się moja przyjaciółka.

Zgrzytnęłam zębami, bo nie o to mi chodziło.

- Nie opowiadaj bredni, kobieto. Gieniu zawsze był tylko kumplem, a teraz wrócił, żeby zacierać grzeszki własnego tatusia, a nie po to, by wspominać ze mną szkolne czasy. I nie po to, by się migdalić. Co mówił?

- Dlaczego ty się tak denerwujesz? Już ci mówię! Po pierwsze prosił, żebym cię przeprosiła, ale nie chciał ci zrobić krzywdy i ty będziesz wiedziała, o co chodzi. Przyznam, że ja też chciałabym wiedzieć. Poza tym to była taka gadka, że co złego to nie on i że znika na dłuższy czas. Do Australii. Tak powiedział. A gdy wychodził, już przy bramie, poprosił, żebym odgrzebała stare zdjęcia, zwłaszcza te z imprezy u niego. Twierdził, że będziesz zainteresowana. Tylko Bogiem a prawdą, ja nic z tego nie rozumiem! - Agnieszka popatrzyła na mnie bezradnie.

- Pocziesz się, że ja też nie wiem, o co chodzi. Ale jeżeli prosił, to spełnimy ostatnie życzenie zbiega - zdecydowałam i

sięgnęłam po stary skórzany album, w którym Agnieszka przechowywała zdjęcia z podstawówki.

Już dziesięć lat temu miałyśmy trudności z rozpoznaniem osób na zdjęciach. Wpatrywałam się w zdjęcie opisane jako szósta B jak sroka w gnat. – Skoro była B, to była też A, prawda? – zapytałam słabo i przesunęłam się do światła. Te wszystkie szarości zlewały się w jedno.

– Jasne, że była. Ty się naprawdę przepracowujesz. O, tutaj. Popatrz, to była ostatnia impreza u Słodkiego. Jego rodzice wybyli i zostawili nam wolną chatę. – Agnieszka ze sterty zdjęć wyluskała to właściwe i położyła na stole między nami. – O, tutaj. Popatrz, tu jest Kaśka, Adam i Dzidek. Pamiętasz? Graliśmy w butelkę.

– Co ty bredzisz! W jaką butelkę?

Przyjaciółka popatrzyła na mnie z politowaniem.

– No nie mów, że nie pamiętasz... Całowałaś się wtedy z Rafałem.

– Z jakim Rafałem? – Zrobiło mi się słabo.

– Rafał okręcił butelkę, zatrzymała się przy tobie, więc musiałaś go pocałować – wyjaśniła mi przyjaciółka. – No co ty?! Wyparłaś wszystko z pamięci?

Coś mi świtało.

– Czekał, moment... – Zamknęłam oczy, żeby przypomnieć sobie tamte chwile. Był sylwester, a nasi tolerancyjni rodzice wyrazili zgodę na imprezę u Gienia. Miała nas pilnować jego babcia, ale położyła się spać o dziewiątej wieczór i nam nie przeszkadzała. Chłopcy mieli skądś radzieckiego szampana i bardzo napalali się na bąbelki. – Ilu nas wtedy było u Gienia?

– Czy ja wiem? Dziesięć, może dwanaście osób.

– I Rafał też wtedy był?

– Był.

– Rafał miał brata?

- Może miał, nie mam pojęcia!

Siedzieliśmy na dywanie w dużym pokoju. Telewizor marki Rubin emitował kolorowe błyski. Rzeczywiście, siedzieliśmy w kręgu i szyjką butelki celowaliśmy tak, żeby wskazała tę właściwą osobę, tę, z którą się chciało całować. Rafał nigdy mi się nie podobał. To był taki obleśny typ, który żadnej nie przepuści. Chodził do naszej klasy przez dwa lata, a zaraz po nowym roku wyjechał do rodziców. Tutaj mieszkał u dziadków. Powoli otwierały mi się zatrzęsnięte po latach klapki w mózgu. Oni się z Gieniem kumpłowali!

- Ty pamiętasz tamten nóż? Czy ja mam jakieś omamy?

- Jaki nóż? - Tym razem to Agnieszka wyglądała na zdezorientowaną.

- Taki kordzik. Rafał się nim chwalił i potem kręcił nim zamiast butelki. Pamiętasz? Bardzo cię proszę, przypomnij sobie, bo mnie się wydaje, że zaraz zwariuję. To nie może być prawda!

- Zaczekaj chwilę. Chyba masz rację! - Agnieszka wstała i zaczęła chodzić po kuchni, co jakiś czas podnosząc ręce do góry i płacząc palce u rąk.

Popatrzyłam na nią podejrzliwie.

- Czcisz jakieś nowe bóstwo?

- Bóstwo? Nie, to gimnastyka. Podobno w ten sposób można zwiększyć dopływ krwi do mózgu.

- I dostać wylewu?

- Tfu, odpukaj w niemalowane! - Agnieszka nagle opuściła ręce, po czym znowu je podniosła i z rozmachem odgarnęła z czoła przydługą grzywkę. - Ty masz rację! Mam w oczach tamtą scenę. Rafał popisывał się przed chłopakami tym nożem. To był egzotyczny okaz. Ojciec mu go przywiózł z Libii czy z Iraku. On chyba na budowy tam jeździł. Rafał mówił, że to jest talizman.

- No to mu się talizman zapodział...

- Ale o czym ty mówisz? - Agnieszka przystanęła w pół kroku.

- Zaczekaj chwilę. - Sięgnęłam po moją podręczną torbę i zaczęłam szukać komórki. Gdzieś powinna się poniewierać. - O, widzisz! Chodźże tu i usiądź na moment. - Zdenerwowałam się, bo ile można stać. Otwarłam folder ze zdjęciami w mojej komórce i podetknęłam Agnieszce pod nos jedno ze zdjęć. - Chyba podobny? Jak myślisz?

Przyjaciółka odebrała ode mnie komórkę.

- Mogłabyś sobie jakąś porządną kupić - skwitowała. Te zdjęcia są takie małe! - zamarudziła.

- Nie wybrzydź. Dobrze, że są. Skoro Gieniu nakierował naszą uwagę na tamto spotkanie, to miał w tym jakiś cel. Nie uważasz?

Agnieszka posłusznie skinęła głową.

- Na zdjęciu masz kordzik, którym dokonano dwóch morderstw, i obawiam się, że to nie przypadek, że Gieniu zwrócił nam na niego uwagę. Oczywiście, na swój pokrętny sposób. - Nie mogłam sobie odmówić drobnej złośliwości.

Agnieszka patrzyła na mnie z wyrazem twarzy opisywanym jako zbaraniały.

- Ja w ogóle...

- Ależ ja to wiem. I to moja wina, że jesteś tak do tyłu z wydarzeniami, ale pisanie kompletnie wybiło mnie z rytmu. Siadaj w końcu i słuchaj. Może ty w tej historii zobaczysz jakiś wspólny mianownik.

- Niesamowite! - To były pierwsze słowa mojej przyjaciółki po wysłuchaniu całej historii morderstw dokonanych przy ulicy Brzegowej. - Powiedz, dlaczego Gieniu pętał się w przebraniu Cyganki. To mi nie daje spokoju.

Zastanowiłam się. Nasuwało się tylko jedno logiczne wyjaśnienie.

- Myślę, że to wszystko zaczęło się, gdy do Słodkiego i do jego ojca dotarło, że stary glina węszy koło dawnej sprawy. Oni już dawno zdążyli o wszystkim zapomnieć i pozamiatać po wyrzutach sumienia. To musiał być dla nich szok, że ktoś do tego wraca. Pamiętliwi gliniarze to zakała ludzkości - pouczyłam zamyśloną przyjaciółkę.

- I co dalej?

- A dalej Gieniu zapewne postanowił się dowiedzieć, na jakim etapie jest to prywatne śledztwo i przez przypadek natknął się na mnie. Zamiast udać, że mnie nie poznaje, mało dyplomatycznie ucieszył się na mój widok i umówił na spotkanie. W sumie to, że mieszkam przy tej samej ulicy co Wiechejski, było mu na rękę. Poza tym myślę, że zdawał sobie sprawę z tego, że dowód rzeczowy może być właśnie u mnie. Gieniu wiedział o naszej manii niewyrzucania niczego i zakładał, że krawat jego tatusia gdzieś się u mnie poniewiera. Podczas wizyty u mnie odcisnął klucze w plastelinie, by je dorobić albo - co bardziej prawdopodobne - ukradł jeden komplet. Wiesz, że my ciągle szukamy kluczy i zawsze mamy dodatkowy komplet na wypadek zagubienia. Choćbym chciała, to bym się nie połapała. Wszedł po cichu, prysnął jakimś specyfikiem i uspił mnie. Z pewnością dlatego potem zostawił otwarte okno. Gieniu jest, jaki jest, ale na pewno nie chciał mieć mnie i Pana Kota na sumieniu. Niestety, niczego nie znalazł. Nie mógł przypuszczać, że krawaty leżą w kopercie pod wydrukami moich powieści. Gdyby nie narobił tego bałaganu, w życiu bym nie wpadła na to, by czegokolwiek szukać. Wiesz, jak u nas jest.

Agnieszka ze zrozumieniem pokiwała głową. U niej było nie lepiej.

Tak nasze mamy, jak i my należałyśmy do osób, które nie wyrzucają. Pamiętamy czasy, gdy wielu rzeczy nie było. Pałętająca się gdzieś gumka może się przydać tak samo, jak kawałek koronki albo haft z becika ufarbowany na wrzosowo. Po co kupować, skoro jest?

I jak ten biedak miał u nas znaleźć cokolwiek? A przebranie za Cyganek to był kamuflaż. Nie chciał, żeby go Wiechejski poznał.

- Może Gieniu chciał jakoś unieszkodliwić tego wścibskiego glinę?

- Nie, jeszcze inaczej. - Agnieszka usilnie starała się wczuć w sytuację. - Myślę, że Słodki chciał się tam włamać. Mówisz, że Wiechejski miał zamontowane różne zabezpieczenia i pewnie też kamery. Do włamu był Gieniowi potrzebny kamuflaż. Być może wymyślił sobie, że ukradnie dokumentację sprzed lat i to pozbawi tego upierdliwego glinę punktu zaczepienia Wiesz, Gieniu zawsze miał dziwne pomysły.

Pokiwałyśmy jednocześnie głowami nad pomysłami Słodkiego. Wyjaśnienie przyjaciółki wydawało mi się przekonujące.

Zresztą, kto to wie, co nasz kolega z podstawówki myślał, a nawet, czy myślał cokolwiek?

Oderwałam się od wspomnienia Eugeniusza Słodkiego owiniętego w haftowaną kapę i przywołałam obraz martwego dziadka Trackiego.

- Wiesz, w sumie to mam nadzieję, że Gieniu rzeczywiście nie maczał łap w tych morderstwach - powiedziałam, a Agnieszka pokiwała ze zrozumieniem i nagle jak ryba zaczęła łapać powietrze. - Zamknijże te usta, bo wyglądasz, jakbyś miała zawału dostać! - obsztorcowałam ją.

Wzięła jeszcze głęboki wdech i popatrzyła na mnie z przerażeniem.



- Jeżeli tak, to mordercą tych twoich denatów musi być Rafał. Skoro to jego nóż... - powiedziała słabym głosem.

- Wiesz co, daj mi to zdjęcie - zdecydowałam. - Zrobię kopię i przekażę naszemu podkomisarzowi. Niech chłopak sprawdzi co i jak. Może rzeczywiście? Może... Słodki musiał coś widzieć i skojarzył fakty. Dlatego się ulotnił po cichu. Brudziński zginął tego samego dnia, w którym Gieniu był u mnie. Może widział mordercę wraz z Brudzińskim? - złapałam się za głowę. Z tego wszystkiego czaszka mnie rozboleła. - Ja już chyba pójdę - rzekłam i powoli podnosiłam się z fotela.

- Odprowadzę cię. Pies musi się przelecieć, bo w przeciwnym razie wyrwie nas z łóżka w środku nocy - rzekła Agnieszka i również wstała. Całą drogę plotkowałyśmy, chcąc od siebie odsunąć wizję znajomego mordercy. Skoro chodził z nami do klasy, to był swój. A przecież nikt nie lubi takich sytuacji.

Samochód zapamiętany przez Marylkę należał do Leszka Gibały, brata Rafała Gibały. Podkomisarzowi wszystko zaczynało się układać w jedną całość. Do układanki dorzucił swoje bardzo istotne trzy grosze sierżant Marchewka z Łopotnik, który zwrócił uwagę na nietypowe zachowanie jednego z mieszkańców tej niewielkiej wsi. Pasłęczak szedł krajem drogi i co jakiś czas żegnał się nabożnie, a potem mamrotał coś do siebie i wymachiwał lewą ręką. Prawą dłoń miał zajęętą, gdyż niósł siatkę z zakupami. Nie pasowało to do niego. Sierżant, powiadomiony przez sklepową o tym, że Pasłęczakowi odbija, szedł w niewielkiej odległości od niego i nie umknął mu moment, gdy ten po dość zdecydowanym machnięciu wyjął z kieszeni kurtki telefon komórkowy i po odczekaniu kilku sygnałów wyartykułował chrapliwie: „Musimy się natychmiast spotkać. Robi się gorąco”.

Sierżant już od dłuższego czasu miał na oku całą rodzinę Pasłęckich zwanych we wsi Pasłęczakami. Był przekonany, że maczają palce w jakichś nie do końca czystych interesach. Co znaczy wieloletnia rutyna i wycucie zawodowe!

Dzięki czujności sierżanta Marchewki Alfred Pasłęcki, lat czterdzieści dziewięć, i jego starszy o dwa lata kumpel Józef Mazurek zwany Grubym Józiem zasilili szeregi aresztantów. Całe szczęście, że panowie szybko zrozumieli, iż najlepszym wyjściem z sytuacji jest szczerłość, i podzielili się z podkomisarzem Zakrzewskim posiadanymi informacjami.

Z morderstwami nie zamierzali mieć nic wspólnego. Tacy ludzie jak oni nie nadawali się do mokrej roboty.

Odczekałam dwa dni, ale podkomisarz wciąż milczał, jakby zapomniał o naszym istnieniu. Ciocia Lukrecja powoli przebąkiwała o powrocie do domu. Mamusia stanowczo protestowała. Musiałam przyznać, że w sumie zżyłyśmy się z ciocią, której - mimo jej licznych wad - nie można było nie lubić. Całe szczęście, że wszystkie zostałyśmy obdarzone poczuciem humoru i sporym dystansem do rzeczywistości. To pomaga.

Sobotę i niedzielę postanowiłam poświęcić na wprowadzanie poprawek do książki. Nadałam jej wieloznaczny i otwarty na interpretacje tytuł *Podwójna gra* i nadal zastanawiałam się, kto był zgodnie z fabułą ważniejszy: morderca, denat czy motyw. A może dopiero miks tych trzech elementów decydował o efekcie? Denat nie był tym denatem, morderca też zamienił się miejscami, a motyw, jak to motyw, rozpląnął się wśród szarości słów.

Automatycznie nanosiłam czysto językowe poprawki, ślęcząc nad planem Barcelony. Tęskniłam za tym miastem, jedynym, które nie przytłaczało mnie swoimi rozmiarami, a przyciągało różnorodnością kultur, tolerancją dla inności i genialną

architekturą. Z nostalgią wspominałam dzień, w którym Agnieszka przyniosła album poświęcony pracom Antonio Gaudiego. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Staralam się odrobinę tej wiedzy i miłości przekazać na kartach nowej powieści, która z założenia miała być kryminałem. Czy mi wyszło? O tym zadecydują czytelnicy.

Mechanicznie podzieliłam na słowa jakąś zbitkę znaków ciągnących się przez dwie linijki i kliknęłam „zapisz”.

Natarczywy sygnał telefonu oderwał mnie od intensywnej pracy.

Dzwoniła Marylka. Podobno podkomisarz aresztował pana Mazurka. Tego się nie spodziewałyśmy!

*Jerzy Rosół nadal przebywał w szpitalu. Był utrzymywany w stanie śpiączki farmakologicznej. Na razie obowiązywał zakaz odwiedzin, a lekarze w odpowiedzi na pytania o stan jego zdrowia i prośby o pozwolenie na chwilę rozmowy znacząco kręcili głowami, zasłaniając się tajemnicą lekarską i dobrem pacjenta.*

*Na razie trzeba było czekać. Jak długo?*

*Tego nikt nie wiedział.*

Podkomisarz Marek Zakrzewski wszedł do swojej pustej kawalerki i znużonym ruchem powiesił na wieszaku przemoczoną do cna kurtkę. W telewizji zapowiadali ulewne deszcze, a zaraz po nich nagłe obniżenie temperatury i przymrozki.

Miał za sobą ciężki tydzień. W końcu, dzięki współpracy wielu osób, doprowadził do aresztowania groźnego przestępcy. Teraz mógł sobie pozwolić na krótki odpoczynek.

Otworzył piwo, pstryknął pilotem i rozsiadł się wygodnie.

Jakiś reporter informował o tragicznym w skutkach wypadku drogowym. Ciężarówka wjechała w wysiadającego z samochodu mężczyznę. Jego stan określano jako ciężki, ale stabilny. Na giełdzie doszło do przejścia jednej ze spółek. Komentator podkreślał, że akcje spółki stały bardzo wysoko, a kurs określany był jako stabilny do momentu nagłej śmierci prezesa zarządzającego korporacją. W ciągu jednego dnia akcje poleciały na łeb, a akcjonariusze w popłochu zaczęli wyprzedzać. Na szczęście w ostatniej chwili wszedł do akcji strategiczny inwestor i uratował resztki majątku. Firma powoli odbudowuje zaufanie akcjonariuszy.

Ze źródeł zbliżonych do naszej komendy dowiedzieliśmy się, że Rafał Gibała został aresztowany. Nie było to dla mnie zaskoczeniem, bo ktoś w końcu musiał zostać aresztowany, chociaż nadal nie wiedziałam, skąd się wziął w tej całej historii obcy człowiek.

No, może nie całkiem obcy. Jak się z kimś chodziło do podstawówki, to on nigdy nie będzie zupełnie obcym człowiekiem. Podobno w grę wchodziły niekoniecznie czyste interesy, w tym przemyt markowych ciuchów bez licencji. Skala tego przedsięwzięcia była taka sobie, ale żyć się z tego dało i to nieźle.

Jerzy Wiechejski maglowany przez Marylkę zasłaniał się tajemnicą śledztwa i w trakcie wypytywania usiłował zbiec w kierunku swojej twierdzy. Przyparty do muru obiecał, że pozostanie w kontakcie z Serwerownią. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków, w popłochu się oddalił.

Tego wszystkiego dowiedziałam się z obfitej relacji Marylki, zde gustowanej brakiem kontaktu z podkomisarzem Zakrzewskim.

Miałyśmy do pogadania z emerytowanym pracownikiem policji, a wcześniej milicji. Nie lubię, jak mi wchodzi do domu obcy ludzie. I do tego bez pytania.

- Nawet się nie zastanawiaj, tylko szybko do niego dzwoń.

- Dlaczego ja?! - zaprotestowałam.

- A dlaczego nie? Mam wrażenie, że na mój widok połowa ludzi z ulicy ucieka, a nasz podkomisarz to już na pewno ma uraz - poskarżyła się Marylka żałośnie.

Pomyślałam, że coś jest na rzeczy. Wiadomości szybko się rozchodzą, a plotka rodzi plotkę.

- Zrobimy inaczej - zaproponowałam ugodowo. - Wydelegujemy do negocjacji ciocię Alicję. On się jej boi, więc dla świętego spokoju zgodzi się na wszystko, czego ciocia zażąda.

Podkomisarz Marek Zakrzewski starał się nie spoglądać w kierunku komórki, na której wyświetlały się kolejne połączenia. Pisał raport dla komendanta i nie zamierzał się rozpraszać, co nie oznaczało, że nie był ciekawy, kto dzwoni. Jednak w gradacji ważności możliwość pozbycia się dwóch spraw o morderstwo wygrywała z telefonem od - jak przypuszczał - ciekawskich bab. Jerzy Wiechejski już dał mu znać, że padł ofiarą nagabywań Marylki i nie miał wątpliwości, że podkomisarz będzie musiał zdobyć się na przynajmniej w części szczere zwierzenia.

Szło mu opornie. Stukał jednym palcem w klawiaturę i nie widział końca swojej męki.

Wyciszony telefon komórkowy spazmatycznie podrygiwał, informując go o kolejnym połączeniu. Oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na wyświetlacz. Pokazujący się numer nic mu nie mówił.

Odebrał i zdębiał.

Ciotce Alicji, nie wiadomo dlaczego zwanej Lukrecją, się nie odmawiało. Otrzymał dwa terminy do wyboru. Skoro już się stało, to uznał, że weźmie byka za rogi, i zgodził się na

pierwszy wolny. Dzisiaj o dziewiętnastej. Dlaczego nie? Bardzo chętnie.

- Przemyt podróbek zamiast szmuglowania dziewczyn do burdeli, papierosów czy egzotycznych pajaków z Afryki?!

Nasze totalne rozczarowanie najdobitniej wyraziło stwierdzenie cioci Lukrecji:

- Za taką drobnicę się pozabijali? Co za życie! W kryminałach to jednak dużo ciekawiej wychodzi. Nie mogli sobie pysków obić, jakieś małe ziaziu zrobić? Od razu z grubej rury? Co to za ludzie! Już wszystko schodzi na psy! - Ciocia z rozmachem palnęła dłonią w stół, wnosząc w wieczorny spokój trochę nerwowości.

- Nie denerwuj się. Zważ, że to młode pokolenie jest słabe. O byle głupotę się unoszą. Nie to, co my - rzekła mama i powęszyła nad blatem. - Marylko, co tak dzisiaj pusto na stole?

- Bo od dzisiaj zaczynamy się odchudzać i mamy nasiadówkę na głodniaka - odpowiedziałam za Serwerownię i podsunęłam w stronę mamusi kubek z paluszkami. - Poczęstuj się. Są znakomite.

- Jeszcze chwila. Czekamy na pana Jerzego. - Marylka otworzyła drzwiczki kuchenki i ku części jadalnej salonu popłynął zapach pieczonej kapusty, sosu i pomidorów.

- Czyżby gołąbki? - Ciocia z lubością wciągnęła aromat i uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście! To gołąbki! Widzisz, a dopiero co mówiłam, że musimy je zrobić. Tak za mną chodziły ostatnio - sekundowała mamusia.

- A twój mąż znowu w pracy? - zagadnęłam Marylkę zajętą wykładaniem solidnych porcji na talerz.

Moja ulubiona sąsiadka zamarła na moment z nożem w garści. Powoli wciągnęła powietrze i odetchnęła głęboko.

- Ja już nie mam do niego cierpliwości. Wczoraj opowiadałam mu cały przebieg akcji i prosiłam, żeby w końcu się zmobilizował. To aż nie wypada, żeby go ciągle nie było. Przynależ, że na sto procent będzie. I co? - Rozejrzała się ostentacyjnie po kuchni. - Znowu go nie ma. Jeden telefon z biura i już leci. Nawet nie chcę podejrzewać, że coś jest na rzeczy - skwitowała ze smutkiem i mobilizując resztki energii, oznajmiła: - Zapraszam wszystkich do stołu. Mam nadzieję, że będzie wam smakowało.

Od razu wzięłam dwa talerze do rąk i podążyłam za nią do jadalni. Nie ma to jak dobre jedzenie na strapienie.

Podkomisarz siedział spokojnie w głębokim fotelu i pozornie nie zwracał uwagi na błahą wymianę zdań. Jednak nie panował nad mimiką. Na jego twarzy zagościł łagodny uśmiech, jakby te gołąbki przypominały mu coś lub kogoś. Ciekawe. Słyszac zaproszenie, podniósł się z fotela i podążył razem z mamusią i ciocią w kierunku stołu, przy którym już siedział pan Jerzy.

Marylka rzeczywiście gotowała zawodowo. Mamusia i ciocia robiły to raczej koncertowo. Jednak takich gołąbków jak u Marylki żadna z nas jeszcze nie jadła. Emerytowany policjant przyniósł dwie butelki wina z Łopotnik. Zaopatrzenie mieliśmy znakomite.

Przy torcie orzechowym wydaliśmy zbiorowy jęk, a podkomisarz cicho zaprotestował:

- Już naprawdę spodnie mi się nie dopinają. Nie mogę, bo wszędzie wokół pracownicy służb mundurowych nie dość, że są przystojni, to jeszcze wysportowani. Każdy jest wysoki, metr osiemdziesiąt, i smukły. Prowadzą zdrowy styl życia, chodzą na basen o piątej rano i uprawiają sztuki walki. To samo w powieściach kryminalnych. Wiem, bo nawet - spojrzal na mnie - zabrałem się za polskich autorów. Całkiem, całkiem.

- Jak miło - wzruszyłam się. - Ale z tymi przystojniakami to nie do końca prawda. Jak się wgłębisz, to znajdziesz

nałogowych alkoholików, policjantki po odwyku, kochających inaczej i miłośników subkultur. - Płynnie i bez oporów przeszłam na ty. - Na przykład taki komisarz Maciejewski! Wszystko o nim można powiedzieć, tylko nie to, że jest przystojniakiem i do tego prowadzi zdrowy tryb życia. Wprawdzie, o ile pamiętam, uprawia boks, ale to trochę za mało. Nie wspominając o kilkudziesięciu innych, którzy... - zaczynałam się rozkręcać.

- Ale my to wiemy! - Mamusia poczuła się w obowiązku przypomnieć, że też czyta.

- Kto wie, ten wie. Ja nie miałam pojęcia - zaprotestowała Marylka i sięgnęła po lampkę wina. - To za co pijemy?

- Za szczęśliwy finał! To znaczy - poprawiła się ciocia - szczęśliwy dla naszego podkomisarza, bo nie dla tego nieszczęsnego mordercy i jego kamratów. - A teraz prosimy o wyjaśnienia. Jak w klasycznym kryminale, gdzie wszyscy zainteresowani gromadzą się w jednym miejscu, by się dowiedzieć, jak było naprawdę - zażądała ciocia Lukrecja.

- Ciociu, ale to nie tak. - Poczułam się w obowiązku zaprotestować. - Klasycznie to jest ze wskazaniem, kto spośród zgromadzonych osób zabił, a my przecież już wiemy, że zabijał Gibała. - Ciocia poruszyła się niespokojnie. - Przecież nie ma wśród nas mordercy. Chociaż, to musimy powiedzieć, niektórzy mają nam coś do wyjaśnienia - rzekłam dobitnie i wbiłam twardy wzrok w Jerzego Wiechejskiego, który przez większą część spotkania zachowywał się, jakby go nie było.

Były glina nie wytrzymał ciężaru mojego spojrzenia i nie czekając na konkretne pytanie, powiedział:

- Wiem, że spoczywa na mnie obowiązek udowodnienia, że nie działałem na szkodę. Z punktu widzenia pań moje zachowanie może wyglądać podejrzenie, ale zapewniam - tu



wzorem amerykańskich prezydentów położył sobie rękę na piersi - że za moim wejściem do waszego domu nie kryły się żadne nieczne zamiary.

- Tylko?

- Tylko być może nieco naganna, ale usprawiedliwiona ciekawość.

- Czyżby? Tylko nieco naganna? Toż to było włamanie do cudzego domu! - Mamusia przybrała srogą minę.

Ciocia sączyła wino, spoglądając na siedzącego naprzeciw niej sąsiada nieco łagodniej.

- Podróbka czy wytryzki? - zapytała, uśmiechając się chytrze.

- Ależ droga pani! - zachnął się starszy pan. - Posiadam porządny komplet wytrychów jeszcze ze starych czasów. Zrobiony przez fachowca.

- Koniecznie muszę go zobaczyć!

- Służę pani, ale teraz naprawdę chciałbym się wytłumaczyć, nim przejdziemy do *clou* programu.

- W takim razie słuchamy - pomogłam mu.

- Hm, cóż... Jak ośmieliłem się wspomnieć, do budynku dostałem się, używając klasycznych wytrychów. Swoją drogą radziłbym zmienić zamki. Ciekawość mną powodowała, a była związana z pojawieniem się na naszej ulicy syna Waldemara Słodkiego. W czasie gromadzenia materiałów związanych z dochodzeniem w sprawie śmierci kucharki zdobyłem też aktualne zdjęcia osób zainteresowanych, czyli Waldemara Słodkiego i jego syna Eugeniusza. Zdawałem sobie sprawę z tego, że młodszy Słodki pojawił się w Miasteczku nie bez przyczyny. Kręcił się, wypytywał dawnych znajomych i szybko zlokalizował miejsce mojego zamieszkania. Nie było to trudne, przyznaję, nie pomyślałem, że moja szczególna architektonicznie budowla zwróci na siebie czyjąś uwagę. Stało

się inaczej. Chociaż nie żałuję, bo te wieżyczki są bardzo wygodne.

- Bawimy się w małego śledczego? - zakpiła ciocia Lukrecja.

- Pani Alicjo...

- Niech pan kontynuuje.

- Wracając do meritum... Otóż Słodki zlokalizował moje miejsce zamieszkania i zaczął mnie śledzić. Najpierw na terenie miasta, ale tam sobie z nim poradziłem. Potem dziwacznie przebrany zaczął krążyć w okolicy domu braci Gibkich. Notabene bracia Gibcy nie istnieją, ale to już podkomisarz Zakrzewski zapozna panie ze sprawą. Usiłował się włamać do mojego domu. Przyczajał się w obrębie sąsiedniego gospodarstwa i czego jestem absolutnie pewien, podpalił je. Dlaczego? Tego mogę się tylko domyślać.

Postraszylem go trochę. Spłoszyłem też tego fagasa, którego wysłał na przespiegi, Czesława Brudzińskiego. O tym, jak się nazywał, dowiedziałem się dużo później. Osobiście mam wrażenie, że Brudziński pracował na dwa fronty i dlatego zginął.

- Ale już, już... - Ciocia cmoknęła, wyrażając tym lekkie zniecierpliwienie przydługim wywodem.

- Kultuwuję zwyczaj nocnych spacerów. Mało kto o tym wie, że czwarta nad ranem to pora złodziei i takich jak ja, ciekawskich indywiduów. W czasie jednej z moich nocnych wypraw zauważyłem, że z pani domu wychodzi znany mi osobnik. Słodki rozglądał się wokół i robił wszystko, by zwrócić na siebie uwagę. Prawie mu się udało. Wyszedł przez drzwi, zamknął je, a okna pozostawił otwarte. Cóż, nie ukrywam, że wiedziałem o tym, iż znacie się od lat. - Pan Jerzy skinął w moją stronę. Westchnął i mówił dalej: - Podejrzałem, że mogła mieć pani coś wspólnego z zacieraniem śladów po morderstwie kucharki. Po czasie wiem, że to były niesłuszne domysły. Jednak tej nocy, którą wspominam, nie wiedziałem, czego mogę się

spodziewać. Dlatego wykorzystałem pierwszą nadarzącą się okazję, by sprawdzić, co w trawie piszczy. Sąsiednie domy były puste, więc wszedłem w obce progi bez zaproszenia.

Przyznaję, nie doceniłem pani Karoliny i jej przyjaciela. Nigdy bym nie pomyślał, że tak szacowna osoba może się skradać po czyimś ogrodzie. Z drugiej strony pani Karolina pozostaje pod wpływem swojego znajomego, a ten już dawno temu zyskał pewien rozgłos.

- Co?!

- A nie mówiłam?! - padło z ust usatysfakcjonowanej Marylki, która dodała: - Mówiłam Marlenie, że ten facet mi się nie podoba. I miałam rację!

- A coście tak na biedaka wsiedli? - oburzyła się ciocia. - Przecież jest grzeczny i dobrze wychowany. To przeuroczy człowiek i nie dziwię się Karolinie, że się jej spodobał. Tyle tylko, że nie rozumiem, co on w niej zobaczył. Taki mężczyzna ma wybór. - Ciocia spłonęła się lekko, a ja pomyślałam, że musimy jej pilnować, żeby nie doszło do przepychanek o grzesznego przystojniaka.

Na szczęście milczący dotąd podkomisarz uznał za stosowne się wtrącić i przywołać nas do porządku. Jerzy Wiecha-Wiechejski otworzył drugą butelkę wina z Łopotnik i atmosfera się rozluźniła.

- Drogie jak skurczybyk, ale pyszne - skomentowała uroczo ciocia Lukrecja i od razu upiła połowę.

- Alicjo, nie wyrażaj się - napomniała ją mamusia. Skosztowała maleńkimi łyżkami i odstawiła lampkę na biały bieżnik pokrywający ławę w salonie Marylki. Po ciepłej kolacji na degustację tortu i wina przenieśliśmy się do salonu. Kinkiety rzucały cienie światła na białe ściany, woskowe świece migotały nierówno, a my czekaliśmy na relację podkomisarza, który dzisiaj miał swój dzień.

Podkomisarz odchrząknął filmowo i nie mniej światowo powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Ujrzał w nich tylko pożądaną ciekawość i na tyle, na ile mógł, postanowił tę ciekawość zaspokoić.

Przemówił, zaczynając od podziękowań. Moim zdaniem powinien nas zdrowo obsztorcować za zatajanie informacji, sklerozę i czynne wpływanie na działania funkcjonariusza państwowego. A on nic.

- Moi drodzy, jak wiecie, sprawa jest już zamknięta. Przyznaję, że śledztwo trwało dość długo, ale zakończyło się sukcesem i nie ma wątpliwości, że do tego sukcesu przyczyniła się też aktywność pań. - Marek Zakrzewski uprzejmie skinął w kierunku kobiet, ze szczególnym uwzględnieniem cioci Lukrecji. - Żeby zrozumieć całość wydarzeń, trzeba się cofnąć o kilkadziesiąt lat, do czasów szkolnych uczestników wydarzeń.

To wtedy właśnie poznali się Rafał Gibała i Eugeniusz Słodki. Chodzili do jednej klasy z Marlenką. - Skinął w moją stronę. - W tamtych czasach do tej samej szkoły uczęszczali też Józef Mazurek i Alfred Paślęcki. Wtedy rodzice Paślęckiego mieszkali w mieście. Na wieś wrócili, gdy syn kończył zawodówkę. Rafał Gibała miał starszego brata, który w tamtych czasach chodził już do pierwszej klasy technikum. Chłopcy mieli wspólne zainteresowania i spędzali sporo czasu razem.

Popatrzyłam zdumiona.

- Pierwsze słyszę, że się znali. Gieniu nigdy się nie zająknął na ten temat.

- Cóż, sama widzisz, że Słodki miał swoje słodkie tajemnice - zażartował podkomisarz. - Ale wracając do tematu... Po latach ich drogi się rozeszły. Bracia Gibałowie wyjechali z Miasteczka. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że na ulicy Brzegowej bracia figurowali jako Gibcy. Tak nazywali się dziadkowie chłopców, po których ci odziedziczyli gospodarkę. Trochę tu mieszkali, przez jakiś czas prowadzili nawet

działalność gospodarczą. Potem Rafał wyjechał do Włoch, a konkretnie na południe tego kraju, gdzie doskonale funkcjonuje podziemie podróbek. Sporo towaru sprowadzali też z Tunezji wyspecjalizowanej w podrabianiu galanterii czółowych projektantów. Podróbki Prady, Versace i innych schodziły jak świeże bułeczki i bracia z pomocą Grubego Józia, Fredka i Brudzia zaczęli wychodzić sporo poza lokalny rynek. Pomagały im w tym kontakty z hurtownikami, jakie od lat wyrabiał sobie Gruby Józio u boku doskonale zorientowanej w procederze żony. Szło im jak po maśle do momentu powrotu Brudzia.

- O matko i córko! - Aż mnie zatkało z wrażenia. - Słuchaj, ja przecież widziałam taką podróbkę u Agnieszki. Nie znasz jej. Mąż jej kupił od takiego jednego, który chodził po różnych biurach, budowach i gdzie tylko można. Ładne to było.

- Szkoda, że nic nie powiedziałaś. - Marylka wyraziła nieuzasadnione pretensje.

Popatrzyłam na nią z politowaniem.

- A ty myślisz, że wtedy skojarzyłam? Nawet mi przez myśl nie przeszło!

- Już dobrze, dobrze - załagodziła mamusia. - Teraz słuchamy pana podkomisarza.

Marek Zakrzewski odetchnął z ulgą, stwierdzając w duchu, że jednak ktoś go rozumie.

- Czesław Brudziński był jedynym stałym ogniwem pomiędzy wytwórcami podróbek związanymi z mafią a braćmi. Nie miał zamiaru dzielić się znajomościami. Do Polski przyjechał na kilka miesięcy. Nie był sentymentalny, ale miał swoje sprawy do załatwienia. Chciał wydusić od braci jak najwięcej pieniędzy, po czym odciąć się od nich i zacząć interes ze Słodkim, którego poznał we Włoszech i który wyciągnął od niego sporo informacji. To był drugi - prócz załatwienia starych spraw - powód przyjazdu Eugeniusza Słodkiego po latach do Miasteczka. Czy ktoś z tutaj obecnych zwracał uwagę na

posesję braci Gibkich? - Podkomisarz popatrzył na nas pytająco.

Zawahałam się, ale zgodnie z prawdą odparłam:

- Wiesz, tak naprawdę przez ostatnie dwa lata koncentrowałam się na pisaniu, a to, co się dzieje u sąsiadów, nigdy mnie zbyt nie interesowało. Coś tu jeździło tam i nazad, ale nie przywiązywałam do tego wagi. A ty coś widziałaś? - zwróciłam się do Marylki.

Pokiwała z ubolewaniem. Przyznała:

- W sumie wiedziałam, że tam jeżdżą, ale też po jakimś czasie stało się to normalne, czyli niezauważalne. Dziadek Tracki tego pilnował, więc przestałam zwracać uwagę, zwłaszcza że to nie były tiry tylko takie półciężarowe. Mam gdzieś zapisane numery.

- To ja je poproszę. Mogą się przydać. - Podkomisarz zachował czujność, a Marylka od razu rzuciła się na poszukiwanie zapisków sprzed ponad roku. Po chwili usatysfakcjonowana dzieliła się z policjantem swoją wiedzą.

- Powtarzalność sytuacji usypia naszą czujność - skomentował Jerzy Wiechejski i poprosił: - Kontynuuj, młody człowieku, bo w przeciwnym razie do północy będziemy turbować nasze miłe panie.

Podkomisarz wstał z fotela. Widocznie lepiej mu się opowiadało na stojąco. Płynnie wrócił do tematu:

- Brudziński zrobił błąd, szantażując braci Gibkich. Pozostaną przy obiegowej wersji ich nazwiska. Te wpłaty na konto to oprócz części udziału Brudzia w zyskach także pieniądze z szantażu. A Brudzio chciał więcej i więcej. Nie spodziewał się, że Rafał ze Słodkim mają swoje plany. Musiał zginąć. W dniu swojej śmierci Brudzio ruszył na rozpoznanie terenu. Wiedział, że magazyn podróbek spłonął, ale nie sądził, że był to wynik celowego działania Słodkiego, który chciał

zmusić braci Gibkich do podjęcia decyzji o współpracy. Brak towaru stawiał ich pod ścianą.

Brudzio nieopatrznie umówił się z Rafałem na przekazanie części gotówki. Chodziło o naprawdę grubą kasę. Wszystko z ręki do ręki. Rafał zaproponował ustronne miejsce, czyli dolinę, a Brudzio, który całe życie był prostoduszny i naiwny, zgodził się na to. Gibała doskonale wiedział, w jaki sposób można się dostać na posesję pań. Słodki przekazał mu informacje o zgromadzonych w szklarni narzędziach i małej aktywności gospodyni skupionej na pisaniu.

- Co prawda, to prawda. Nawet różowego słonia bym nie zauważyła - przyznałam.

- Zamordowanie Czesława Brudzińskiego obyło się bez problemów. Te drzewa i chaszczce oddzielają teren od drogi i z poziomu chodnika naprawdę mało widać. Poza tym nikogo nie obchodziłyby człowiek z łopatą w ręku w ogrodzie. Sąsiedzi pomyśleliby, że panie kogoś wynajęły, a obcy w ogóle nie zwrócili uwagi.

- Gdyby nie zapędy ogrodnicze mamusi i cioci, to Brudziński przeleżałby do wiosny - wtrąciłam się.

- Zdecydowanie tak. Po braciach Gibkich ślad by zaginał, nie wspominając o Słodkim, który już zdążył się zapaść pod ziemię.

- A tatuś? Sprawdzaliście, co się z nim dzieje?

- Owszem, jak tylko dowiedziałem się, że jest w to zamieszany, poprosiłem kolegów z bełchatowskiej komendy o sprawdzenie przypuszczalnego miejsca zamieszkania. Okazało się, że nie dalej jak dwa tygodnie wcześniej państwo Słodcy wyprowadzili się w nieznanym kierunku. Szukanie ich nie ma wielkiego sensu, bo sprawa uległa przedawnieniu.

- To też prawda - przytaknęła zafrasowany pan Jerzy. - Przecież od początku zdawałem sobie sprawę, że nie można go już oskarżyć. Minęło trzydzieści lat, nikt nie wszczął postępowania w czasie tych trzydziestu lat, więc nie było

możliwości, by go postawić przed sądem. Szczerze mówiąc, do pracy nad rozwiązaniem tej zagadki napędzała mnie ciekawość i chęć spojrzenia w oczy mordercy. Życie ze świadomością, że popełniło się zbrodnię, też jest karą. Nie mówię, że wystarczającą, ale takie są przepisy

- Przecież Gieniu mówił, że rodzice mieszkają w Bełchatowie - przypomniałam sobie.

- Mówić mógł, ale przypomnij sobie, kiedy to było - zwróciła mi uwagę Marylka.

- Upiekło się facetowi - skomentowała ciocia.

- A cóż ja wam poradzę? - Podkomisarz bezradnie rozłożył ręce. - To jest sprawa sprzed trzydziestu pięciu lat. Nawet gdybyśmy się z nim spotkali, gdybyśmy przedstawili dowody, to sprawa nie zostałaby wznowiona. A młodszy Słodki dał dyla, bo połowicznie miał na sumieniu Brudzia. Przechytrzył go po prostu. Jednak wróćmy jeszcze na moment do morderstw popełnianych przy ulicy Brzegowej. Niezły tytuł na powieść. - Uśmiechnęłam się krzywo, ale nie zdążyłam skomentować. Kontynuował: - Czesław Brudziński przesadził z żądaniami finansowymi i dlatego musiał umrzeć. Ale dlaczego zginął też dziadek Tracki? Na to pytanie nie mogliśmy znaleźć odpowiedzi. Przyniosła ją dopiero...

- Przesyłka do dziadka! - wtrąciła Marylka.

- Właśnie!

- Ale jak? - Ciocia Lukrecja nie nadała.

- Poczekaj jeszcze chwilę, to się dowiesz - uspokoiła ją mama.

- Otóż to. I to jest twoja zasługa. - Spojrzał na mnie z uznaniem, a ja poczułam się wyróżniona.

- A cóż takiego mogło być w tej kopercie? Tajne szyfry i stare gatki? - Ciocia nie milkła, targana ciekawością.



- Ani jedno, ani drugie. Po prostu Romuald Tracki zastosował bardzo prosty sposób na szantaż, tylko nie przyszło mu do głowy, że Gibała jest po prostu głupi.

- Ale to by oznaczało, że dziadek Tracki wiedział o całym procederze przemytu - skonkludowała mamusia z niedowierzaniem.

- Oczywiście że wiedział. Powiem więcej! Otóż sam brał w nim udział i trochę towaru zbywał swoimi kanałami. Na przykład przez różnego rodzaju agitatorów, którzy udawali misjonarzy nowej wiary. W rzeczywistości wcale nie nawracali, tylko handlowali podróbkami.

- Pan pozwoli, kolego, że uzupełnię. - Jerzy Wiechejski nie zamierzał oddawać całego pola podkomisarzowi. - Z moich obserwacji wynikało, że Romuald Tracki zwany dziadkiem prowadził aktywne życie nocne i współpracował z elementem. Na pewno współdziałał z Mazurkami, ale też musiał znać pozostałych współpracowników braci Gibkich. Przecież uzyskiwał spore zyski!

- Oczywiście, słuszne spostrzeżenie. Jednak jak każdy, chciał więcej.

- Wypraszam sobie! Jakie każdy? - Ciocia Lukrecja zdecydowała się zaprotestować. - Mnie wystarczy tyle, ile mam. I basta!

- Ale panie są wyjątkowe. - Podkomisarz popisał się kurtuazją i dyskretnie ziewnął.

Postanowiłam przyspieszyć wyjaśnianie sprawy.

- Z tego wynika, że dziadek zaszantażował złotą kurę, by dostać więcej, niż mu się należało, a dowody ich działalności były w kopercie, którą Tracki wysłał sam do siebie. Tylko litości, powiedzcie mi, dlaczego przesyłka była zaadresowana do Romualda Trockiego, przez „o”.

- Nie mam pojęcia. Rzeczywiście jest błąd w nazwisku. Sprawdziliśmy dokumenty przewozowe firmy kurierskiej. Na

kopercie też jest przez „o”.

- Może się z Trockim utożsamiał - wysunęła podejrzenie mamusia i dyskretnie wyprostowała nogi.

- A może po prostu się spieszył i nie włożył okularów. Teraz już się nie dowiemy. - Też rozprostowałam plecy. Za dużo jedzenia i za dużo siedzenia. Musimy zacząć się gimnastykować, przemknęło mi przez myśl.

- Gibała twierdzi, że dziadek Tracki zagroził mu donosem do urzędu skarbowego. Na nich zawsze można liczyć.

- Nie widzę sensu - zaprotestowała Marylka. - Po cóż dziadek wysyłałby do siebie informacje, które znał na pamięć? I dlaczego przesyłka dotarła po tygodniu, a nie na następny dzień albo po dwóch dniach? Nie widzę w tym żadnego sensu.

- To było jego zabezpieczenie. Poza tym... - Podkomisarz prezentował dzisiaj nadludzką cierpliwość. - Ta przesyłka miała wrócić do dziadka po tygodniu. Tak sobie zażyczył, dlatego kurier tak uparcie się do niego dobijał. Sama mówiłaś.

- Rzeczywiście, jak rzadko. Z praktyki wiem, że często po prostu kurier zostawia informacje o przesyłce i jedzie dalej. Czas go goni. Ale jak już wiemy, to co dalej? - dopytałam.

- Po prostu Romuald Tracki straszył donosami, ale nie zamierzał tej groźby zrealizować. Pozbierał materiały związane z procederem, naprawdę bardzo nam pomogły, po czym zapakował wszystko i nadał przesyłką poleconą przez firmę kurierską. Mógł przez pocztę, ale zdecydował inaczej. Zabezpieczył się, żeby materiały nie przepadły. Nie zamierzał nigdzie donosić. To był wstrętny szantaż na zasadzie kto kogo przetrzyma. Rafał Gibała twierdzi, że nie zamierzał zabijać dziadka, ale się zdenerwował, gdy tamten zaczął mu wygrażać, i ręka sama mu poszła w ruch.

- Z tego wynika, że Rafał Gibała cały czas egzystował w pobliżu domu dziadków i z niego korzystał - stwierdziła zdezorientowana Serwerownia. - Nic mi w tym nie pasuje.

- Nie martw się, mnie też nie pasuje - pocieszyłam ją i zapytałam: - A ci bracia Gibcy, którzy nie istnieją. Nie umiem zrozumieć, w jaki sposób nie rozpoznałaś tego Rafała. Przecież chyba go widywałaś?

- A ty nie?

- Właśnie nie - potwierdziłam. - Ja nie pamiętam, jak wyglądała połowa mieszkańców ulicy, a co dopiero ci, którzy mieszkali kiedyś tam na końcu. Nawet jeżeli z jednym z nich chodziłam przez jakiś czas do jednej klasy. Pamiętaj, że ja się stąd wyprowadziłam i wróciłam po latach. Mam dziurę w czasie. A ty? - Spojrzałam pytająco na rodzicielkę.

- A czego ty ode mnie chcesz? Wiesz dobrze, że ja pamiętam tylko tych, których często widuję. Reszta to szara masa. Nie mam pamięci do twarzy i nie zamierzam się tym przejmować. Nie te lata, nie ten wiek - podsumowała beztrosko i ziewnęła zaraźliwie.

Nie zamierzałam łatwo ustępować.

- Dziadka Trackiego i Cześka Brudzińskiego zgubiła pazerność. A swoją drogą muszę na przyszłość zwracać większą uwagę na to, co się dzieje na naszej ulicy - podsumowałam.

- I co ci z tego przyjdzie? Pani Marylka prowadzi nasłuch i ogląd, pan Jerzy zawsze jest czujny, a mimo to morderstwa zostały popełnione - pocieszył mnie podkomisarz Zakrzewski.

- Ale przynajmniej sprawca siedzi w kiciu i się nie wywinie - zaświergotała ciocia Lukrecja i opierając się o brzeg ławy, wstała z wygodnego, rozleniwiającego fotela. - Cóż, dziękujemy za wyjaśnienie tych morderczych zawiłości. I jak to się ładnie mówi, myślę, że pozostaniemy w kontakcie.

Mina podkomisarza - bezcenna.

Mieczysław Chromy skutecznie póżny spacer. Ledwo się wyrwał ze szponów żadnej coraz nowszych atrakcji Karoliny. Okna domu Morskich oświetlały swoim blaskiem początek ulicy. Mieczysławowi ledwo udało się przemknąć pod parapetem. Wiedział, że na pewno widać było jego cień rysujący się na murze budynku, ale całe szczęście, że dom dziadka Trackiego nadal stał pusty. Mieczysław z bijącym sercem przez uchylone okno słuchał wywodów komisarza Zakrzewskiego.

Więc jednak! Brudzio przez całe życie był zbyt ufny. Jak mógł nie zdawać sobie sprawy z konsekwencji szantażu? Przecież wiedział, z kim ma do czynienia. Tacy ludzie jak bracia Gibcy, tfu! Gibałowcie, nie cofną się przed niczym. Mężczyzna już nie czekał na wyjście rozgadane go towarzystwa, tylko przemknął w kierunku ogrodzenia i opuścił nie swój teren. Zastanawiał się, dlaczego wśród zgromadzonych gości brakuje gospodarza. A tak pracowicie dał mu znać, żeby uważniej sprawdzał znajomych żony. Już nie wspominając o anonimie przesłanym na posterunek policji. Miał nadzieję, że dzięki temu przyczynił się do odkrycia mordercy Czesia.

Nie zdawał sobie sprawy, że z za franki śledzą go podejrzliwe oczy Karoliny. Zbyt dobrze się bawiła, by teraz miała mu pozwolić na wyjazd. Mieciu nie był aniołem, ale z drugiej strony dobrze wiedziała, że ustabilizowane życie trochę go rozleniwiło. Odsunęła się od okna i dokładnie zasunęła story.

Po kilku minutach usłyszała przekręcanie klucza w zamku. Dla Mieczysława Chromego ksywa „Glanc” jeszcze nie nadszedł czas nowych wyzwań.

Ciocia Lukrecja wyjechała, ale na pocieszenie zdradziła nam, że niebawem wróci. Pogłaskała Pana Kota zdumionego jej wylewnością i pozwoliła odwieźć się na dworzec autobusowy.

Zanim wsiadła do busa, kupiła torebkę frytek. Zrobiła to chyba tylko po to, żeby dać w kość współpasażerom.

Mamusia była spokojna o ogród. Wszystkie prace zdążyłyśmy wykonać przed zimą, więc zabrała się za nadrabianie zaległości czytelniczych. Sterta powieści kryminalnych czekała na jej łaskawą uwagę. Najpierw, jak zawsze, pochyliła się nad moją twórczością. Z napięciem czekałam na ocenę, która nie zawsze była miła dla ucha, ale zazwyczaj trafna.

Ufarbowałam włosy, pomalowałam paznokcie i spotkałam się z Agnieszką. Umówiłam też termin spotkania z byłym mężem. Chciałam przegadać kilka spraw dotyczących firmy. Napisałam jeszcze raz do Gienia. W sumie brakowało mi jego zwariowanego stylu i otaczającej go aury luzu.

Wydawca milczał, a ja nie wiedziałam, czy to jest dobry znak. Może był w szoku, a może jeszcze nie zdążył wgłębić się w meandry skomplikowanej fabuły.

Po jakimś czasie, mimo odstępstw od konspektu, zaakceptowano wszystko, co zdołaliśmy wspólnie z Jerzym Rosołem wykoncypować. Mamusia kręciła głowę nad tekstem, zapewne zastanawiając się, w którym miejscu popełniła błąd wychowawczy.

- Czytam te twoje kryminały. Trochę to dziwaczne, ale ujdzie. - Podkomisarz Marek Zakrzewski był łaskaw zrecenzować moją twórczość. Nie powiem, ucieszyłam się i z rozpędu zaprosiłam go na kawę.

Marylka stwierdziła, że jeśli tak, to ona upiecze ciasto drożdżowe ze śliwkami. Mąż Marylki obiecał, że w końcu postara się wrócić do domu na czas. Znowu dostał anonim sugerujący, że w jego własnym domu dochodzi do karygodnych

ekscesów i chciał sprawdzić, w czym tkwi problem. Ufał żonie, ale przezorny jest zawsze ubezpieczony.

Jerzy Wiecha-Wiechejski wymigał się od wizyty pod pretekstem wyjazdu do syna. Musiał pomóc dziecku w prowadzeniu agencji detektywistycznej. Nie zamierzał dopuścić do tego, by jego wieloletnia praca poszła na zmarnowanie.

Zadumany Pan Kot leżał na swoim zwykłym miejscu na kuchennym parapecie. Zanim się położył, udeptał sobie gniazdko z ręcznika cuchnącego proszkiem do prania. Od spodu miło grzało go ciepło z kaloryfera. Pusta kuchnia niepokoiła go i powoli zaczynał tęsknić za ciocią Lukrecją i wprowadzonymi przez nią porządkami. O tej porze obiad powinien już bulgotać, a puszka z tuńczykiem stać obok jego miseczki. Nie oznaczało to, że był głodny, ale musiał przyznać, że spodobała mu się miła systematyczność cioci. Miał nadzieję, że szybko załatwi swoje sprawy i wróci do Miasteczka, bo jakoś pusto było bez niej.

Tymczasem postanowił uciąć sobie drzemkę.

Za oknami krążyły pierwsze płatki śniegu, a ja znowu siedziałam przed ekranem ukochanego laptopa i zastanawiałam się nad następnym kryminałem. Wiedziałam, o czym chciałabym napisać, ale próżno było wypatrywać pierwszego, jakże ważnego dla powieści zdania. Patrzyłam w pusty dokument. Cursor rytmicznie mrugał. Wyciszona komórka milczała, a skrzynka mailowa świeciła pustkami. Idealne warunki do pracy.

I gdy już czułam, że załóżek pierwszego zdania czai się gdzieś blisko, telefon ułożony na ławie obok komputera zaczął emitować niepokojące drgania.

Spojrzałam na wyświetlacz. Byłam ciekawa, kto się do mnie dobija. Zamarłam.

Dziennikarz prawie śledczy ciężko poszkodowany w wypadku samochodowym wrócił do świata żywych.

Jerzy Rosół miał mi coś ważnego do zakomunikowania.

K O N I E C

Wszystkie postacie, miejsca i zdarzenia są wyłącznie wytworem fikcji literackiej mającej początek w mojej wyobraźni. Za fikcją, jak zawsze, stoi niejedno ziarno prawdy, a czasami nawet cały zgrzebny worek owych ziaren.

Barcelona od wieków zachwyca przyjezdnych, tak samo jak Muzeum Figur Woskowych, nie wspominając o najdłuższej ulicy tego miasta. Zaulek Snów i kamienica doñii Izabelli są moim wymysłem, ale nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś mi udowodnił, że istnieją naprawdę.

Miasteczko, cóż, nie widnieje na mapie jako Miasteczko, ale jego dzielnice żyją i kwitną, będąc świadectwem rozwoju kraju. Takich Miasteczek w Polsce jest naprawdę wiele.

Mam nadzieję, że Czytelnicy bawili się dobrze, a pobyt w Miasteczku sprawił im przyjemność. Do ogrodu nie zapraszam w obawie przed zdeptaniem.

Solennie zapewniam, że ciąg dalszy nastąpi.

Każde Miasteczko, nawet najmniejsze, ma swoje czekające na rozwikłanie tajemnice.